cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #200 03/2023

Tomasz Łysiak
ORZEŁ, LEW I KRZYŻ. PROFESORA ROSZKOWSKIEGO OPOWIEŚĆ O TRÓJMORZU

Piotr Lisiewicz
NA DNIE BOLSZEWICKIEGO OCEANU. UKRAINA, JÓZEWSKI I ŁZY W OCZACH PIŁSUDSKIEGO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



FOT. ADOBE STOCK

POKONAĆ ROSJĘ

ROK LUDOBÓJCZEJ WOJNY ROSJI
– JAK PUTIN WZMOCNIŁ POTĘGĘ POLSKI I NATO

ISSN 1895-4960

eprasa.pl e12cc5019d

TEMAT NUMERU 4–21



Rok ludobójczej wojny Rosji – jak Putin wzmocnił potęgę Polski i NATO / 4

IDEE 22–36



Nadzieja dla małżeństw, nadzieja dla rodzin / 22

HISTORIA 38–66



Na dnie bolszewickiego oceanu. Ukraina... / 38

KULTURA 70–81



Kruchość Wieloryba / 70

ŚWIAT 86–97



Rosja na Czarnym Lądzie. Wagnerowcy, broń, dyplomacja / 86

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Rok ludobójczej wojny Rosji – jak Putin wzmocnił potęgę Polski i NATO /4

Z Kirą Rudik rozmawia Hanna Shen
Ukraina ma jeden plan: wygrać /12

Ryszard Czarnecki
Przemija postać rosyjskiego świata /17

Jurij Szczerbak
Krwawy rok nowej ery: 24 lutego 2022 – 24 lutego 2023 /18

IDEE

Stefan Czerniecki
Nadzieja dla małżeństw, nadzieja dla rodzin /22

Tomasz Łysiak
Orzeł, Lew i Krzyż. Profesora Roszkowskiego opowieść o Trójmorzu /30

Małgorzata Matuszak
Czy to jeszcze miłość? /34

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Na dnie bolszewickiego oceanu. Ukraina, Józewski i łzy w oczach Piłsudskiego /38

Dariusz Jarosiński
Śmierć Pasterza /46

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Zbyt wiele egzaltacji, zbyt wiele krwi" /52

Agnieszka Kowalczyk
Przez mękę z Matką Boską Kozielską /58

Henryk Józewski
Wygrać katolików przeciw prawosławnym. Nacjonalizmy w służbie Moskwy /64

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Kruchość Wieloryba /70

Jakub Augustyn Maciejewski
Kraków to nie miasto, Kraków to idea /74

Krzysztof Karnkowski
Nadchodzi niezły serial /78

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Rosja na Czarnym Lądzie. Wagnerowcy, broń, dyplomacja /86

oprac. Antoni Rybczyński
Cel: pozbawić Putina pieniędzy na wojnę – nie został osiągnięty /94

eprasa.pl e12cc5019d

Stałe rubryki


Katarzyna Gójska
Ukraina nie przegra wojny, Polska z kluczową rolą na flance wschodniej
NA POCZĄTEK 3


Małgorzata Matuszak
Czym jest... pokój
KATECHIZM INTELIGENTA 67


Ryszard Czarnecki
Rosyjska zemsta
CZARNECKO TO WIDZĘ 68


Marek Kalinowski
Dzień, który zmienił wszystko
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 81


Krzysztof Wołodźko
Rosja, rozbiory i wolność. Lekcja dla Rzeczypospolitej
DZIENNIK LEKTUR 82


Olga Doleśniak-Harczuk
Dwa razy suri na patyku proszę!
Z GLOBALNEGO TYGLA 92


Marcin Wolski
Kiedy wojna się zakończy?
PAPKULTURA 98


Tomasz Sakiewicz
Minęło 30 lat Strefy Wolnego Słowa
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)
DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Ukraina nie przegra wojny, Polska z kluczową rolą na flance wschodniej

Polacy i Ukraińcy, wspierani przez Bałtów i USA, mają wielką szansę zrealizować to, co nie wyszło w czasie wojny z bolszewikami – pokonać Rosję, dać szansę na stabilny byt niepodległemu państwu ukraińskiemu i skorzystać na synergii naszych potencjałów.

Takie wnioski – w największym skrócie – płyną z wizyt prezydenta Stanów Zjednoczonych tuż przed pierwszą rocznicą wojny w Ukrainie i oczywiście w Warszawie. Lider amerykańskiego państwa wysłał jasny i bardzo prosty sygnał w kierunku kremlowskich organizatorów ludobójstwa za naszą wschodnią granicą: zostaniecie pokonani, zostaniecie osądzeni, a jeśli przyjdzie wam do głowy atak na któreś z państw Paktu Północnoatlantyckiego, to bezapelacyjnie dostaniecie baty. I to jest bardzo dobra wiadomość. Tak jasna deklaracja jest zobowiązaniem nie tylko samego Joego Bidena, lecz po prostu całego Waszyngtonu, ktokolwiek by w nim sprawował władzę. Między wierszami prezydent USA dał do zrozumienia, iż nie jest tak, że w wojnie na Ukrainie wszystko co najgorsze jest już za nami. Nasi wschodni sąsiedzi będą musieli stawić czoła kolejnym falom ataków Rosjan. Wygląda na to, że będą mieli czym walczyć, ale determinacji nie może im zabraknąć. Prezydent Biden w imieniu całego zachodniego świata zadeklarował konsekwencję i nieustępliwość w pomocy, jednak Ukraińcy nie mogą odstawić nogi. I powiedzmy szczerze – nic nie wskazuje na to, by ich morale w jakimkolwiek stopniu się obniżało.

Co taka postawa najpotężniejszego państwa świata oznacza dla Polski? Po pierwsze, amerykański lider złożył zobowiązanie w naszej stolicy. U nas padły te historyczne słowa. Po drugie, jedyna skuteczna pomoc dla Kijowa musi być przekazywana z naszego terytorium. Jesteśmy zatem kluczowi w tym arcyważnym dla bezpieczeństwa świata procesie i widać gołym okiem, że potrafimy wykorzystać tę sytuację we wszelkich wymiarach. Organizujemy ją sprawnie, jesteśmy jej ambasadorem, nadajemy ton innym, przełamujemy lęki i niechęci, które zgłaszają ci, którzy jeszcze do tej pory niepodzielnie rządzili europejską polityką. Jesteśmy na szczycie, bo rozumiemy, z kim i z czym mamy do czynienia, rozumiemy Rosję lepiej niż kto inny i potrafimy przewidywać jej działania z dużym wyprzedzeniem. Polacy po prostu umieją czytać Rosjan. Mamy w tym gigantyczne doświadczenie.

Na łamach tego numeru naszego miesięcznika Piotr Lisiewicz przypomina sylwetkę Henryka Józewskiego. Przypomina – bo wybitny znawca Moskwy, orędownik współpracy polsko-ukraińskiej – był wielokrotnie prezentowany naszym Czytelnikom. Józewski – współpracownik Marszałka, wiceminister w rządzie Petlury, który zwykł nazywać siebie mężem zaufanie Polski i Ukrainy – nie miał wątpliwości, iż silny sojusz między Warszawą a Kijowem to najlepszy stabilizator sytuacji w naszej części kontynentu. Dziś koncepcje Józewskiego i rzecz jasna samego Piłsudskiego stają się nie tylko aktualne, lecz także bardziej możliwe do wcielenia w życie niż kiedykolwiek wcześniej. Polacy i Ukraińcy, wspierani przez Bałtów i USA, mają wielką szansę zrealizować to, co nie wyszło w czasie wojny z bolszewikami – pokonać Rosję, dać szansę na stabilny byt niepodległemu państwu ukraińskiemu i skorzystać na synergii naszych potencjałów. Oby się udało. ■

> JEDYNA SKUTECZNA POMOC DLA KIJOWA MUSI BYĆ PRZEKAZYWANA Z NASZEGO TERYTORIUM. JESTEŚMY ZATEM KLUCZOWI W TYM ARCYWAŻNYM DLA BEZPIECZEŃSTWA ŚWIATA PROCESIE I WIDAĆ GOŁYM OKIEM, ŻE POTRAFIMY WYKORZYSTAĆ TĘ SYTUACJĘ WE WSZELKICH WYMIARACH.

eprasa.pl e12cc5019d

Piotr Grochmalski



Rok ludobójczej wojny Rosji – jak Putin wzmocnił potęgę Polski i NATO

Problemu Rosji i Putina nie byłoby, gdyby nie lekceważenie tego zagrożenia przez lata. Ale także wspieranie militaryzacji tego państwa przez Niemcy. Ta wojna mogła się zakończyć spektakularnym zwycięstwem Kremla. Na razie jest pasmem koszmarnych klęsk Moskwy. Ich główną przyczyną był lekceważący stosunek Putina do Ukrainy – niedocenienie jej potencjału i woli obrony. Ale też niekompetencji owego podpułkownika KGB, współczesnego führera, którego ogarnęła wola stworzenia nowego imperium.



Ilustracja: Adobe Stock

Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, która odbyła się w cieniu trwającej od roku ludobójczej wojny Putina z Ukrainą, stwierdził zdecydowanie: „Niektórzy obawiają się, że nasze wsparcie dla Ukrainy może wywołać eskalację. Powiem jasno: nie ma opcji wolnych od ryzyka, ale największym ryzykiem jest zwycięstwo Putina".

Mit z hukiem upadł

Szesnaście lat temu w 2007 roku obecny führer totalitarnej Rosji właśnie na monachijskiej konferencji otwarcie przedstawił swoje żądania zmiany globalnego porządku świata. Od początku cel tej agresji był jeden – zniszczenie Zachodu. Liana Fix i Michael Kimmage uważają, że ta ludobójcza wojna miała być ukoronowaniem prezydentury Putina, „pokazem tego, jak daleko zaszła Rosja od upadku imperium sowieckiego w 1991 roku. Aneksja Ukrainy miała być pierwszym krokiem w odbudowie rosyjskiego imperium". Zdaniem autorów artykułu „Ostatni bastion Putina", opublikowanego na łamach Foreign Affairs: „Putin zamierzał zdemaskować Stany Zjednoczone jako papierowego tygrysa... i pokazać, że Rosja i Chiny są przeznaczone do roli lidera w nowym, wielobiegunowym porządku międzynarodowym".

Mimo iż konflikt nadal trwa, to z perspektywy roku, w ocenie generała Marka Milleya, przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów armii USA, „Rosja przegrała strategicznie, operacyjnie i taktycznie w wojnie na Ukrainie". Jak dobitnie zauważa Kelly A. Grieco, analityk Centrum Stimsona, przede wszystkim wojna obaliła mit potęgi militarnej. Jak zauważa: „Zachodnie agencje wywiadowcze i analitycy wojskowi przeceniali rozmiary rosyjskich sił zbrojnych oraz liczbę i typy rosyjskich systemów uzbrojenia". Przypomina, że „Na początku lutego 2022 roku, gdy siły rosyjskie gromadziły się na granicach Ukrainy, gen. Mark Milley [...] ostrzegł, podczas zamkniętej sesji Kongresu, że Kijów może upaść w ciągu 72 godzin od pełnej inwazji rosyjskiej". Autorka przyznaje, że tak radykalnie negatywne prognozy były powszechne w środowisku amerykańskich i europejskich urzędników i analityków. Jak podkreśla, oni wszyscy „spodziewali się, że rosyjskie wojsko zmiażdży siły ukraińskie. Na papierze Rosja wydawała się potężna, a jej armia była nie tylko znacznie większa od ukraińskiej, lecz także lepiej wyposażona w nową i nowoczesną broń po dekadzie reform".

Tym większy był szok, gdy mit z hukiem upadł. Katastrofą zakończyła się próba szybkiego zajęcia Kijowa, a także późniejszy plan B – opanowania regionu Donbasu, który zakończył się skuteczną kontrofensywą armii ukraińskiej jesienią ubiegłego roku. Autorka zauważa, iż zawiodły nie tylko wojska lądowe. Fatalnie wypadła marynarka wojenna, która straciła kilka jednostek, w tym flagowy krążownik „Moskwa", a także siły powietrzne, którym nie udało się ustanowić przewagi powietrznej nad Ukrainą. Ten spektakularny upadek mitu drugiej armii świata pociągnął za sobą serię katastrof politycznych. Rosja była zaledwie cieniem państwa sprzed agresji. Utraciła na rzecz Pekinu swoją pozycję w Azji Środkowej i na Kaukazie. Katastrofalnie zwiększyła się jej dysproporcja wobec Chin, niebezpiecznie pogłębiając jej uzależnienie od tego państwa. Swoimi działaniami Putin osiągnął skrajnie odmienne efekty od tych, które były jego celem. Zamiast rozbić NATO, potężnie wzmocnił jego znaczenie jako gwaranta europejskiego bezpieczeństwa. Dążąc do zniszczenia potencjału państw obszaru Trójmorza, wyzwolił ogromną zmianę geopolityczną, której fundamentem staje się obszar Europy Środkowej i wschodnia flanka NATO. Ale Putin, radykalnie wbrew intencji, doprowadził do procesu narodzin nowoczesnego narodu ukraińskiego.

Taras Kuzio na łamach Atlantic Council stwierdził 16 lutego, że „stosunki Ukrainy z Rosją zasadniczo i na zawsze się zmieniły. Po Mariupolu, Buczy i niezliczonych innych rosyjskich zbrodniach wojennych nie można już mówić o powrocie do wcześniejszej epoki bliskich więzi i zatartych granic". Ten profesor Narodowego Uniwersytetu „Akademia Kijowsko-Mohylańska", najstarszej ukraińskiej uczelni, jest autorem wydanej przez Columbia University Press głośnej publikacji „Faszyzm i ludobójstwo: rosyjska wojna przeciw Ukraińcom". Stwierdza zdecydowanie, że „załamanie w stosunkach między Rosją a Ukrainą osiągnęło punkt bez powrotu... Przez dziesięciolecia rosyjscy przywódcy byli nieświadomi przemian zachodzących w poradzieckim społeczeństwie ukraińskim i ignorowali umacniającą się na Ukrainie tożsamość narodową. Ich starania o zapobieżenie wyjściu Ukrainy z rosyjskiej strefy wpływów okazały się daremne i zaowocowały pogłębieniem wrogości oraz świadomością wśród Ukraińców, że ich kraj nigdy nie będzie naprawdę wolny, dopóki nie zerwie wszelkich więzi z Rosją".

Zbawcze dla Ukrainy, koszmarne dla Rosji błędy Putina

Zdumiewająco nietrafne oceny analityków zachodnich dotyczące rosyjskiej armii wynikały z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze afgań-

eprasa.pl e12cc5019d

skiego szoku – ośrodki te raportowały, iż po opuszczeniu armii USA, Kabul utrzyma się kilkaset dni. Upadł po kilkunastu. To spowodowało radykalne zaniżenie zdolności obronnych Ukrainy. Po drugie, Amerykanie byli przekonani, że Rosjanie będą działać zgodnie ze swoją strategią wojenną. A to oznacza, iż zasadniczy atak winien być poprzedzony, w początkowym okresie wojny, zmasowanym wielodniowym atakiem sił powietrznych i rakietowych w infrastrukturę krytyczną wroga. Dla rosyjskiego sztabu jest to kluczowy okres działań. Od skuteczności jego realizacji zależy dalszy przebieg agresji. Dopiero po tej fazie wprowadzane są do działań wojska lądowe, które – dzięki panowaniu lotnictwa w powietrzu – zapewniają im wsparcie.

Jak zauważa Dara Massicot w artykule „Jakie błędy popełniła Rosja. Czy Moskwa może wyciągnąć wnioski ze swoich porażek na Ukrainie?", opublikowanym na łamach Foreign Affairs, „rosyjskie wojsko wysłało swoje wojska lądowe pierwszego dnia, zamiast czekać, aż zdoła oczyścić drogi i stłumić jednostki ukraińskie. Rezultat był katastrofalny. Siły rosyjskie, spiesząc się, aby wykonać to, co uważały za rozkazy przybycia na określone obszary w określonych godzinach [...] zostały osaczone na określonych trasach przez jednostki ukraińskie. Następnie byli nieustannie bombardowani przez artylerię i broń przeciwpancerną". Równie zaskakujące było, że Rosja użyła równocześnie niemal wszystkie swoje profesjonalne formacje wojsk lądowych do jednego, wieloosiowego ataku, aby równocześnie opanować kilka obszarów Ukrainy. Jak zaznacza Massicot: „Ta decyzja nie miała sensu militarnego. Próbując jednocześnie zająć kilka części Ukrainy, Rosja rozciągnęła swoje systemy logistyczne i wspierające do granic wytrzymałości". Dodaje przy tym: „Trudno w pełni zrozumieć, dlaczego Rosja tak stanowczo odeszła od swojej doktryny wojskowej (i zdrowego rozsądku). Ale jeden powód wydaje się jasny: polityczna ingerencja Kremla". Rzeczywiście – z danych wywiadowczych wynika, iż wojnę osobiście zaplanował Putin w bardzo wąskim gronie ludzi ze służb specjalnych i armii. Szczególnie fascynować miała gospodarza Kremla wizja spektakularnej akcji doborowych formacji, które miały opanować Kijów, zamordować prezydenta Zeleńskiego i całe jego otoczenie oraz zainstalować nową ekipę przygotowaną już w Moskwie.

▶ Tajemnica tajemnic

Putin obsesyjnie bał się zdrady i wycieku informacji. Dlatego – wbrew regułom planistycznym – wszystko było wypracowywane w tym wąskim gronie. Tym większy był szok na Kremlu po rozmowie, trzy miesiące przed przewidywanym atakiem, dyrektora CIA Williama Burnsa i ambasadora USA w Rosji Johna Sullivana z rzeczywistym liderem partii wojny, Nikołajem Patruszewem, który uważa siebie za głównego kreatora kariery Putina. Amerykanie wyjaśnili, że znają plany agresji. Ostrzegli, że Zachód odpowie twardo, jeśli Rosja nie wycofa się z tych zamiarów. Patruszew, jak przystało na generała KGB, ani słowem nie odpowiedział na tę informację. Ale – według wspomnień Burnsa – jego spojrzenie mówiło wszystko – jesteśmy już gotowi i się nie cofniemy. Swoje oceny, że Putin podjął już decyzję agresji, przekazali prezydentowi Bidenowi. Jego decyzja zaszokowała Kreml. Prezydent USA zdecydował się na bezprecedensowy w swej skali ruch. Waszyngton na masową skalę zaczął ujawniać dane wywiadowcze, ostrzegając świat przed zbliżającym się atakiem Rosji na Ukrainę. Putin znalazł się w swoistej pułapce. USA ujawniły najbardziej tajne plany Putina trzy miesiące przed początkiem agresji. Ich szczegóły przekazali sojusznikom, a także opinii publicznej. W odpowiedzi Kreml stanowczo im zaprzeczył. Te komunikaty kierowane były przede wszystkim do armii i społeczeństwa.

Jak zauważa Massicot: „Zamiast przerwać inwazję, Kreml przekonywał dziennikarzy i dyplomatów, że duże kontyngenty wojsk zgromadzone na granicach Ukrainy są tam w celu szkolenia i że Rosja nie ma zamiaru atakować swojego sąsiada. Twierdzenia te nie wprowadziły w błąd Zachodu, ale oszukały większość Rosjan – w tym tych służących w siłach zbrojnych. Kreml ukrywał swoje plany wojenne przed armią na wielu poziomach, od pojedynczych żołnierzy i pilotów po generałów, a wielu żołnierzy i urzędników było zaskoczonych, gdy otrzymali rozkazy inwazji". Był to strategiczny błąd, który pociągnął za sobą kaskadę innych fatalnych decyzji Kremla. Jak ujawnił niedawno opublikowany raport brytyjskiego Royal United Services Institute, oparty na szerokich źródłach informacji, nawet członkowie rosyjskiego Sztabu Generalnego byli trzymani do końca w niewiedzy na temat zbliżającej się agresji. Takie działanie spowodowało, że miażdżąca większość dowódców wojskowych została postawiona w ostatniej chwili przed faktami dokonanymi. Nie byli zaangażowani w planowanie operacji, a tym samym nie mogli poprawić poważnych błędów. Wojna była dla nich ogromnym zaskoczeniem. Paradoksalnie, w przeciwieństwie do zachodniej kadry oficerskiej, byli pozbawieni elementarnej wiedzy o tym, co wkrótce mieli wykonać.

Massicot podkreśla, iż „Nadmierna tajemnica oznaczała też, że Moskwa przegapiła kilka kluczo-

eprasa.pl e12cc5019d

wych okazji do przygotowania przemysłu obronnego do produkcji i przygotowania znaczących zapasów niezbędnej amunicji. Nawet stacjonujące w pobliżu Ukrainy jednostki rosyjskie nie były obsadzone ani zaopatrzone na odpowiednim poziomie, prawdopodobnie dlatego, że planiści wierzyli, że wojska prowadzą ćwiczenia szkoleniowe".

Putin jak generalissimus Stalin

Putin nie tylko chciał zwyciężyć, lecz także pragnął spektakularnego pokonania Ukrainy. Nie jest w stanie przezwyciężyć w sobie mentalności podpułkownika KGB, któremu nie dane było przebić się do elitarnego grona generałów. Ufał skrytobójczym metodom charakterystycznym dla tej najbardziej zbrodniczej formacji świata, która miała na swoich rękach krew milionów ludzi. Dlatego postawił na spektakularny mord. Osobiście chciał znać najmniejsze detale przygotowywanego zamachu na kierownictwo ukraińskiego państwa.

Gdyby agresję od początku w pełni realizował sztab generalny, wszystko odbyłoby się zgodnie z rosyjską doktryną wojenną. Zanim wojska lądowe zostałyby wprowadzone do działań, nastąpiłoby długotrwałe, trwające kilkanaście dni zmasowane uderzenie lotnicze i rakietowe na infrastrukturę krytyczną Ukrainy. Gierasimow w wielu swoich artykułach podkreślał, że jest to decydująca faza konfliktu. Od tego, jak zostanie przeprowadzona, do jakiego stopnia zostaną na początku zniszczone zdolności militarne przeciwnika, zależy potem skuteczność zasadniczego uderzenia. Tymczasem doborowe formacje rosyjskie zostały rzucone do walki od pierwszego dnia, napotykając silny opór ukraińskich oddziałów. Putin nie mógł wiedzieć, że amerykańskie służby poznały szczegóły przygotowanych niezależnie przez FSB i GRU dwóch mordów i przekazały je bezpośrednio Załużnemu. To pozwoliło na skuteczne wyeliminowanie wewnętrznego zagrożenia. Istniało jednak realne niebezpieczeństwo, że Kreml przygotował dodatkowy plan awaryj-

W ocenie generała Marka Milleya, przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów armii USA, „Rosja przegrała strategicznie, operacyjnie i taktycznie w wojnie na Ukrainie".

Powstały dwa niezależne scenariusze. Obie ekipy, przygotowywane do tej kaźni, nie wiedziały o sobie nawzajem. To miało zwiększać pewność, że plan wypali. Był przekonany, że zamordowanie prezydenta Zeleńskiego i jego współpracowników sparaliżuje państwo. Spektakularne wtargnięcie formacji dwunastu armii wojsk lądowych jedynie dopełni paraliż systemu władzy, wywoła anarchię. Przerazi też Ukraińców i zaszokuje świat skutecznością i łatwością, z jaką wchłonie Ukrainę. Godzinami analizował skład owej ekipy kolaborantów, których usadzi w Kijowie. Widział już siebie jako współczesnego Piotra I, który w ciągu zaledwie kilku dni zrealizuje plan spektakularnego wskrzeszenia imperium. Z jaką satysfakcją musiał patrzeć w oczy Bidena, gdy spotkali się osobiście 16 czerwca 2021 roku w Genewie. Nie niepokoiło go to, co potem przekazali Burns i Sullivan w rozmowie z Patruszewem. Był w stu procentach pewny swego KGB-owskiego planu. Ruchy wojsk miały zmylić Amerykanów. Ale Putin nie ufał armii.

ny. Jednak prezydent Ukrainy podjął ryzyko. Pomimo nalegań Amerykanów nie opuścił Kijowa. Ostatecznie podjęto kilkanaście nieudanych prób zamordowania Załużnego. Ale jego służby miały podobno swoje własne, niezależne źródło ulokowane w otoczeniu władcy Kremla. Ukraińska armia, w porę uprzedzona przez Amerykanów, rozbiła też rosyjski desant na lotnisko Antonowa pod Kijowem.

Szok Putina, zdumienie Zachodu

Po druzgocącej klęsce rosyjskiej armii w pierwszej fazie wojny nadal istniało przekonanie większości analityków, że Ukraina – prędzej czy później – może ulec. Dlatego dostawy broni ograniczano do prostych, obronnych konstrukcji, takich jak pociski przeciwpancerne Javelin czy zestawy przeciwlotnicze Stinger. Gdyby dostały się w ręce wroga, nie stanowiłoby to zagrożenia dla zdolności obronnych państw NATO. Obawiano się też, że przekazanie nowoczesnych rodzajów broni może doprowadzić do

eprasa.pl e12cc5019d

eskalacji wojny. Poza tym przeszkolenie do ich skutecznego używania wymagało znacznego czasu. Istniało więc ryzyko, że zanim armia ukraińska będzie zdolna je opanować, zostanie pokonana. Jednak jej spektakularne sukcesy, a także stała presja i wsparcie ze strony Polski i państw wschodniej flanki NATO, które przekazywały coraz więcej ciężkiego sprzętu, spowodowały radykalną zmianę amerykańskiego nastawienia. Waszyngton zaczął wierzyć w możliwość pokonania Moskwy przez Kijów.

Gdy Rosja zmieniła swoją strategię i skupiła się na froncie południowo-wschodnim, wykorzystując swoją przewagę ognia artyleryjskiego do stopniowego niszczenia pozycji ukraińskich, Zachód zaczął dostarczać nie tylko sprzęt postsowiecki, lecz także nowoczesne, NATO-owskie systemy artyleryjskie. Prawdziwym przełomem było jednak przekazanie przez Polskę zestawów Krab, a przez USA wyrzutni Himars. Zdumiewające było tempo, w jakim armia ukraińska nabyła umiejętności ich skutecznego używania. Radykalnie zmieniły one obraz wojny. Gdy w lipcu 2022 roku Waszyngton po raz pierwszy ujawnił przekazanie himarsów Ukrainie, nieomal z marszu dokonały one ogromnych spustoszeń rosyjskich pozycji. Skuteczne ataki na stanowiska dowodzenia, a także składy amunicji i infrastrukturę logistyczną, sparaliżowały rosyjskie próby ofensywy na wschodniej Ukrainie.

Kijów pilnie potrzebował jednak nowoczesnych zachodnich czołgów i wozów pancernych, aby przejść jesienią do kontrofensywy, wykorzystując ogromne wykrwawienie rosyjskich formacji. Wahanie Zachodu nie pozwoliło siłom ukraińskim w pełni wykorzystać dobrej dla nich strategicznie sytuacji. Charkowska kontrofensywa nie mogła być kontynuowana, bo gen. Walerij Załużny, głównodowodzący ukraińską armią, nie miał gwarancji, że na czas uzyska nowy sprzęt, aby mógł uzupełnić straty. Armii brakowało ciężkiego sprzętu, a wahający się Zachód wciąż daleki był od przełomowej decyzji, która ostatecznie zostanie podjęta miesiące za późno, gdy na rozkaz gen. Siergieja Surowikina Rosjanie rozpoczną systematyczną rozbudowę wielowarstwowych umocnień. Niemcy, główny hamulcowy, konsekwentnie blokujący od wiosny decyzję o wysłaniu leopardów, dały cenny czas dla Rosji.

Jak zauważy Dara Massicot, paradoksalnie „Siły rosyjskie wykazały się większą kompetencją w defensywie niż w ofensywie, szczególnie na południu, gdzie stworzyły wielowarstwową obronę, przez którą siłom ukraińskim trudno było się przebić. Generał Siergiej Surowikin, który w październiku został mianowany dowódcą generalnym Rosji, był wcześniej dowódcą południowej grupy operacyjnej i wniósł to doświadczenie do innych regionów częściowo okupowanych przez Rosję. Żołnierze wykopali rozległe okopy i stworzyli inne pozycje obronne". W nowej sytuacji przełamywanie pozycji rosyjskich będzie trudniejsze. Spowoduje też duże straty armii ukraińskiej i wymagać będzie przekazania jej tych rodzajów broni, na które nadal nie ma zgody – systemów rakietowych ATACMS i zachodniego lotnictwa. Jest też to widoczny zysk z realizowanej przez Putina strategii odstraszania z wykorzystywaniem szantażu potencjalnym użyciem taktycznej broni atomowej.

▶ Każda szansa dawana Putinowi to niebezpieczny błąd

Problemu Rosji i Putina nie byłoby, gdyby nie lekceważenie tego zagrożenia przez lata. Ale także wspieranie militaryzacji tego państwa przez Niemcy. Ta wojna mogła się zakończyć spektakularnym zwycięstwem Kremla. Na razie jest pasmem koszmarnych klęsk Moskwy. Ich główną przyczyną był lekceważący stosunek Putina do Ukrainy – niedocenienie jej potencjału i woli obrony. Ale też niekompetencji owego podpułkownika KGB, współczesnego führera, którego ogarnęła wola stworzenia nowego imperium. Nie wolno popełniać jego błędu i lekceważyć potencjału destrukcji FR. Każde opóźnienia broni dla Ukrainy i niedostarczanie jej armii tego, co powinna dostać, buduje proste równanie – to, co jest stratą dla Kijowa, jest zyskiem dla Moskwy. A gra nie toczy się jedynie o egzystencjalne istnienie Ukrainy, lecz także o istnienie znanej nam Europy. Putin pokazał, że potrafi wykorzystywać słabości Zachodu jako broń do walki z nami, do naszego zniszczenia. Już sam fakt, iż narzucił nam ustawiczną obawę o to, by nie doprowadzić do zbytniej eskalacji konfliktu, pokazuje, jak próbuje odzyskać przewagę strategiczną i uczynić nas zakładnikami logiki, zgodnie z którą mamy nie wykorzystywać krytycznych momentów dla Rosji, aby nie sięgnęła po radykalne rozwiązania. Trzeba posłuchać Michaiła Chodorkowskiego i Garriego Kasparowa – tylko pokonana Rosja może stać się państwem, które przestanie śmiertelnie zagrażać Europie, ale także sobie.

▶ Nowa ofensywa Rosji a strategia szybkiego zwycięstwa Ukrainy

Gdy Rosjanie rozpoczęli wielką ofensywę w Ługańsku, prezydent Ukrainy w Londynie, Paryżu i Brukseli przekonywał o potrzebie przełomu we wsparciu w nowoczesny sprzęt walczącej armii ukraińskiej. Symbolicznie odwołał się w Pałacu Westminsterskim do postaci Winstona Churchilla. Stwierdził, że dziś rozumie to uczucie, gdy usiadł,

eprasa.pl e12cc5019d

podczas swojej wizyty w Wielkiej Brytanii w październiku 2022 roku, w fotelu, z którego Churchill prowadził wojnę z Niemcami. Zrozumiał, „jak odwaga pcha człowieka przez największe trudności, aby go wynagrodzić zwycięstwem".

Michael McFaul, były ambasador USA w Moskwie, nie ma wątpliwości, że losy tej wojny zależą od odważnego wsparcia Zachodu dla Ukrainy. Według niego Putin liczy, „że zachodnie rządy i społeczeństwa stracą wolę i zainteresowanie dalszym pomaganiem Ukrainie". Z dzisiejszej perspektywy jest oczywiste, że gdyby Kijów otrzymał latem ubiegłego roku broń, która pozwoliłaby wykorzystać słabość Rosji i kontynuować jesienną kontrofensywę, doszłoby do spektakularnej klęski barbarzyńskich orków przewyższającą swoimi rozmiarami zwycięstwo chersońskie i charkowskie. Ale wielomiesięczny twardy opór Berlina w sprawie leopardów dał potrzebny czas Putinowi. Pozwolił też na bezkarne niszczenie infrastruktury krytycznej Ukrainy, co groziło gigantyczną humanitarną katastrofą.

Kreml, na oczach Zachodu, próbował realizować projekt wielkiego ludobójstwa. Wojna na wyniszczenie ma zniszczyć ukraińskie państwo i złamać naród. Każdy kolejny jej miesiąc zwiększa szanse Moskwy na rozbicie woli przywódców wolnego świata do kontynuowania wsparcia dla Kijowa. Dlatego potrzebne są zdecydowane działania. Już w listopadzie Atlantic Council przedstawił konieczność stworzenia kompleksowej strategii, „która pomoże Ukrainie wygrać wojnę z Rosją i zapewnić pokój". Stephen Hardley, były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego administracji Busha, a także William Taylor, John E. Herbst, Matthew Kroenig, Melinda Haring i Jeffrey Cimmino podkreślili, że ukraińska armia potwierdziła swój profesjonalizm i determinację w walce. Jej dowództwo doskonale wie, czego potrzebuje, aby odnieść zwycięstwo. Dlatego winni dostać szybko i sprawnie to, co uznają za konieczne na tym etapie konfliktu.

Generał Walerij Załużny już na początku września, w obszernym artykule napisanym wspólnie z gen. Mychajłem Zabrodskim, stwierdzał, że tym, co może przesądzić o klęsce Rosji, jest pozbawienie jej kluczowego elementu przewagi... „Decydująca jest dysproporcja zdolności". Obrazuje je dobitnie zasięg środków zniszczenia – o ile Rosja dysponuje pociskami odpalanymi z powietrza o zasięgu do 2 tysięcy kilometrów, Ukraina ma faktycznie zdolność odpowiedzi do 100 kilometrów, a więc 20 razy mniejszy. Co więcej „wróg jest w stanie bezkarnie zadawać precyzyjne ataki na cele na całej głębokości terytorium kraju". W ujęciu obu generałów, z perspektywy militarnej to jest kluczowym strategicznym punktem ciężkości. Ich zdaniem: „Dopóki ta sytuacja się utrzyma, wojna ta może trwać latami". Dlatego Ukraina pilnie potrzebuje takich systemów, jak choćby amerykańskie pociski MGM-140B ATACMS Block 1A dla zestawów Himars MLRS zdolnych do rażenia do 300 kilometrów. Generał Załużny podkreślał, iż taka sytuacja powoduje, że Rosja czuje się bezkarna. Jak stwierdził: „Dopiero w przypadku wyrównania równowagi pod względem zasięgu środków rażenia, a tym samym zachwiania określonego środka ciężkości wroga, można mówić o przełomie w przebiegu wojny". Już sama obecność takiego zagrożenia zmusi Rosję i jej społeczeństwo „do innego spojrzenia na charakter, przebieg i wynik naszej konfrontacji".

▶ Rosyjska ofensywa w obwodzie ługańskim

Ukraina nadal nie otrzymała systemów ATACMS. Ale już sama zapowiedź dostaw zachodnich czołgów leopardów, challengerów i bojowych wozów piechoty wywołała popłoch na Kremlu i zwiększyła presję na gen. Walerego Gierasimowa, szefa sztabu i głównodowodzącego agresją Rosji, do przyspieszenia wielkiej ofensywy. Kijów już w grudniu ostrzegał, że może ona rozpocząć się w pierwszym kwartale 2023 roku. Wszystko wskazuje, że diagnozy Kijowa były trafne. Według ocen waszyngtońskiego Institute for the Study of War, „Siły rosyjskie odzyskały inicjatywę na Ukrainie i rozpoczęły kolejną dużą ofensywę w obwodzie ługańskim". Rosja do walki rzuciła pułki 144. i 3. Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych z 20. Armii, dowodzonej przez gen. Andrieja Iwanajewa.

Ten związek operacyjny wchodzi w skład Zachodniego Okręgu Wojskowego, który od początku wojny czterokrotnie doświadczył frustracji Gierasimowa. Najpierw, w maju, poleciała głowa jego ulubieńca, gen. Aleksandra Żurawlowa, który totalnie zawiódł oczekiwania szefa sztabu. Po nim szefostwo objął gen. Roman Bierdnikow, który z hukiem wyleciał w grudniu, aby ustąpić miejsca gen. Siegiejowi Kuzowlewowi, byłemu szefowi sztabu Wschodniego Okręgu Wojskowego. A ten, ledwie po kilku tygodniach, 23 stycznia, został przerzucony na dowódcę Południowego Okręgu Wojskowego, a w jego miejsce obsadzono gen Jewgienija Nikiforowa. Jemu też podlega 2. Dywizja Tamańska, która – po przyspieszonej „kuracji" w Białorusi – najpierw została dyslokowana do swojej bazy w Kalinińcu pod Moskwą, a teraz ma wkrótce zostać wprowadzona jako wzmocnienie ofensywy na kierunku Svatowe-Kreminna. Przed wojną była to jedna z najbardziej elitarnych formacji. Podczas walk pod Charkowem została doszczętnie rozbita. Rosjanie do działań pod

eprasa.pl e12cc5019d

Kreminną rzucili też 90. Witebsko-Nowogródzką Dywizję Pancerną płk. Ibatulina. Dwóch żołnierzy z tej formacji w marcu brutalnie zgwałciło i pobiło pod Kijowem ciężarną kobietę, która z tego powodu poroniła.

90. Dywizja w czasach zimnej wojny stacjonowała w Polsce, w Borne Sulinowo, a potem została rozwiązana. Putin odbudował ją w 2016 roku w ramach przygotowań do wojny. Podlega Centralnemu Okręgowi Wojskowemu, którym dowodził gen. Aleksandr Łapin. On także dostał wilczy bilet. Tymczasowo, w oczekiwaniu na nowego szefa, zastąpił go gen. Aleksandr Linkow. Sam Łapin, który jeszcze latem 2022 roku dowodził zgrupowaniem Centrum i za boje pod Lisyczańskiem otrzymał tytuł Bohatera Federacji Rosyjskiej, ale był też celem agresywnych ataków ze strony przywódcy Czeczenii, Ramzana Kadyrowa, i Jewgienija Prigożyna, szefa najemników Grupy Wagnera, nie mógł być ostentacyjnie skreślony. Dlatego Gierasimow zrobił z niego szefa sztabu wojsk lądowych.

Rosjanie mają ogromne problemy kadrowe, dlatego usuwani z jednych stanowisk, trafiają na inne. Ale też Kreml nie ufa kadrze oficerskiej, obawia się buntu w jej szeregach. Częsta rotacja ma zmniejszyć ryzyko przewrotu na kształt puczu gen. Korniłowa w 1917 roku czy ludzi o politycznych ambicjach, jak gen. Aleksandr Lebied, który zginął w katastrofie śmigłowca, gdy zaczął sprawiać Putinowi problemy. Na front na linii Svatove–Kreminna Gierasimow rzucił też formacje szturmowe 76. Dywizji Powietrznodesantowej i zbieraninę pododdziałów z Południowego Okręgu Wojskowego. Jeśli zdecyduje się wesprzeć ofensywę siłami 2. Dywizji Tamańskiej i 4. Dywizji Kantemirowskiej, to jej powstrzymanie i wykrwawienie mogłoby otworzyć Ukrainie szansę do kontrofensywy. Dlatego dla Kijowa liczy się każdy dzień, który przyspieszyłby dostawy nowego sprzętu i pozwoliłby na skrócenie szkolenia nowych jednostek ukraińskiej armii.

▶ Teoria wielkiego wybuchu, czyli droga do szybkiego zwycięstwa Ukrainy

Michael McFaul uważa, że Zachód winien skończyć z polityką stopniowego rozszerzania pomocy wojskowej dla Ukrainy, bo wojna na wyniszczenie będzie tylko zachęcała Putina do jej dalszej, stopniowej eskalacji. Trzeba dostarczyć wszystko to, co pozwoli na szybkie i zdecydowane zwycięstwo Kijowa jeszcze w tym roku. Jak podkreślił: „Jeśli Rosja zacznie wygrywać na polu bitwy, a nawet doprowadzi do impasu, niewielu będzie pamiętało niezwykłe przywództwo prezydenta USA Joe Bidena w pobudzaniu świata do pomocy Ukrainie w 2022 roku. Dlatego zachodni przywódcy muszą zmienić podejście do konfliktu". Apeluje o wsparcie dla wielkiego przełomu. Winien on objąć wielkie spektakularne dostawy nowoczesnego sprzętu. Bo „Bez większego i natychmiastowego wsparcia wojna pogrąży się w impasie, co jest tylko na korzyść Putina. Ostatecznie Zachód będzie oceniany po tym, co wydarzyło się w ostatnim roku wojny, a nie po tym, co wydarzyło się w pierwszym".

Liczy się też sposób, w jaki ta nowa, wielka pomoc wojskowa, będzie ogłoszona. Jak podkreśla: „Zamiast dostarczać ATACM w marcu, Reaperów [Drony MQ 9 Reaper] w czerwcu i samolotów we wrześniu, NATO powinno zdecydować się na wielki wybuch". Zachód winien ogłosić przekazanie dla Kijowa ogromnego pakietu nowoczesnego sprzętu – wszystkiego, co jest potrzebne do szybkiego pokonania Rosji. Jak zauważa „wywoła to ważny efekt psychologiczny na Kremlu i w rosyjskim społeczeństwie, sygnalizując, że Zachód w pełni wspiera wolę Ukrainy do wyzwolenia wszystkich okupowanych terytoriów". To działanie winno być wzmocnione potężnym uderzeniem nowymi sankcjami, skutecznie odcinającymi nowoczesne technologie. Zachód winien też ogłosić przekazanie Ukrainie owych 300 mld dolarów rezerw rosyjskiego banku centralnego. W ten sposób wspólnota wolnych narodów dokonałaby tego, czego Kreml w najczarniejszych snach się nie spodziewa. Jednoznacznie zadeklarowałaby wolę szybkiego zwycięstwa Ukrainy. I wsparłaby ją potęgą swojego potencjału.

▶ Zamiast zakończenia

Daniel Fried, były ambasador USA w Polsce, stwierdził w Atlantic Council: „Reakcja Polski na wojnę rosyjską była wspaniała, ponieważ Polacy wiedzą, z palącą siłą osobistej i rodzinnej pamięci, że jeśli nie zostanie powstrzymany Putin, podobnie jak dyktatorzy Adolf Hitler i Józef Stalin przed nim, będzie parł dalej, rozpoczynając nowe wojny z Mołdawią, Kazachstanem, krajami bałtyckimi, Polską, Finlandią i wszędzie tam, gdzie Putin uważa, że jest to rosyjskie terytorium imperialne". Wyobraźmy sobie, jak by wyglądała przyszłość Europy Środkowej i Polski, gdyby ta armia ukraińska, która powstrzymuje Rosję, wspólnie z żołdakami Putina ruszyła na zachód. Premier Mateusz Morawiecki na konferencji w Monachium stwierdził, iż należy zmienić logikę naszego podejścia do toczącej się wojny. Podkreślił: „Nie możemy mówić: Ukraina nie może przegrać, a Rosja nie może wygrać. To błąd. Musimy powiedzieć: Rosja musi przegrać tę wojnę, a Ukraina musi ją wygrać". ■

eprasa.pl e12cc5019d

Rok od wybuchu wojny o zwycięstwie, o sile, którą Ukrainie dają także Polacy, o odpowiedzialności Rosjan, a nie tylko Putina, o coraz większym zaangażowaniu sojuszników, ale i o Chinach, które nie chcą całkowitego zwycięstwa Kijowa – z KIRĄ RUDIK, posłanką do ukraińskiej Rady Najwyższej, rozmawia HANNA SHEN.

Hanna Shen



Ukraina ma jeden plan: WYGRAĆ

eprasa.pl e12cc5019d



fot. arch.

Jak wyglądał Pani 24 lutego 2022 roku?

23 lutego zakończyliśmy sesję parlamentu bardzo późno. Niepokoiły nas wiadomości, że Rosja może zaatakować, ale nikt nie podejrzewał, że zaatakuje Kijów. Następnego dnia o piątej rano obudziły mnie wybuchy. Włączyłam telefon i zrozumiałam, że Rosja atakuje wszystkie duże miasta w Ukrainie i że rozpoczęła inwazję na pełną skalę.

Gdy wybucha wojna, podstawowym zadaniem parlamentarzystów jest zebranie się w izbie Rady Najwyższej Ukrainy, przegłosowanie wprowadzenia stanu wojennego i przekazanie władzy wojsku. I to właśnie mieliśmy zrobić. Zaczęliśmy dzwonić do przywódców naszych partii, by sprawdzić, ile osób uda się zebrać. Kijów był w rozsypce. Ludzie próbowali się ewakuować. Nie wiedzieli, co robić. Nie wiedzieliśmy, czy po prostu fizycznie uda nam się zebrać parlamentarzystów. Ochrona mówiła nam, że ze względu na nasze bezpieczeństwo będziemy mogli być w izbie co najwyżej 10 minut. Duży budynek Rady znajduje się w centrum parku. Było więc jasne, że rosyjscy piloci mogą go zaatakować. Właściwie do ostatniej minuty nie byliśmy pewni, czy uda nam się bezpiecznie wprowadzić parlamentarzystów do budynku. Do Rady dotarłam poprzez tunel. Na miejscu było bardzo dużo żołnierzy i okazało się, że z 420 parlamentarzystów przybyło około 400. To była bardzo poruszająca chwila. Przez te 10 minut wzywaliśmy cały świat do udzielenia nam wsparcia – wsparcia militarnego, wsparcia dla naszych uchodźców – zatwierdziliśmy stan wojenny i trzymając się za ręce, odśpiewaliśmy nasz hymn. To był jeden z najbardziej wzruszających momentów w moim życiu. To była także chwila, w której politycy z różnych partii złożyli przysięgę, że będziemy wspólnie działać jako jedna drużyna, drużyna Ukrainy, że odłożymy na bok wszelkie różnice i zrobimy wszystko, by zwyciężyć. Bez względu na trudności pozostaniemy zjednoczeni. Mija już rok i muszę przyznać, że dla polityków odłożenie sporów nie jest takie łatwe. Ale właśnie ta jedność, którą demonstrujemy naszym rodakom, ale i na arenie międzynarodowej, jest dla wielu motywacją, daje nadzieję. Nadzieję, i lekcję, którą odrobiliśmy przez ten rok, że jedność to klucz do zwycięstwa.

Przez ten rok byliśmy też świadkami niesamowitej odwagi narodu ukraińskiego. Pokazaliście, że Putin nigdy nie złamie ducha Ukraińców. Skąd ta siła?

To nasza ziemia. Nie mamy żadnej innej ojczyzny. Musimy jej bronić. Zdaliśmy sobie sprawę, że

eprasa.pl e12cc5019d

wartości, które do tej pory były dla nas słowami, ważnymi słowami, takimi jak wolność czy prawo do decydowania o własnej przyszłości, są tak fundamentalne, że gotowi jesteśmy oddać za nie życie.

Mogę podać przykład pokazujący różnicę pomiędzy ukraińskim a rosyjskim żołnierzem. Nasz żołnierz wstaje rano i w swojej modlitwie do Boga mówi, że dziś idzie walczyć za swój kraj, że będzie starał się odzyskać jak najwięcej zagarniętego terytorium, że uwolni czyjąś siostrę, matkę czy rodziców, oswobodzi czyjś dom, szkołę, uwolni ludzi, którzy są torturowani i pozbawieni praw człowieka. I zwróci się do Boga: „Proszę, Boże, pomóż mi, bo idę walczyć za każdy centymetr mojej ojczyzny. A jeśli przyjdzie mi umrzeć, to pomóż mi umrzeć z godnością". A rosyjski żołnierz budzi się rano i mówi: „Jestem w szczerym polu, a może w jakimś budynku rządowym. I za to mam umierać?".

Siłę daje nam nadzieja. Nadzieja, że będziemy w stanie rozwiązać ten problem, jaki mamy z sąsiadem, który chce nas zniszczyć, że w końcu położymy temu kres. Walczymy i zwyciężymy, by nasze dzieci nie musiały przez to ponownie przechodzić, żeby nie musiały znów walczyć.

Ta wojna nie zaczęła się 24 lutego 2022 roku. Ani nawet w 2014 roku. Rozpoczęła się już dawno temu i teraz to rozumiemy. Ona toczy się przez ostatnie 300 lat, bo Rosja zawsze chciała pozbawić nas narodowości, wmówić nam, że nie istniejemy, że nie jesteśmy narodem i państwem. Ale my jesteśmy narodem. Jesteśmy państwem, za które będziemy walczyć tak długo, jak trzeba.

Największym problemem jest Rosja ze swoją imperialistyczną wizją, która zakłada nasze unicestwienie. I naszym zadaniem jest znalezienie takiego rozwiązania, które nie tylko zagwarantuje zwycięstwo jutro, lecz także to, że pojutrze nie przyjdzie nam znów walczyć.

▶ W czasie tej walki, rosyjskiej inwazji na Ukrainę, byliśmy również świadkami międzynarodowej solidarności i wsparcia dla Ukrainy. Polska przyjęła około 3 mln ukraińskich uchodźców i wywieramy presję na sojuszników, aby zwiększyli wsparcie militarne dla was. W obliczu tej tragedii wydaje się, że Polska i Ukraina stały się potężnymi partnerami.

To, co Polacy zrobili dla mojego narodu, nie będzie zapomniane przez pokolenia. I zawsze będziemy wdzięczni. To jest coś, co nas ogromnie zbliżyło i sprawiło, że jesteśmy nie tyle przyjaciółmi czy sojusznikami, lecz braćmi i siostrami. Trudno opisać rozpacz ludzi, którzy uciekają przed bombardowaniami, musieli opuścić swoje domy i w rękach trzymają tylko dzieci i zwierzęta. I tu jesteście wy ze swoimi otwartymi sercami, niesamowitą siłą, ogromem miłości, ciepłym posiłkiem, schronieniem i wsparciem. I wiedzieliśmy, że to nie jest jednorazowe wsparcie, ale może trwać lata. Za każdym razem, gdy spotykam się z moimi przyjaciółmi z Polski, muszę ich uściskać w imieniu moich rodaków. Tych podziękowań nigdy nie będzie za dużo. Bez was nie bylibyśmy w stanie powstać i walczyć. To wsparcie jest dla nas bardzo ważne. Powinniście być z siebie, z tego, czego dokonaliście jako naród, dumni. Trudno to nawet opisać za pomocą słów. Nasza walka trwa. Zdajemy sobie sprawę, że jest ona długa i że potrzebujemy nie tylko pomocy dla naszych uchodźców, lecz także mocnego wsparcia militarnego. Walczymy nie tylko o siebie, bo jasne jest, co zrobi Putin, jeśli, oby Bóg do tego nie dopuścił, podbije Ukrainę. Wiemy, że chcecie, abyśmy go odepchnęli tak, aby już nigdy nie powstał. I dlatego Polacy to niesamowici sojusznicy.

W ciągu tego roku nauczyliśmy się, jak działa polityka. Trzeba mieć jednego lub dwóch czempionów, którzy staną się pionierami danej idei; którzy staną i powiedzą: „Tak, popieram to", a to zmusi do myślenia i działania innych. Widzimy to w przypadku Wielkiej Brytanii, która forsowała ideę wysłania większej ilości ciężkiej broni na Ukrainę, czy USA, które w ciągu miesiąca odwróciło sytuację w kwestii wsparcia dla nas, czy Polski, która poparła ideę przystąpienia Ukrainy do UE czy uznania Rosji za państwo sponsorujące terroryzm. Inni na to patrzą i w końcu dołączają.

Myślę, że największe i najbardziej emocjonalne powitanie w ukraińskim parlamencie otrzymał prezydent Duda. Wypływało to z naszych serc i symbolizowało przekonanie naszych obu narodów, że działamy wspólnie i że mamy wspólną przyszłość. W tej chwili budujemy relacje na różnych poziomach i w różnych dziedzinach, na przykład infrastruktury, logistyki. Te związki powodują, że powstanie bardzo udany sojusz. Za każdym razem, gdy jestem w Polsce, rozglądam się i jestem zdumiona tym, co zbudowaliście, co osiągnęliście. Ale oczywiście jest w tym też kropla goryczy, bo wiem, że Ukraina musi to dopiero zbudować. Połączmy więc nasze wysiłki, by sprawić, że Ukraina będzie szła naprzód, będzie się rozwijać i stanie się takim samym fantastycznym państwem jak wasze. Za te wspólne działania będziemy wam zawsze wdzięczni.

▶ Wśród krajów udzielających pomocy Ukrainie jest też odległy Tajwan. Jak wygląda to wsparcie?

eprasa.pl e12cc5019d

Byłam na Tajwanie w ubiegłym roku i zaskoczyło mnie, jak ci ludzie, właściwie z innej części świata, są o nas zatroskani, jak okazują swoje wsparcie nie tylko na poziomie politycznym, lecz także osobistym. To oczywiście wynika z faktu, że Tajwan jest w tej chwili również zagrożony przez inną tyranię. To moment, gdy cały świat zastanawia się, czy Chiny zaatakują Tajwan czy nie. Dlatego Tajwańczycy rozumieją to, co nas spotkało, i wspierają nas, jak tylko mogą. Właśnie przed chwilą wróciłam z miejsca, w którym odebraliśmy trzy kolejne generatory prądu z Tajwanu. Tamtejszy rząd ofiarował dla Kijowa 1 mln dolarów właśnie na zakup generatorów. Jak wiadomo, w tej chwili ponad 50 proc. naszej infrastruktury energetycznej zostało zniszczone, a więc aby chronić nasze szpitale, naszą infrastrukturę krytyczną, potrzebujemy generatorów. Na przykład miejsce, w którym teraz jestem w Kijowie, też zostało odcięte od elektryczności i mam prąd tylko dzięki generatorowi. Dlatego ta pomoc jest dla nas bardzo ważna i bardzo na czasie.

Jeszcze raz chcę podkreślić, że to niezwykłe, jak ludzie, którzy w ogóle nas nie znali, żyją daleko od nas, wyszli do nas z pomocą i wsparciem. Wydaje mi się, że Tajwańczycy, tak jak Polacy, rozumieją, że to walka nie tylko o Ukrainę, że inni tyrani tego świata, nie tylko Putin, bacznie przyglądają się, jak zareaguje Zachód, jak nam idzie ta walka, jak działają sankcje, i w tym kontekście zaczynają ważyć każdy następny krok. I właśnie dlatego Ukraina nie może przegrać. Nasze zwycięstwo stworzy precedens pokazujący, że w XXI wieku jedno państwo nie może dokonać aneksji terytorium innego państwa, nie może przeprowadzać inwazji na pełną skalę i nie zostać za to ukaranym.

Zwycięstwo Ukrainy jest bardzo ważne dla Tajwanu. Tajwańczycy dziś patrzą na nas i mają dowody na to, że jeśli coś się wydarzy, to broń zostanie dostarczona i będzie wsparcie przyjaciół oraz że nadzieje tyranów, iż sojusznicy nie zademonstrują jedności, okażą się płonne.

▶ Jak Pani wspomniała, jest Pani zaangażowana w proces dostarczania Ukrainie pomocy z Tajwanu. Z tego powodu Pekin próbował Panią zastraszyć. Co się stało?

Chińska ambasada wysłała list, że nie powinniśmy przyjmować pomocy z Tajwanu. Takie oświadczenia są kuriozalne, ale nie dziwne, biorąc pod uwagę wsparcie Chin dla Rosji, nie jest ono takie jawne, ale wiemy, że wszystkie wywiady na świecie mówią, iż do tego wsparcia dochodzi. Kiedy jesteś na wojnie, gdy twoje życie jest zagrożone każdego dnia, kiedy jesteś pod ostrzałem, naprawdę widzisz świat w czarno-białych kolorach. Widzisz kraje, które pomagają ci przetrwać i wygrać, oraz te, które niwelują twoje szanse na przetrwanie. To naprawdę jest takie proste. Będziemy więc przyjmować każdą potrzebną nam pomoc.

Od początku inwazji nie było dnia, w którym mielibyśmy powiedzieć „nie" oferowanej nam pomocy. Zawsze mówię, macie cegły, to przyślijcie je nam. Będziemy nimi rzucać w rosyjskiego agresora. Jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc i to nie tylko ze strony innych rządów, a te oczywiście dokonują wspaniałych rzeczy. Jesteśmy wdzięczni każdemu. Jeśli wychodzicie na ulice, by okazać swoje wsparcie dla nas i żądać od polityków, by zaczęli działać, to jesteśmy wam wdzięczni. Dziękujemy każdemu, kto wysyła pomoc humanitarną, kto opiekuje się naszymi uchodźcami i tworzy dla nich specjalne programy, wysyła nam zimowe ubrania. Dziękujemy za wszystko, co pozwala nam przetrwać zimę i przetrwać w ogóle. Jesteśmy wdzięczni za broń, za jedzenie i za przyszłe zobowiązania, które pozwolą nam przetrwać. I nawet zdjęcia czy pocztówki wyrażające wsparcie też mają znaczenie. Paliwem, które nas zagrzewa, jest nadzieja. I wiedza, że nie jesteśmy sami, daje nam ogromną nadzieję.

▶ Jeszcze w temacie Chin. Niedawno ambasador tego kraju przy UE powiedział, że Zachód nie powinien nawoływać do „całkowitego zwycięstwa" Ukrainy. Boris Johnson mówi: „W wojnie na Ukrainie zwycięstwo Ukrainy jest jedyną opcją". Te dwie narracje krążą po Europie. Ta pierwsza może rezonować w krajach takich jak Niemcy czy Francja, gdzie mówiło się nawet o gwarancjach dla Rosji. Zresztą Pekin też to mówi. Jak więc przekonałaby Pani Europejczyków, że to Johnson ma rację?

Zawsze zadaję to pytanie: czy zastanawiacie się, co stanie się, jeśli Ukraina przegra i co to będzie oznaczać dla państw w Europie? Nie tylko geopolitycznie. Wygrana Rosji pokaże, na przykład Chinom, słabość państw zachodnich. Pokaże, że cała siła, cała moc, którą macie na Zachodzie, nie wystarczy, by pokonać Rosję. Czy chcielibyście żyć w takim świecie? Poza tym na dekady Ukraina stanie się szarą strefą. I jeśli teraz mówimy o katastrofie humanitarnej, bo mamy do czynienia z około 10 mln uchodźców z Ukrainy w Europie, to w przypadku wygranej Rosji będzie tylko gorzej. Przed wojną Ukraina była jednym z pięciu głównych producentów mięsa, zboża, oleju słonecznikowego, pomidorów i kukurydzy. Obecnie 20 proc. naszego

eprasa.pl e12cc5019d

terytorium jest zaminowane i nie zostanie szybko z tego oczyszczone. Już pojawiają się głosy, że mamy do czynienia z kryzysem niedoboru żywności. I tu też sytuacja się pogorszy. Zwycięstwo Rosji będzie także świadectwem, że sankcje były bezużyteczne. Dla Francuzów i Niemców będzie to też oznaczać, że ich wysiłki i wyrzeczenia poszły na marne. Pokaże, że błędy, jakie wcześniej popełnili w podejściu do Rosji ich politycy, były decydujące. Ale przecież nie chcemy, by to się wydarzyło, i dlatego mamy tylko jeden plan: wygrać. To solidny plan i wiemy, że nie ma ani jednego kraju na Zachodzie, który ma interes w tym, aby Ukraina przegrała. Potwierdził to m.in. ostatni szczyt państw UE. Potwierdzili to przywódcy wolnego świata. I my tu na Ukrainie wiemy, że to nie tylko proklamacje, nie tylko słowa, bo za tymi idą działania. Widzimy coraz większe zaangażowanie naszych sojuszników. A jeśli chodzi o deklaracje Pekinu. No cóż, Chiny zawsze będą Chinami. Nie deklarują się jako nasz sojusznik. Słyszymy ich opinie, ale i tak wygramy.

▶ Nie tylko zwycięstwo, lecz także reparacje. Na ile realne, Pani zdaniem, są rosyjskie reparacje dla Ukrainy?

Nie wydaje mi się, że obecnie możemy myśleć o reparacjach sensu stricto. Bo to jest możliwe, gdy podpisany jest traktat pokojowy i jedna ze stron się do tego zadośćuczynienia zobowiązuje. Nie wierzę, że to jest możliwe w przypadku Rosji. Nie zrobią czegoś takiego z własnej woli, a nawet jak przegrają, to będą próbować zrzucić winę tylko na Putina, tak by nic nam nie zapłacić. I dlatego jedyną sensowną drogą do uzyskania odszkodowań od nich jest przejęcie środków, które mają w krajach demokratycznych. To obecnie 500 mld dolarów w krajach takich jak USA, Kanada, Wielka Brytania, państwa europejskie czy Japonia. Chcemy zajęcia rosyjskich aktywów bankowych i wykorzystania ich nie tylko do odbudowy Ukrainy, lecz także już teraz do przetrwania i walki. Zdajemy sobie sprawę, że to niesprawiedliwe, iż kraje, które nas wspierają, płacą za zbrodnie Putina z własnej kieszeni. Wykorzystajmy do tego pieniądze Putina, jego oligarchów i banku centralnego. Jeszcze pół roku temu wydawało się to niemożliwe, ale teraz już wiemy, że Kanada i USA przyjęły prawo, które to umożliwia. Prace nad podobną ustawą trwają właśnie w Wielkiej Brytanii. Będę ogromnie szczęśliwa, kiedy pierwszy dolar z tych skonfiskowanych pieniędzy zostanie przelany na Ukrainę. W tej chwili mówimy o majątku rosyjskich oligarchów, ale mam nadzieję, że wkrótce będzie to dotyczyć także aktywów banku centralnego. Niedawno sąd okręgowy w Nowym Jorku zgodził się na konfiskatę 5,4 mln dolarów rosyjskiego oligarchy Konstantina Małofiejewa. Naprawdę czekamy na ten transfer.

Wydaje się więc, że taka droga na otrzymanie reparacji jest bardzo realistyczna. Rozumiemy, że teraz czerpiemy z zasobów naszych sojuszników, i musimy też znaleźć inne kanały.

▶ W jednym z artykułów razem z koszykarzem Enesem Kanter Freedom wezwała Pani świat sportu do izolacji Rosji. Dlaczego to jest ważne?

Sport to dziedzina, która wzbudza emocje u wielu. Mówi się także, że nie należy mieszać sportu do polityki. Jednak, dla nas to bardzo bolesne, że teraz w trakcie przygotowań do igrzysk olimpijskich Rosja robi co tylko możliwe, by brali w niej udział jej sportowcy, a także ci z Białorusi. W tym samym czasie na wojnie giną ukraińscy sportowcy. 200 zabitych przez Rosjan już nigdy nie weźmie udziału w igrzyskach. Ważne, by świat zrozumiał, że Rosja stała się nową Koreą Północną. To kraj skazany na zgubę, państwo, które nie ma wsparcia wolnego świata, dla którego nie ma miejsca na arenie międzynarodowej. I mówimy tu nie tylko o sporcie. Chcemy izolacji Rosji w każdej sferze. Na przykład – co robi Rosja w Radzie Bezpieczeństwa ONZ? To zupełnie niezrozumiałe. Rosja złamała wszystkie punkty Karty Narodów Zjednoczonych i to wiele razy w ciągu ostatnich 30 lat. Jak możemy na to pozwalać?

Będziemy naciskać, by Rosja nie wzięła udziału w igrzyskach. To dla nas ważne. To poruszające i po prostu złe, że kraj, który popełnia wszelkie możliwe zbrodnie wojenne, może brać udział w takim sportowym wydarzeniu, robić sobie zdjęcia, świętować i szczycić się wynikami. Każdy Rosjanin musi zrozumieć, że to nie tylko Putin jest odpowiedzialny za wojnę. Oni też są. Byłam w Buczy i Irpieniu pierwszego dnia po ich wyzwoleniu. Tam Rosjanie dokonali zbrodni. To, że tam pojechałam, to była najgorsza, ale jednocześnie najlepsza decyzja w moim życiu. Najlepsza, bo wiem, że kiedy będzie powołany trybunał do rozliczenia zbrodni Rosjan, będę mogła o nich zaświadczyć. Najgorsza, bo tego, co tam zobaczyłam, już nigdy nie zapomnę. I jeszcze raz: to nie są tylko zbrodnie Putina. One zostały popełnione nie tylko dlatego, że rozkaz wydał Putin. Rosjanie muszą zaakceptować swoją odpowiedzialność za to zło.

▶ Dziękuję za tę rozmowę i mam tylko jedno życzenie dla Pani i Pani rodaków: życzę zwycięstwa, tylko zwycięstwa!

Dziękuję. I dziękuję wszystkim Polakom za wasze wsparcie. ■

eprasa.pl e12cc5019d



Ryszard Czarnecki

Przemija postać rosyjskiego świata

Wojna w Europie Wschodniej trwa już rok. Zmieniła wiele.

Przede wszystkim został naruszony dotychczasowy porządek geopolityczny, który polegał co prawda na systematycznym poszerzaniu wschodniej flanki NATO (nasz region Europy i Bałkany), ale bez wchodzenia w bezpośrednią konfrontację z Rosją. Taka konfrontacja jednak nastąpiła – żeby było jasne: wbrew woli Zachodu – niedługo po 24 lutego 2022 roku, gdy USA, Polska i Wielka Brytania przy wsparciu innych krajów zaczęły przekazywać coraz większe ilości uzbrojenia dla walczącej Ukrainy. Swoisty „hard core" Zachodu, jakim był trójkąt Waszyngton–Warszawa–Londyn (na szczęście nie okazał się w kwestii wojny Trójkątem Bermudzkim...) przekraczał kolejne „czerwone linie", przekazując Kijowowi te rodzaje broni, których wcześniej publicznie odmawiał.

Wojna za naszą wschodnią granicą zmieniła także europejskie status quo. Polegało ono na rządach „Biura Politycznego" UE, czyli tandemu Berlin–Paryż, którego i tak już duże znaczenie wzrosło jeszcze po brexicie. To właśnie ten układ Niemcy–Francja odpowiada za format normandzki, którego funkcjonowanie – bez jedynego państwa NATO i Unii, które bezpośrednio sąsiaduje z Rosją i Ukrainą, czyli Polski! – doprowadziło w praktyce do inwazji Moskwy sprzed roku. Putin nie zdecydowałby się na nią, gdyby Niemcy, w ramach tegoż formatu normandzkiego i w relacjach bilateralnych, potrafiły powiedzieć Moskwie: „nein", a Paryż: „non". Ośmielony latami pacyfikowania Ukrainy i izolowania Polski przez niemiecko-francuski duopol Kreml podjął decyzję o ataku. Jednak ostatni rok to czas, gdy wpływy Niemiec i Francji w Europie znalazły się na równi pochyłej.

Ostatnie 12 miesięcy to czas największej wojny na Starym Kontynencie po II wojnie światowej i dramat ludności cywilnej, jeden z największych w Europie w ostatnich 75 latach po czystkach etnicznych na Bałkanach w latach 90. i dwóch wojnach czeczeńskich. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podała na Twitterze pod koniec 2022 roku, że liczba ofiar-cywilów u naszego wschodniego sąsiada wynosi 20 tys. Kijów prostował, twierdząc, że rzeczywista liczba zabitych jest większa. O tym, że wojna rosyjsko-ukraińska jest pełnoskalowa, świadczy fakt, że według danych amerykańskich, znacznie bardziej wiarygodnych niż te Moskwy z jednej, a Kijowa z drugiej strony, tylko do końca ubiegłego roku mogło po obu stronach zginąć do ćwierć miliona (!) żołnierzy, z czego co najmniej 60 proc. z tych ofiar stanowią Rosjanie. Można tu się odwołać do danych podanych publicznie przez generała Marka Milleya, przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA.

Rosja w czasie tej wojny krwawi gospodarczo i demograficznie. Jednak przestrzegam przed tanim optymizmem. Ekonomiczne straty Rosji są mniejsze, niż przypuszczano w 2022 roku, gdy szacowano spadek rosyjskiego PKB o 10–15 proc. W rzeczywistości było to tylko 3,5 proc. (w przypadku Ukrainy – nawet do 40 proc.!). Rosja dość umiejętnie tworzy ekonomiczne protezy i dywersyfikuje swój handel, zastępując utratę rynków UE-27 intensyfikacją relacji gospodarczych z Chinami czy RPA i innymi krajami „niezaangażowanymi".

Moskwa w skali globalnej słabnie, ale nie dzieje się to tylko z powodu wojny w Europie Wschodniej: ona tylko przyspieszyła proces, który trwa już od przeszło trzech dekad. Spektakularnie widać to w obszarze postsowieckim, choćby na Kaukazie Południowym i w Azji Środkowej. Jednak to, że Moskwa jest zmuszana oddawać pole, nie znaczy, że oddaje je wszędzie. Brzmi to paradoksalnie, ale w ostatnich miesiącach Rosja poszerzyła wpływy na dwóch kontynentach: chodzi o Afrykę i Arktykę (gdzie dosłownie teraz wojowniczy w deklaracjach Zachód potulnie zgodził się na... poszerzenie rosyjskiego szelfu kontynentalnego!).

Pogłoski o śmierci Rosji są (niestety) przedwczesne. Na pewno jednak nie jest to już mocarstwo, które kontrolowało kilkadziesiąt innych krajów na co najmniej trzech kontynentach (Europa, Azja, Afryka). „Przemija postać rosyjskiego świata" – trawestując Hannę Malewską. ■

eprasa.pl e12cc5019d

Krwawy rok nowej ery:

24 lutego 2022 – 24 lutego 2023

Jurij Szczerbak



24 lutego 2022 roku stary, przedwojenny czas zatrzymał się, chociaż wskazówki zegarów dalej jednostajnie się poruszały. Nastąpiło zniszczenie zwykłego i zdawałoby się, takiego komfortowego i bezpiecznego życia. Inwazja rosji na Ukrainę, śmierć setek tysięcy ludzi, ruiny kwitnącego kraju i katastrofa demograficzna narodu europejskiego są znakiem początku nowej ery w historii ludzkości. Za sprawą rosji XXI wiek pokazał swe drapieżne kły, znów przypomniał ludzkości, że diabeł nienawiści i zabójstw, który przyczaił się na chwilę, nie zginął, znów ożywa, znów straszy ludzkość zagładą.

O godzinie 6 rano 24 lutego 2022 roku w kijowskim mieszkaniu obudził mnie dźwięk telefonu. Usłyszałem głos córki Bogdany, która – tak mi się wydawało – zwyczajnie wypowiedziała straszne słowa: – Tato, zaczęła się wojna. Rosja napadła na nas. Bombardowali Kijów, inne miasta. U nas słychać wybuchy.

Haniebnie przespałem początek wojny, chociaż wiedziałem, że jest nieunikniona.

W przeddzień mówiłem o tym w nocnym programie popularnego kanału telewizyjnego. Siedziałem nieruchomo, starając się obudzić i zrozumieć całą koszmarną skalę tego wydarzenia. Bo w głębi duszy miałem nadzieję, że wojny nie będzie – putin się nie ośmieli. Mój sen trwał, tylko że teraz to była przerażająca w swej realności wizja, z której nie mogłem się obudzić. Schować się, przerwać jego bezlitosny bieg, wrócić do wczorajszej pokojowej rzeczywistości... Sen rozumu obudził demona rzeczywistości, która nagle zmieniła Ukrainę i świat, mnie, moją rodzinę i przyjaciół, kładąc cień bliskiej gwałtownej śmierci na miliony moich rodaków, z których większość jeszcze nie rozumiała, co się stało.

Ludzie rano tulili do siebie ciepłe, rozespane dzieci, jeszcze żywe, jeszcze uśmiechnięte. Nie zdawali sobie sprawy, że to ich ostatnia cicha noc w ich mieszkaniach, domach, akademikach. Noc z całymi szybami i nierozbitymi naczyniami, bez wycia syren alarmu przeciwlotniczego, z wodą i światłem, z przytulnymi dziecięcymi łóżeczkami i zabawkami, jeszcze nie porozrzucanymi po ulicach. Ostatnia noc bez ruin, spalonych aut, zdewastowanych centrów handlowych i świeżych grobów na podwórkach i placach zabaw.

Milcząc siedziałem na łóżku, a młoda czarnowłosa Maryja z małym boskim dzieciątkiem o imieniu Jezus spoglądali na mnie z obrazu. W jej oczach był śmiertelny smutek, jakby już wiedziała, co spotka jej syna i mój naród.

Coś poszło nie tak

W trzecim dniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę moskiewska agencja prasowa RIA Nowosti opublikowała zawczasu przygotowany na wypadek zwycięstwa artykuł swego czołowego widza (anchor w terminologii amerykańskiej) Piotra Akopowa pod uroczystym tytułem: „Nadejście rosji i nowego świata". Artykuł głosił, że „operacja wojskowa rosji rozpoczęła Nową Erę... rosja odnawia swą jedność – tragedia 1991 roku, ta straszna katastrofa w naszej historii, została przezwyciężona. Ukrainy, jako antyrosji, więcej nie będzie (!), rosja odnawia swój historyczny kształt zbierając ruski mir, ruski naród razem. Teraz problemu podzielonego narodu nie ma – Ukraina WRÓCIŁA do rosji (!) [...] Czyżby w Paryżu i Berlinie poważnie wierzono, że moskwa zrezygnowała z Kijowa? W to, że rosjanie będą wiecznie podzielonym narodem? – pytał autor.

I dalej: „Budowa nowego porządku światowego przyspiesza. Rosja nie tylko rzuciła wyzwanie Zachodowi – ona pokazała, że erę zachodniego globalnego panowania można uważać za całkowicie i ostatecznie zakończoną" (!). Ta kłamliwie-buńczuczna, triumfalna deklaracja była przygotowywana pod zwycięstwo rosji w blitzkriegu, pod uroczystą paradę wojsk rosyjskich na Chreszczatyku, pod masowe rozstrzały ukraińskich „nacjonalistów", pod pochwalną modlitwę rosyjskiej prawosławnej cerkwi patriarchatu moskiewskiego w Ławrze Kijowsko-Peczerskiej z udziałem putina i cyryla-gundiajewa, pod usłużne całowanie pantofli rosyjskiego dyktatora przez ukraińskich zdrajców.

Ale wszystko poszło nie tak, jak wymyślili kremlowscy marzyciele.

To, co zniknęło na zawsze

Jedno, w czym nie pomylił się autor wychwalającego artykułu w RIA Nowosti – to to, że ofensywa rosji rozpoczęła „nową erę".

Świat, który istniał do 24 lutego 2022 roku – świat ustalonych zasad, pokojowego, komfortowego życia, świat politycznych kompromisów i ceremonii dyplomatycznych – to, co nazywa się jałtańsko-poczdamsko-helsińskim porządkiem świata – zniknęło na zawsze, zostając w przeszłości, spłonęło niczym hangar w Hostomelu, w którym leży zniszczony jedyny na planecie superciężki samolot An-225 Mrija.

24 lutego 2022 stary, przedwojenny czas zatrzymał się, chociaż wskazówki zegarów dalej jednostajnie się poruszały. Nastąpiło zniszczenie zwykłego i zdawałoby się, takiego komfortowego i bezpiecznego życia. Inwazja rosji na Ukrainę, śmierć setek tysięcy ludzi, ruiny kwitnącego kraju i katastrofa demograficzna narodu europejskiego są znakiem początku nowej ery w historii ludzkości.

Rosja przywróciła do porządku dziennego historii bezwzględną przemoc i zniszczenie narodów i państw, zasłaniając się absolutnie sfałszowanymi argumentami, kierując się logiką XVI–XVII wieku, ideami paranoidalnymi dyktatora putina – godnego pożałowania imitatora Hitlera i Stalina, ale nie mniej niebezpiecznego, bo władającego bronią atomową.

Za sprawą rosji XXI wiek pokazał swe drapieżne kły, znów przypomniał ludzkości, że diabeł nienawi-

foto. Vladyslav Karpovych/PAP

eprasa.pl e12cc5019d

ści i zabójstw, który przyczaił się na chwilę, nie zginął, znów ożywa, znów straszy ludzkość zagładą.

Orkiestra obłąkanych fanatyków moskiewskich, grając na balistycznych i manewrujących pociskach i systemach artylerii rakietowej, wykonuje uwerturę do III światowej wojny atomowej. To już nie jest muzyka Richarda Wagnera, będąca natchnieniem dla Hitlera, lecz pijane krzyki najemników prywatnej rosyjskiej grupy Wagnera, którzy gotowi są do ataku nie tylko w Ukrainie. Oni chcą grabić i gwałcić całą Europę, cały świat. Na planecie zjawił się nowotwór, który daje przerzuty na różne kraje – od Węgier do Brazylii, od Iranu do Indonezji.

Ordy czerni rosyjskiej

Rok rosyjsko-ukraińskiej wojny przyniósł ogromne globalne zmiany, w których dostrzec można cechy nowej ery – jeszcze nieznanej, niezrozumianej, ale kompletnie innej niż poprzednia. Na naszych oczach dzieje się to, co stało się ze światem po I wojnie światowej: globalna geopolityczna katastrofa, zmiana technologii, poglądów, zwyczajów, systemów uzbrojenia. Genialny hiszpański filozof Ortega y Gasset opisywał to, co stało się ze światem w XX wieku, jako „bunt mas" – wtargnięcie nieoświeconych mas ludzkich do polityki, życia społecznego, nauki i kultury.

Kto opisze rozłam XXI stulecia, gdy ordy czerni rosyjskiej, oszalałych, zaprogramowanych przez propagandę zombie usiłują narzucić ludzkości mentalność opriczników, świadomość czarnej sotni, czekistów i gestapowców? Gdy odrzucając ciężko wypracowane doświadczenie zasad życia międzynarodowego, nieprostych kompromisów, osiągniętych po zakończeniu zimnej wojny, kremlowscy raszyści chcą krwią i ogniem narzucić demokratycznemu światu swój mafijny model budowy świata, „nowy porządek".

Rosja, która produkuje jedynie 1,5 proc. światowego PKB, 30 proc. ludności, która mieszka za granicą biedy technologicznie odstająca, kulturalnie zdegradowana, zdolna jedynie handlować swoimi bogactwami naturalnymi, kraj, z którego uciekają młodzi, utalentowani, kreatywni ludzie, usiłuje dyktować ludzkości swoje warunki rządzenia światem, narzucać złudzenie „ruskiego miru", ksenofobii i obskuranckiego prawosławia.

Czyżby świat miał się zgodzić z tym wyzwaniem ciemności?!

Wojna w centrum Europy

Krwawy rok rosyjsko-ukraińskiej wojny przyniósł niewyobrażalne zmiany, o których nawet nie pomyślibyśmy 24 lutego 2022 roku. Od rozpaczy, paniki i chaosu pierwszych dni wojny, od zdrad i utraty terytorium – do niespotykanej wytrwałości i zaciętości obrońców Ukrainy, do zwycięskich kontrataków, do wiary w końcowe zwycięstwo nad zdziczałym wrogiem. Na ziemiach Ukrainy rozgorzała wielka bitwa, która pod względem intensywności działań wojennych przypomina czasy II wojny światowej.

W Ukrainie dziś walczy 326 tys. rosyjskich najeźdźców, zaścielając pola trupami. Według danych „The New York Times" (03.02.2023) straty rosji w Ukrainie po 11 miesiącach wojny wynoszą około 200 tys. zabitych i rannych, co osiem razy przewyższa straty USA w ciągu 20 lat wojny w Afganistanie. Na 13 stycznia 2023 roku, według danych dowództwa, rosja straciła 114 tys. żołnierzy, 3098 czołgów, 6167 wozów bojowych, 2086 broni palnej, 286 samolotów, 276 helikopterów.

Przypomnę, że liczba czołgów, będących na wyposażeniu Polski wynosi 863, Francji 406, Hiszpanii 327, Niemiec 266, Wielkiej Brytanii 227 jednostek, czyli razem 2089! („Global Firepower", 23.03.2022).

I wojna na taką skalę toczy się w centrum Europy!

Uniwersalne prawo Zmian

Przeszliśmy drogę od zwycięskich rosyjskich marszów i okrzyków o likwidacji Ukrainy, jej narodu i państwa – do jęku moskwy o wojnie z całym NATO, z państwami, które wyrabiają 50 proc. światowego PKB i mają znaczącą przewagę w uzbrojeniu. Od powściągliwie-ostrożnej reakcji niektórych naszych sojuszników w pierwszych dniach wojny, kiedy spodziewano się porażki Ukrainy, do stworzenia koalicji Ramstein z 50 państw – potężnej siły, na fundamentach której zostanie zbudowany w przyszłości system bezpieczeństwa międzynarodowego.

Od kontrproduktywnych przedwojennych ukraińsko-polskich sprzeczek wokół przeszłości i prób prowokatorów z dwóch stron zakłócenia naszej współpracy – do nieprawdopodobnego, niespotykanego w historii wybuchu solidarności Polaków z milionami Ukraińców, którzy ucierpieli w wyniku wojny, do bezprecedensowego wojskowo-politycznego bojowego sojuszu dwóch krajów – sojuszu, mającego fundamentalną przyszłość geostrategiczną.

Nieprzypadkowo wściekają się propagandyści rosyjscy i członkowie dumy państwowej, wzywając do zrzucenia na Rzeszów megatonowej bomby jądrowej, w celu przerwania dostawy broni i amunicji przez Polskę do Ukrainy. Nieprzypadkowo w rosyjskich propagandowych show wybrzmiały przerażone głosy o możliwej porażce w wojnie z Ukrainą ana-

eprasa.pl e12cc5019d

logicznie do niepowodzenia ofensywy Tuchaczewskiego pod Warszawą w 1920 roku.

„Kwestię polską" także zamierza „rozwiązać" już cytowany anchor Akopow: „Problem Polaków – naucza – polega na tym, że oni chcą zająć w oczach Niemców cudze miejsce – miejsce rosji (!). Chociaż tak naprawdę Polska to dawna Ukraina (!), a Ukraina to przyszła Polska". „Aspiracje Polaków, by stać się liderem w Europie, są śmieszne: od czasów Karola Wielkiego (IX wiek) Europa – to dom germański (!) [...] Oni [Polacy – przyp. J. Sz.] mają być podporządkowani prawdziwej Europie Zachodniej. W kolejnym etapie niemiecko-rosyjskich relacji – prorokuje raszysta Akopow – Polska zostanie odstawiona na boczny tor historii.

Taki los szykują dla naszych krajów w moskwie, nie rozumiejąc, że ich własny los podobny jest do chińskiego balonu zwiadowczego, zestrzelonego przez myśliwce USA nad oceanem.

I wreszcie droga nieodwracalnych zmian prowadzi od naiwnej przedwojennej wiary wielu Ukraińców w dobrosąsiedzkie, jeżeli nie „braterskie" relacje z rosjanami – do wściekłej nienawiści, przeklęcia do piątego pokolenia za uczynione okrucieństwa i zbrodnie, za zrujnowane życie ukraińskie, zniszczone rodziny i ich domy. Stąd – masowe przejście ludzi na język ukraiński, niszczenie pomników Puszkina i innych rosyjskich działaczy, fala nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie, nawet do „dobrych" rosjan.

W ciągu jednego roku wojny z całą mocą zadziałało uniwersalne prawo Zmian: wojna stała się nie do opanowania, stała się wojną światową. W bezpośrednim starciu z Ukrainą biorą udział rosja, Białoruś, bliskowschodni Iran i dalekowschodnia Korea Północna. W pośrednie starcie – wojskowo-technologiczne, informacyjne, ekonomiczne, energetyczne – wciągnięto około 150 państw świata. Straty światowego PKB za rok 2022 wyniosą około 7 proc., podwyżka cen oraz inflacja dotknie wszystkie kraje na wszystkich kontynentach. Na skutek wojny ostro zahamowało tempo globalizacji, zerwane zostały ekonomiczne i transportowe więzi, a rosja znika z biznesowej mapy świata, staje się czarną dziurą gospodarki globalnej, wpadając w otchłań autarkii oraz izolacjonizmu. A jej führer putin, występując w Stalingradzie, wciąż straszy świat bronią atomową.

▶ Chcę dożyć naszego zwycięstwa

W ciągu tego roku ja też się zmieniłem. Postarzałem się, straciłem jeszcze kilku przyjaciół, wiele zrozumiałem, przeanalizowałem, możliwe, że nawet trochę zmądrzałem, zbliżyłem się o kolejny krok do Wieczności, do spotkania z rodzicami, bratem, synem, żoną, tymi, którzy wyznaczali duchowe kierunki mego życia.

Ale w ciągu tego krwawego roku zdobyłem nowych przyjaciół – ukraińskich i polskich, odczułem ich wsparcie, znalazłem w sobie siłę, by napisać kilka tekstów, które obnażają raszyzm-putinizm i brudną niewolniczą rosję, jako wiecznego wroga Ukrainy. Pióro – moja jedyna broń w mojej osobistej wojnie z putinem, i ja będę prowadził tę wojnę do ostatniego tchu.

Rok rosyjsko-ukraińskiej wojny przyniósł ogromne globalne zmiany, w których dostrzec można cechy nowej ery – jeszcze nieznanej, niezrozumianej, ale kompletnie innej niż poprzednia.

Nie wiem, jaka będzie nowa era, która bez wątpienia nastanie po tej wojnie: czy to stulecie będzie czasem nuklearnej zagłady ludzkości, rozpoczętej przez putina? Czy nastanie nowy cudowny świat wymarzonej przyszłości – świat nowej architektury globalnego bezpieczeństwa, zbudowanego na racjonalnych kompromisach, świat porządnych polityków i uczciwej informacji?

Nie wierzę w idyllę. Ale czemu nie pomarzyć w tych mrocznych czasach wojny o świetlanej przyszłości? Za to mocno wierzę w to, że zwycięstwo Ukrainy, w które nie wątpię, powinno być całkowite i takie, które zmusi rosyjską bestię do ukrycia się na długo w barłogu i zapomnienia o wojnie i agresji.

Mam 88 lat, możliwe, że nie zobaczę tej nowej ery. Ale chcę dożyć do naszego zwycięstwa. Chcę wrócić do Kijowa i zobaczyć Maryję Pannę z synem Jezusem na moim ulubionym obrazie – jak się uśmiecha, myśląc o Jego Zmartwychwstaniu, o wiośnie i odrodzeniu Ukrainy. ■

_____

Tekst pisany 03 lutego 2023 roku. Wszelkie małe litery w nazwach własnych – zamierzone.

eprasa.pl e12cc5019d

Stefan Czerniecki
czerniecki.net



eprasa.pl e12cc5019d



Do podwarszawskiej Góry Kalwarii przybywa co miesiąc coraz więcej młodych małżeństw zmagających się z problemem bezpłodności. W nowoczesnym XXI-wiecznym społeczeństwie, w którym pełno jest stresu, pośpiechu, przetworzonego jedzenia i innych niesprzyjających czynników, trudności z poczęciem dzieci stają się coraz częstszym problemem. I prawdziwym dramatem dla wielu. Okazuje się, że istnieje dla nich ratunek. Jest rozwiązanie.

Nadzieja dla małżeństw, nadzieja dla rodzin

fot. Paweł Kula

eprasa.pl e12cc5019d

Rzymski poranek. Błękitne niebo nie jest przystrojone w tej chwili najmniejszą nawet chmurką. To będzie kolejny ciepły czerwcowy dzień w Italii. Z każdą minutą nad Wiecznym Miastem przyjemna tyrreńska bryza ustępować będzie narastającej fali gorąca. Póki co na zacienionych wąskich uliczkach pogranicza dzielnic Aurelio i Trastevere jest zupełnie przyjemnie. Dziś sobota. Wielu rzymian pośpi dzisiaj nieco dłużej. Póki co więc nad Wiecznym Miastem zamiast silników słychać raczej piski rozkapryszonych mew. Przyleciały znad wybrzeża. Wypatrują największych placów, gdzie będą mogły znów żebrać o jedzenie, gdy wreszcie na rzymskich ulicach na dobre zacznie się życie.

Przy jednokierunkowej Via della Madonna del Riposo prowadzącej do cudnie zielonego o tej porze roku Parco di Villa Carpegna widać ciąg zaparkowanych sznurem samochodów. Auta stoją tak ciasno, że nie sposób przejść swobodnie na drugą stronę ulicy między ich zderzakami. Zbliża się godzina ósma. Życie w Wiecznym Mieście powoli będzie się zaczynać.

▶ Przygotowania

Są. Ci sami, co zawsze. W tej kwestii nie będzie dziś żadnego wyjątku. Jako pierwszy pojawi się Alessandro, potem przyjdzie Daniele, a za nim Marco. Następnie wiecznie spieszący się do pracy Mauro, który dziś z racji wolnego dnia przychodzi nieco później. Na koniec jak zawsze ci sami. Niezależnie, czy jest dzień pracy, czy sobota. Zrelaksowali, spokojni i rozleniwieni: Alessio z Roberto. Dopiero po nich pojawi się reszta klienteli. Bo przecież każdy szanujący się rzymianin musi mieć swoją kafeterię. Swoje przedłużenie kuchni. Swoje miejsce, gdzie za półtora euro wypije pierwsze espresso rozpoczynającego się właśnie dnia, gdzie koniecznie zajedzie przed pracą. Albo jak w przypadku dzisiejszego dnia, przed leniwym południem rozkosznego czerwcowego wolnego od pracy czasu. Przyjdzie nie tylko dlatego, bo tak nakazuje ich rzymska tradycja. Nie tylko po to, aby dać upust swoim kubkom smakowym uzależnionym już od przepysznej, gorącej i aromatycznej lavazzy. Przyjdzie także po to, by pozdrowić właściciela, omówić wynik wczorajszego meczu Romy. A następnie, by ze zwiniętą pod pachą gazetą udać się w stronę zaparkowanego obok skutera. I pognać dalej. W swoją stronę.

Pomieszczenie powoli wypełnia woń dopiero co uruchomionych młynków do kawy. Dzień można uznać za oficjalnie rozpoczęty. Wspomniane szybkie espresso czy wykwintne cappuccino z pianką. Nieistotne. Liczy się ceremoniał, obecność, włoska mantra poranka. To wokół kafeterii roztacza się urok włoskiego poranka.



Charakterystycznie pochylony w stronę ołtarza sarkofag ze św. Ojcem Stanisławem to pątniczy cel dla wielu małżeństw

Tak, Rzym już się obudził. Zaczęła się zbiorowa wędrówka, dla większości rzymian w odwiedziny do przyjaciół. Do sklepu na weekendowe zakupy, albo na rodzinną wycieczkę. To jednak propozycje dla miejscowych. Turyści na ten dzień mają inne plany. Dla nich to następny dzień do zrealizowania kolejnych punktów oszacowanego programu zwiedzania. O tej porze roku znajdziemy ich niemal wszędzie. Spacerujących w grupach bądź osobno. Krzykliwych Niemców, skupionych na swoich przewodnikach, Japończyków czy nieco zdezorientowanych Amerykanów. Będą się snuć wąskimi uliczkami. Pośród wywieszonych między oknami suszących się ubrań. Od Piazza di Santa Maria do Via della Scala. Od Via della Lungara do Via dei Penitenzieri. Od Piazza di S. Eustachio do Piazza della Maddalena. I tak dalej.

Kolejka do Bazyliki św. Piotra sięga już końca kolumnady. Między oczekującymi słychać prawdziwy językowy miks. Stoją Włosi, Hiszpanie, Latynosi, Amerykanie, Ukraińcy, Polacy... Większość co rusz spogląda w prawo. Tam wyżej. Ponad kolumnadę. W kierunku tego, co niedostępne. Murów, za którymi mało kto może przebywać.

eprasa.pl e12cc5019d

Na pełnym rozgardiaszu i wodnego szumu fontann placu nie widać jeszcze póki co żadnych oznak tego, co miałoby się tu wydarzyć nazajutrz. Żadnych rozstawionych krzesełek. Żadnych rozstawionych balustradek. Żadnego polowego ołtarza dla biskupa Rzymu.

Mój współlokator-świadek

Niewiele dalej, ot, trzy kilometry na zachód od placu św. Piotra, atmosfera zdaje się być już zupełnie inna. Przed hotelem przy Via di Torre Rossa widać przechadzających się ludzi. Nie ma u nich oznak pośpiechu. Jakiś mężczyzna staje przy niewielkim stoliku, aby zapalić papierosa. Inny przegląda rozłożoną na pobliskim fotelu „La Repubblicę". Obok z założonymi na plecy rękoma spaceruje grupka czterech mężczyzn. Na porośniętym malowniczym zielonym żywopłotem hotelowym skwerku zbiera się kilkunastoosobowa grupa. Jeszcze z walizkami w rękach. Najwidoczniej nie zdążyli się jeszcze zakwaterować.

Wśród zebranych są przede wszystkim mężczyźni. Ubrani są w większości na czarno. Względnie młodego wieku. Gro z nich nie przekroczyło jeszcze trzydziestki.

– Panie Stefanie! – woła mnie jeden z mężczyzn. – Mogę poprosić? To jest ten człowiek. Kojarzy pan? Dziadek tego chłopca... – Ksiądz Jan przedstawia mi stojącego obok starszego mężczyznę. – Przydzieliłem was do jednego pokoju, dobrze?

– Nie ma sprawy. Z przyjemnością – odpowiadam, spoglądając na stojącego w milczeniu mężczyznę, choć nie do końca nadążam za rozumowaniem przedstawiającego nas sobie księdza Jana. Nie czas jednak na dopytywanie. Pora się zakwaterować.

Korytarz, którym idziemy do hotelowego pokoju, rozświetlają migające lampy. Chyba jakaś żarówka niedomaga. Zostało kilka schodków i zaraz będziemy na miejscu.

– Zna pan historię mojego wnuka? – Mój współlokator rozciąga się na swoim łóżku. Długa podróż do Rzymu chyba mocno dała mu się we znaki.

– Pańskiego wnuka? – odpowiadam, by dopiero po chwili przypomnieć sobie słowa księdza Jana sprzed kilku minut o dziadku pewnego chłopca.

– No, tak... Jasia[1]. To właśnie jego ocalił błogosławiony ojciec Stanisław. Jutro też będą na placu św. Piotra, córka z mężem oraz właśnie ich synek mają nieść relikwie do ołtarza.

– Zaraz, zaraz... Chce mi pan powiedzieć, że to pan jest dziadkiem chłopca, który doświadczył cudu, który Watykańska Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych uznała jako wystarczający do tego, by Papczyńskiego wynieść na ołtarze? – szybko się łapię, że z wrażenia zacząłem mówić nieco głośniejszym tonem.

– Tak. To właśnie Jaś.

– Opowie mi pan tę historię?

– Myślę, że będziemy mieli jeszcze okazję... – uśmiecha się pogodnie mój współlokator.

Cud

Jest rok 2000. Dwudziestoletnia Natalia wraz z mężem spodziewają się dziecka. Są szczęśliwi. Wszak tak bardzo pragnęli potomstwa. Niestety pojawiają się komplikacje. Lekarze wyrażają swoje obawy, czy dziecko na pewno dotrwa do urodzenia. Któregoś dnia kobieta dostrzega na ubraniu czerwone krople krwi. Przejęta udaje się niezwłocznie do szpitala. Tam spada na nią tragiczna informacja. Jej dziecko nie żyje. Doszło do samoistnego poronienia.

To wielki cios. Tak dla Natalii, jak i dla jej męża oraz dla całego ich otoczenia. Małżonkowie jednak się nie poddają.

W lutym 2001 roku pełna nadziei kobieta zwraca się do męża z informacją, że chyba się udało. Badania wykazują, że znów jest w ciąży. Oczywiście istnieje uzasadniona obawa o życie dziecka. Po niedawnej traumie w głowie małżonków momentalnie pojawiają się najrozmaitsze scenariusze. Jest lęk. Jest niepewność.

Po kilku tygodniach czarny scenariusz zaczyna się sprawdzać. Po kilku pierwszych badaniach u ginekologa, z których wynikało, że z dzieckiem wszystko jest w porządku, nadchodzą trudniejsze dni. Natalia zaczyna skarżyć się na intensywne bóle brzucha. Gdy przejęta zgłasza się do lekarza, słyszy porażającą diagnozę. Dziecku nie bije serce. Lada moment ma dojść do samoistnego poronienia. W szpitalu obserwują także zmniejszanie się pęcherzyka płodowego w porównaniu z wymiarami, jakie osiągnął on w poprzednich dniach. Wszystko wskazuje na smutną diagnozę. Lekarz zaleca Natalii natychmiastowe odstawienie lekarstw podtrzymujących ciążę, tak, aby mogło dojść do samoistnego poronienia. Historia zdaje się znów zataczać koło. Szok, niedowierzanie. Zniechęcenie.

Właśnie wówczas małżonkowie postanawiają zawierzyć swoje dziecko Bogu. Każdego dnia, prosząc o życie dla niego przez wstawiennictwo pewnego

fot. Paweł Kula

1 Na potrzeby reportażu zmieniono imię bohatera. Ze względu na to, by zapewnić rodzinie spokojne funkcjonowanie, komisja celowo nie upubliczniła danych osobowych uzdrowionego chłopca.

eprasa.pl e12cc5019d



Zgromadzone na Mariankach figury nawiązują do pasyjnego charakteru miasta Nowej Jerozolimy i do stacji drogi krzyżowej, które były usytuowane wzdłuż ulicy Kalwaryjskiej

polskiego zakonnika, człowieka, który nazywał się Stanisław Papczyński. Był spowiednikiem króla Jana III Sobieskiego. Duchownym, który założył Zgromadzenie Księży Marianów – pierwsze męskie zgromadzenie zakonne na polskich ziemiach. Kapłanem, który – prócz znanego w kościelnych kręgach – charyzmatu opieki nad duszami czyśćcowymi, zdążył zasłynąć z potężnego wstawiennictwa zwłaszcza za rodzinami zmagającymi się z problemami z poczęciem potomstwa. Opieki nad małżeństwami w kryzysie czy też dziećmi przeżywającymi trudności.

Małżeństwo modli się i ufa. Nadal obserwując, czy rzeczywiście dojdzie do poronienia, o którym z taką stanowczością mówili lekarze. Poronienie jednak nie następuje. Wprawdzie badanie wykonane już następnego dnia po feralnej informacji jedynie potwierdziło najgorszą diagnozę, nadal nie dochodzi do poronienia. Lekarze oznajmiają, że jeśli w ciągu kilku najbliższych dni nie dojdzie do samoistnego poronienia, przeprowadzą zabieg usunięcia martwej ciąży. Mija kolejny dzień, za nim następny. Nieco zdezorientowana Natalia ponownie zgłasza się do lekarza. Jest środa, 4 kwietnia 2001 roku, kiedy kobieta zostaje poddana kolejnemu badaniu ultrasonograficznemu. Przeprowadzający badanie lekarz zaczyna przecierać oczy ze zdumienia. Kilka razy sprawdza historię ciąży, spogląda na poprzednie wyniki badań.

– Nie rozumiem... – szepcze wreszcie, jakby sam do siebie. – Nie potrafię tego państwu wyjaśnić – lekarz po chwili milczenia zwraca się wreszcie do obojga małżonków. – Państwa dziecko żyje. Mało tego. Z badań wynika, że nic mu nie dolega. Rozwija się wręcz wzorcowo.

Jaś przychodzi na świat w środę 17 października 2001 roku jako całkowicie zdrowy chłopiec. Rodzice bardzo szybko decydują się opowiedzieć swoją historię mariańskim zakonnikom opiekującym się grobem ojca Papczyńskiego. W podwarszawskiej Górze Kalwarii na tzw. Mariankach. Ci przekażą sprawę dalej. Stanie się na tyle ważka, że Ojciec Święty Benedykt XVI uzna ożycie martwego dziecka za cud, wydając dokument otwierający drogę do beatyfikacji ojca Papczyńskiego. Ta dokona się 16 września 2007 roku w Sanktuarium Maryjnym w Licheniu.

Trudna codzienność

Mój współlokator opowiada historię ocalonego wnuka z zupełną prostotą. Z wiarą i pokorą. Dosko-

fot. Paweł Kula

eprasa.pl e12cc5019d

nale zdając sobie sprawę, że jego rodzina dotknęła w pewnym sensie tematyki Sacrum. Zjawiska nadprzyrodzonego, czegoś, co w Kościele zazwyczaj nazywane jest cudem.

– Podobnych historii mamy tu naprawdę wiele – mówi ze spokojem w głosie ksiądz Edmund Szaniawski, marianin posługujący na Mariankach. Przez lata pełnił posługę egzorcysty. Dziś w pierwsze soboty miesiąca prowadzi w sanktuarium św. Ojca Papczyńskiego cykliczne msze święte z modlitwą o uwolnienie i uzdrowienie.

– Przybywają do nas ludzie z najróżniejszymi historiami. Gros z nich dotyczy właśnie problemów z poczęciem. Bardzo wielu z tych ludzi po pewnym czasie do nas wraca, by ze wzruszeniem opowiadać, że Bóg wysłuchał ich próśb. Mamy z wyraźnie już zaokrąglonymi brzuszkami doskonale wyczuwają, czyjemu wstawiennictwu zawdzięczają ten dar, ten cud. Bardzo często przychodzą po kilku miesiącach z prośbą, aby ochrzcić ich dziecko w naszym Wieczerniku [tak popularnie nazywany jest niewielki kościół Wieczerzy Pańskiej zbudowany w Górze Kalwarii w 1674 roku, gdzie to po dziś dzień znajduje się sarkofag z ciałem św. Stanisława Papczyńskiego – przyp. aut.].

Już za kilkanaście godzin przyjdzie nam z sympatycznym współlokatorem opuścić nasz hotelowy rzymski pokój, by spotkać się na pobliskim placu św. Piotra. Udadzą się tam zresztą wszyscy inni hotelowi goście – i młodzi marianscy klerycy z całego świata, którzy dzień wcześniej krzątali się na hotelowym skwerku, i ojcowie marianie z wszystkich misji na pięciu kontynentach, i czciciele wielkiego świętego, i sami wierni z Polski, którzy przylecieli do Rzymu specjalnie na tę uroczystość, wreszcie także rodziny cudownie uzdrowionych wraz z dziadkiem ocalonego Jasia. Zbierzemy się wspólnie, aby uczestniczyć w mszy kanonizacyjnej wielkiego patrona rodzin. Wielkiego patrona małżeństw. Wielkiego patrona Polski.

Niedziela 5 czerwca 2016 roku zapisze się złotymi zgłoskami nie tylko w dziejach Zakonu Księży Marianów, lecz także całego polskiego Kościoła. Oto bowiem nasz kraj otrzyma kolejnego potężnego patrona. A wszystkie rodziny kolejnego świętego, przez którego wstawiennictwo będą mogły od tej pory zanosić do Nieba kolejne sprawy ze swej codzienności. Trudnej codzienności.

▶ Będzie świętym

Rzymskie południe. Na środku placu św. Piotra nie ma w tej chwili nawet odrobiny cienia. Słońce nie ma litości dla żadnego z tysięcy zbierających się od rana wiernych. Podczas mszy świętej przez opalony słonecznymi promieniami plac w procesji z darami idzie kilkoro ludzi. Przesuwają się powoli i dostojnie. Jest między innymi młody Jaś. Piętnastoletni już chłopiec, który wraz z rodzicami niesie w kierunku papieskiego ołtarza relikwię przyszłego świętego. Chłopiec, którego historia zaprowadziła Papczyńskiego na ołtarze jako błogosławionego. Obok Jasia idzie też kobieta. To ta sama osoba, dzięki której świadectwu polski zakonnik zostanie lada chwila kanonizowany.

Jest 2008 rok. Młoda, ledwie dwudziestoletnia pacjentka zostaje przyjęta na szpitalny oddział płucny w bardzo ciężkim stanie. Lekarze rozpoznają u kobiety zapalenie płuc. Po przeprowadzeniu badań stwierdzają, że to *etiologia Streptococcus pneumoniae*. Pacjentka zostaje przeniesiona na oddział intensywnej terapii. Jeszcze nie wie, że spędzi tam najbliższe 35 dni. Bardzo ciężkie 35 dni.



Św. Stanisław Papczyński jest m.in. patronem rodzin zmagających się z trudnościami z poczęciem

fot. Paweł Kula

eprasa.pl e12cc5019d



Uroczystości na Mariankach gromadzą rzesze wiernych

Kilkugodzinna niewydolność oddechowa, destabilizacja układu krążenia oraz inne powikłania sprawiają, że kobieta znajduje się w bardzo ciężkim stanie. Organizm przeżywa wstrząs septyczny. Z czasem dołączyła się do tego niewydolność wielonarządowa. Chora została zaintubowana i podłączona do respiratora, z czasem także wprowadzona w stan śpiączki farmakologicznej. Mijają dni bezskutecznej terapii.

Po 20 kolejnych dniach – pomimo konsultacji z innymi ośrodkami medycznymi oraz stosowania wielokierunkowej terapii – u kobiety następuje kolejne załamanie. Ponowny wstrząs septyczny tylko pogorsza i tak fatalną wydolność oddechową oraz pogłębia wielonarządową dysfunkcję. Lekarze widzą brak reakcji chorej na terapię. Nie są w stanie zrobić już nic więcej. Stan kobiety jest beznadziejny. Do tego stopnia, że lekarz prowadzący terapię postanawia poinformować mamę chorej o tym, że trzeba już zacząć przygotowywać się na najgorsze. Sytuacja wydaje się beznadziejna.

Poinformowana rodzina chwyta się ostatniej deski ratunku. Świadomi powagi sytuacji sięgają po nowennę za przyczyną bł. Stanisława Papczyńskiego. Starają się odmawiać ją wspólnie. Codziennie. Oddając Bogu ich ukochaną.

W międzyczasie stan kobiety zaczyna się bardzo szybko poprawiać. Po paru dniach lekarze obserwują całkowite ustąpienie objawów niewydolności oddechowej oraz krążeniowej. W RTG klatki piersiowej nie stwierdza się też żadnych zmian zapalnych. Mało tego, nie widać tam żadnych śladów, które wskazywałyby na przebytą niedawno chorobę. Tak się składa, że gdy przypada akurat ostatni dzień odmawianej przez rodzinę nowenny, kobieta zostaje wybudzona i ekstubowana. Lekarze nie mają pojęcia, co tutaj zaszło. Bezradni notują jedynie w dokumentacji, że „wyzdrowienie jest całkowite, trwałe i bez śladów przebytej choroby".

Koniec choroby kobiety to zarazem początek żmudnego toku zbierania aktów oraz ich analizy w kościelnych kręgach zajmujących się dokumentacją podobnych przypadków. Kościół chce być bardzo ostrożny w podobnych sytuacjach. Przesłuchuje kolejnych świadków. Bada dokumenty. 17 września 2015 roku Konsulta Lekarska w Rzymie uznaje wspomniane uzdrowienie za bardzo szybkie, pełne i trwałe, niewytłumaczalne według współczesnego stanu wiedzy medycznej. Trzy tygodnie później, 10 listopada, Konsulta Teologów w Rzymie uznaje w uzdrowieniu kobiety cud dokonany przez Boga za wstawiennictwem bł. ojca Stanisława Papczyńskiego, by wreszcie 22 stycznia 2016 roku ustami Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych promulgo-

eprasa.pl e12cc5019d

wać dekret o cudzie za przyczyną polskiego zakonnika.

Wystarczy wiara

– Od 11 lat prowadzę u nas w sanktuarium na Mariankach pierwszosobotnie nabożeństwa – tłumaczy ze spokojem i bez zbędnych emocji ksiądz Edmund. – W drugą sobotę miesiąca poświęconą sprawom niepłodnych małżeństw i w trzecią przeznaczoną rodzicom spodziewającym się potomstwa, nabożeństwa prowadzi ks. Jan.

Ojciec Edmund Szaniawski, marianin. Tego kapłana na Mariankach zna tutaj niemal każdy. Zawsze jest na służbie, by pomagać przybywającym pielgrzymom. – To doprawdy niezwykły kapłan – mówi mi kobieta w średnim wieku. Mieszka niedaleko stąd. Bliżej centrum Góry Kalwarii. – W jego posłudze widać nadzwyczajne działanie łaski Bożej.

Na tę pokorę i oddanie liczą niektórzy z odwiedzających podwarszawskie sanktuarium. Wśród nich była swego czasu także pewna kobieta. Miała na imię Elżbieta. Jej córka spodziewała się dziecka. Niestety lekarze stwierdzili u chłopca poważną wadę. Ciąża zdawała się zagrożona. Pani Elżbieta zabrała więc córkę, by wspólnie przyjechać na Marianki. Po modlitwie przy grobie św. Stanisława Papczyńskiego natrafili na przechodzącego nieopodal księdza Edmunda. Podeszli, wyjaśniając, z jakim problemem tu przyjechali. Prosząc o modlitwę i błogosławieństwo. Ksiądz Edmund cierpliwie słuchał, by na końcu powiedzieć ze spokojem, że „wszystko będzie dobrze". I rzeczywiście. Po kilku miesiącach, gdy wyniki badań okazywały się coraz gorsze, naraz ku zdumieniu lekarzy mały Franciszek urodził się zupełnie zdrowy.

– Skąd ksiądz wiedział już wtedy, że będzie dobrze? – pytam wprost duchownego, nawiązując do tej niezwykłej historii. – Miał ksiądz jakieś objawienie? Coś księdzu to podpowiedziało podczas modlitwy?

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiada ze stoickim spokojem ksiądz Edmund. – Po prostu wierzyłem w moc modlitwy. To był jedynie wyraz mojej wiary, także wiary rodziców dziecka. A może raczej „aż". Byłem przekonany, że Pan Bóg tutaj pomoże. Że św. Stanisław Papczyński zaopiekuje się tym maleństwem. No to się zaopiekował. Jak zresztą setkami albo i tysiącami innych.

Niesamowity święty

Góra Kalwaria. 30 kilometrów na południe od Warszawy. Południowa część miasta. Nieopodal krajowych wylotówek na Grójec oraz Warkę. Zielony prostokąt ograniczony ulicami Polną, Marianki oraz Stanisława Papczyńskiego. To właśnie tutaj, w cieniu niewielkiego leśnego zagajnika znajduje się bardzo niewielkie sanktuarium. Tuż za główną bramą widać białą murowaną świątynię małych rozmiarów. Z ciemną dachówką. To właśnie tutaj spoczywa sarkofag z ciałem św. Stanisława Papczyńskiego.

Ksiądz Edmund mieszka tuż obok, w domu zakonnym księży marianów. Gdy zwracam się do duchownego z prośbą o kilka świadectw ludzi uzdrowionych za wstawiennictwem św. ojca Stanisława, ten prosi o jeden dzień na zebranie materiału.

– Mamy tu tego naprawdę dużo. Przez cały rok spływają do nas kolejne świadectwa. Część listownie, o części dowiaduję się od ludzi, którzy przychodzą, aby opowiedzieć nam osobiście swoją historię. Jeszcze inni dzwonią – tłumaczy.

Gdy przychodzi czas rozmowy, ksiądz Edmund zanurza nos w przygotowanych skrzętnie notatkach na zebranych kartkach. – Sam pan widzi, ile tego jest... – odpowiada z uśmiechem.

W ten sposób dowiaduję się o historii Katarzyny. Kobiety, która o charyzmacie św. ojca Stanisława dowiedziała się podczas jego beatyfikacji w Licheniu, gdzie jakimś zrządzeniem losu akurat przebywała w Wielkopolsce. „Dostałam wtedy na uroczystości krótką książeczkę z nowenną przez jego wstawiennictwo – czytamy w liście. – Tak się złożyło, że byłam wtedy w ciąży. Jednak podczas jednego z badań USG wyszło, że w brzuchu nie ma zarodka. Zostało samo tylko żółte ciałko. Rozpoczęłam najdłuższy tydzień mojego życia. Przez cały ten czas wspólnie z mężem klęczeliśmy i modliliśmy się otrzymaną w Licheniu nowenną. Po tygodniu zrobiliśmy kolejne badanie. Okazało się, że dziecko żyje! A jego serduszko zdrowo bije! Wkrótce nasza Weronika przyszła na świat jako zdrowe dziecko".

Ksiądz Edmund szeleści kolejnymi kartkami. Widać, że próbuje wybrać takie historie, które nie będą nazbyt długie. Podejrzewam, że nie chce mnie zamęczać natłokiem historii oraz szczegółów.

– A może sam ksiądz ma jakąś historię, którą mógłby mi opowiedzieć? – pytam, żeby zabić ciszę, która przez chwilę zapanowała podczas kartkowania kolejnych stron świadectw.

– Przed dwoma laty przyjechało do naszego sanktuarium pewne małżeństwo. Chcieli się pomodlić i poprosić o dar potomstwa – zaczyna opowieść marianin. – Akurat przechodziłem obok Wieczernika. Zaczepili mnie, opowiadając swoją historię. Na koniec poprosili o modlitwę i błogosławieństwo. Rodzice zapamiętali, że było to 20 lutego 2021 roku. I wie pan co się okazało? Że dokładnie po roku, 19 lutego 2022 roku urodził im się Antoś. Święty Stanisław Papczyński jest naprawdę niesamowity... ■

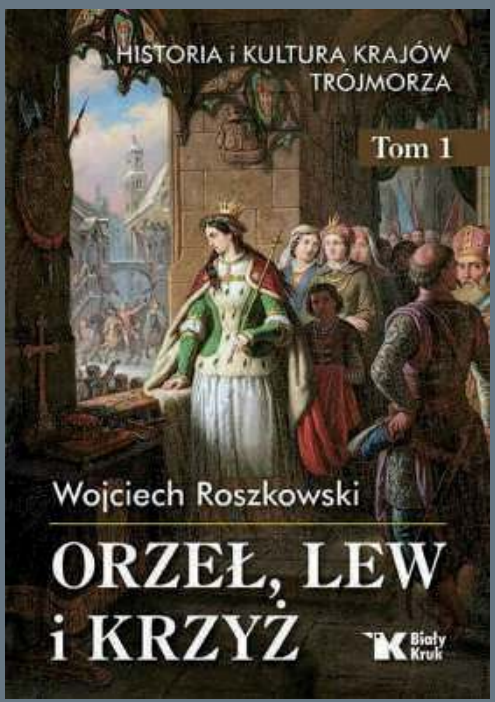
fot. Arch Marianki

eprasa.pl e12cc5019d

ORZEŁ, LEW I KRZYŻ. PROFESORA ROSZKOWSKIEGO OPOWIEŚĆ O TRÓJMORZU



Tomasz Łysiak



Czasem wojny, ostre konflikty wymuszają szybsze i dynamiczniejsze poszukiwanie takich inicjatyw polityczno-strategicznych, które budują wspólne bezpieczeństwo. Myśli o Trójmorzu czy też Międzymorzu, jako o inicjatywie międzypaństwowego bezpieczeństwa gospodarczego czy militarnego, nie są nowe – wystarczy wspomnieć idee geopolityczne marszałka Piłsudskiego. By móc jednak owe idee wdrożyć w czyn, trzeba najpierw odpowiedzieć sobie na ważne pytania dotyczące tożsamości państw i ich korzeni cywilizacyjnych, które taką wspólną przestrzeń mogą tworzyć i tworzą. Dlatego książka prof. Wojciecha Roszkowskiego „Orzeł, Lew i Krzyż. Historia i kultura krajów Trójmorza" trafia w dobry czas – tworzy bowiem pole do pogłębiania świadomości, budowania wiedzy o nas samych i naszych sąsiadach.

eprasa.pl e12cc5019d

Geografia. Rzut oka na mapę to jeden z klasycznych, najdawniejszych sposobów opowiadania o dziejach. Nie bez kozery. Żeby zrozumieć historię starożytnego Sumeru, musimy mieć przed oczami mapę. Podobnie rzecz ma się z antyczną Grecją, Rzymem, średniowiecznym państwem Karolingów czy międzykontynentalnym imperium brytyjskim. Dzieje Mezopotamii są w jakiejś mierze wpisane w bieg rzek Eufratu i Tygrysu. Zasięg rzymskich terytoriów w Europie wyznaczał limes – granica, która z naturalnych powodów przebiegała w wielu miejscach tam, gdzie znajdował się nurt rzeki Dunaj.

Środek Europy

Geografia stanowi więc punkt wyjścia do opowiadania o krajach Trójmorza (Międzymorza) – z definicji leżących „między trzema morzami": Bałtykiem, Morzem Czarnym i Morzem Śródziemnym. Inaczej mówiąc, Trójmorze to obszar zwany czasem Europą Środkowo-Wschodnią. Niesłusznie na Zachodzie nazywany „Wschodem" Europy – zbyt łatwo nad Sekwaną czy Renem zapomina się o tym, że środek naszego kontynentu leży właśnie w jednym z krajów Trójmorza. Niektórzy znajdują go w okolicach Białegostoku w Polsce, inni na Litwie, jeszcze inni w Czechach, Austrii, na Ukrainie czy w Rumunii. Dziwnym trafem ten wędrujący (w zależności od wyliczeń geografów) europejski środek ląduje co rusz w jednym z państw Międzymorza, o którym opowiada książka Roszkowskiego.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, czytając historię narodów i kultur środkowej Europy, że w jakiś sposób definiował ją też w swoich znakomitych pracach Feliks Koneczny – snujący wizję podziałów starej Europy na światy zdominowane przez kulturę zachodnią, łacińską oraz wschodnią, w której olbrzymie znaczenie dla losów kontynentu miała historia Rosji, tego imperialnego kolosa zbudowanego na kulturowej mieszance tradycji bizantyjskich, prawosławnych, a także azjatyckich (w tym w sposób szczególny mongolskich). Bo to w końcu imperializm rosyjski zagrażał wolnemu bytowi wielu państw środkowej Europy. Ale z drugiej strony ekspansywną, imperialną politykę prowadziły też kraje zachodnie, w tym przede wszystkim Niemcy. To geografia determinuje w olbrzymiej mierze te przebiegi dziejowe – gdy leży się pomiędzy potęgami, pomiędzy olbrzymami, gigantami, mocarstwami – łatwo ulec albo zgnieceniu, albo wchłonięciu. Oba te destrukcyjne procesy przez stulecia stanowiły zagrożenie dla wspólnot państwowych i kulturowych krajów Trójmorza. I może to nas właśnie łączy? Los „państw zagrożonych" staje się losem wspólnym, pomimo różnic?

Rzeczy wspólne, rzeczy odmienne

Różnice stanowią tu jeden z najciekawszych elementów refleksji nad historią i kulturą krajów Trójmorza. Mamy tu bowiem na południu Bułgarię, Serbię, Rumunię. Mamy Austrię, Czechy, Słowację, Węgry. Mamy naszą Polskę z jej dziedzictwem Rzeczypospolitej kilku narodów. I wreszcie mamy kraje bałtyckie – Litwę, Łotwę i Estonię. Jakaż tu rozpiętość geograficzno-kulturowa! Jakie różnice, widoczne choćby w obszarze językowym! Jak zrozumieć mowę Węgra czy Estończyka, gdy się jest Słowianinem z Polski lub Czech? Przecież języki ugrofińskie mają tak odmienne korzenie językowe, że nawet na poziomie najprostszych słów nie znajdziemy podobieństw. Więcej ich będzie czasem między polskim a niemieckim niż między polskim a węgierskim... A z drugiej strony jak dobrze my, Polacy, moglibyśmy się dogadać ze Słowakami, Ukraińcami czy Słoweńcami! Tyleż wspólnych spraw, co diametralnych różnic.

A dodajmy jeszcze kwestię odmienności religijnych w obrębie chrześcijańskiego kręgu kulturowego – od prawosławia przez katolicyzm po wyznania protestanckie. Dorzućmy wreszcie różnice w alfabetach i tradycjach piśmienniczych. I już zaczynamy widzieć, że twór, o jakim mówimy – owo Trójmorze – jest migotliwy i pełen zaskakujących kontrastów oraz tradycji, o których czasem, my Polacy, nie mamy nawet pojęcia. Owszem, dumni jesteśmy z Kopernika czy naszego Mickiewicza (czy na pewno „naszego"? – od razu padnie pytanie), ale czy znamy postaci stanowiące kulturowe punkty odniesienia dla Węgrów, Rumunów czy Łotyszy? W końcu to także ich losy składają się na dzieje oraz dziedzictwo innych krajów Trójmorza. Rzućmy więc okiem na kilka takich postaci opisywanych w książce Roszkowskiego...

Herosi i legendy

Oto w Braniewie swego czasu żył i mieszkał znakomity XVI-wieczny poeta węgierski Bàlint Balassi. Urodzony w Zvolen (na dzisiejszej Słowacji), studiował w Egerze w latach 1573–1574, a do Rzeczypospolitej zajechał w roku 1577, po tym, gdy na tron polski wybrany został Siedmiogrodzianin Stefan Batory. Potem wrócił na Węgry, by tam skutecznie trwonić majątek na hulanki. Wreszcie kilkanaście lat później wrócił do Polski – bywał w Dębnie, na zamku Kamieniec i w Krakowie. Pi-

eprasa.pl e12cc5019d

sał poezję. Oraz tłumaczył Machiavellego. Spod jego pióra wyszły znakomite strofy w wierszach religijnych. Jest uznawany za najwybitniejszego węgierskiego poetę XVI wieku, a jego imieniem nazywanych jest wiele instytucji kultury. Kto poza mieszkańcami Braniewa zna jego historię?

A kto słyszał o łotewskim eposie – historii Niedźwiedziobójcy, która najpierw istniała w legendach przekazywanych z pokolenia na pokolenie i została spisana dopiero pod koniec XIX wieku przez poetę Andreasa Pumpursa? Ile osób zna poemat „Lāčplēsis"? A tymczasem legenda ta sięga początków wieku XIII, opowiada o dawnych bóstwach, w tym o Ojcu Przeznaczenia i o młodym bohaterze, tytułowym Lāčplēsis – Niedźwiedziobójcy – uratowanym z nurtów Dźwiny przez boginię i pilnowanym w Kryształowym Pałacu przez piękną i cnotliwą dziewicę. Niedźwiedziobójca, rzecz jasna, w dziewczynie się zakochuje. Jest on zapowiadanym w proroctwie „Zbawcą Łotyszy".

Z kolei u Estończyków rolę takiego eposu spełnia „Kalevipoeg" („Syn Kaleva"), który opublikowany w 1861 roku przez Reinholda Kreutzwalda, jest także literackim przetworzeniem mitów, podań i legend ludowych.

I tak podążać możemy bez końca śladami historycznych i literackich postaci Międzymorza. Pojawi się tu i Władysław Palownik (ten już zapewne bardziej znany nad Wisłą) i ojciec Janez Svetokriški, kapucyn ze Słowenii, i Nikola VII Zrinski, szlachcic chorwacki i węgierski, ban chorwacki, bohater walk z Turkami, polityk i poeta.

Miejsce Polski

Ale też płynie w tej opowieści o krajach Trójmorza ciąg dziejów – w tym czasy chrystianizacji, czyli wejścia w obszar kultury i cywilizacji chrześcijańskiej. Jak różne są koleje losu państw w tym względzie, wiemy my sami – wystarczy, gdy prześledzimy historię I Rzeczypospolitej i naszych przemian kulturowo-cywilizacyjnych. A to przecież ważna refleksja nie tylko dla nas, ma ona bowiem znaczenie wybitne dla zrozumienia charakterystyki dziedzictwa historyczno-kulturowego krajów Trójmorza, wśród których Polska odgrywała i odgrywa znamienną rolę. Umiejętność dobrej interpretacji tego, co zdawałoby się oczywiste – jak choćby wpisania się kraju Piastów poprzez chrzest Mieszkowy w obręb zachodniej cywilizacji – jest tu kluczowa. Zjazd gnieźnieński w roku 1000 i wizja nowej Europy przedstawiana przez Ottona III, namaszczenie Bolesława Chrobrego na władcę „wschodniej części" europejskiego świata, to w jakiejś mierze początek misji polskiej. Potem kontynuowanej w ciągu następnych wieków. Misji, w której nadejdzie i chwila chrystianizacji Litwy, i obrona polskich racji na soborze w Konstancji w starciu z Krzyżakami. To już wtedy trwała walka nie tylko o miejsce polityczne Polski na mapie Europy, lecz także jej miejsce w świadomości ówczesnego świata, jej wizerunek, wymiar kulturowotwórczy dla całego regionu. Trzeba potem było tę misję kontynuować wszelkimi sposobami – zarówno na otwartym uniwersytecie czy kartach książek, jak i z mieczem w ręku. Przy czym bez zwarcia z mieczem w ręku nie byłoby rzecz jasna i książek, i uniwersytetów.

Pojawią się więc w tomie prof. Roszkowskiego tak potrzebne dla zrozumienia procesów kształtujących losy krajów Trójmorza bitwy i starcia, zarówno z wrogiem pochodzącym z innego kręgu religijno-kulturowego, jak i te „wewnętrzne" bitwy i wojny między potęgami Europy. W sposób nieunikniony wyznacznikiem wspólnym losu krajów Trójmorza staje się tu właśnie wspomniana już geografia, czyli położenie pośrodku, pomiędzy Wschodem i Zachodem.

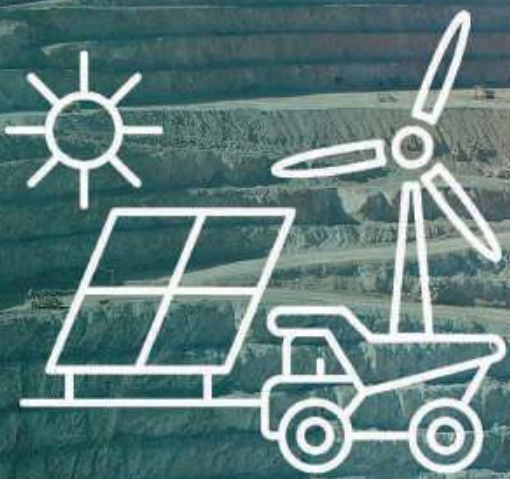
Tu dochodzimy do kwestii niezmiernie ważnych – tworzenia się pojęć, które obecnie wiążemy z definicjami narodu. W średniowieczu wspólnoty tworzą się wokół idei koron, władztw, dynastii. Ciągle kwitną dawne, wywiedzione z antyku pojęcia i byty państwowe, takie jak „cesarstwo rzymskie". Geografia świata średniowiecznego to także „mapa genealogiczna" – niezwykła siatka powiązań i koligacji między domami panującymi, która tworzy z Europy jedną, wielką „rodzinę". Dzieje się to poprzez ciągłą wymianę krwi pośród koronowanych głów. Ot, w żyłach króla Fryderyka II Hohenstaufa płynęła krew niemiecka, włoska, normańska, burgundzka. Także pomiędzy tronami Węgier i Polski, między książętami dzielnic i państw dochodziło do ciągłej „wymiany genów". A obok genów, również powiązań i nici kulturowych.

Jednak narody zaczęły się wypalać w innym tyglu – nie tylko kolebek naturalnych, w których tożsamość wykuwa wspólnota języka, kultury, obyczaju, lecz także w związku z zagrożeniami. To bijąc się o suwerenność i możność samostanowienia z Habsburgami, królami Prus czy carami rządzącymi w Moskwie lub Petersburgu, hartowała się w ogniu tych walk najszlachetniejsza substancja, która stała się spoiwem. Spoiwem łączącym tak różne zdawać by się mogło państwa i narody krajów Trójmorza. Tym spoiwem jest Wolność. ■

eprasa.pl e12cc5019d

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Zielona Kopalnia KGHM w Chile



Sierra Gorda 100% energii z OZE

Sierra Gorda to jedna z pierwszych kopalni na świecie w pełni zasilana energią pochodzącą ze źródeł odnawialnych. Polski koncern KGHM to siódmy na świecie producent miedzi i drugi na świecie producent srebra.

eprasa.pl e12cc5019d

Czy to jeszcze miłość?

Małgorzata Matuszak



Potrzebujemy miłości i możemy czerpać ją z różnych źródeł. Co jednak w sytuacji, gdy obiekt miłości człowiekiem nie jest? To niebezpieczne zjawisko, bowiem może prowadzić do wypaczenia zarówno natury ludzkiej miłości, jak i do wyrządzenia krzywdy istocie innego gatunku.

eprasa.pl e12cc5019d

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnim czasie zaszły ogromne zmiany w kontekście naszej świadomości o zwierzętach. Traktujemy je jak członków naszej rodziny, przywiązujemy większą wagę do prawidłowego odżywiania naszych pupili, czytamy o ich wychowaniu, jesteśmy z nich dumni, martwimy się o ich zdrowie i chcemy dla nich jak najlepiej. To nic złego, wręcz przeciwnie, dopóty jednak, dopóki jesteśmy świadomi jednej, podstawowej rzeczy: różnicy gatunkowej i wynikających z tej różnicy konsekwencji. Pies – bo to jego najczęściej dotyka „uczłowieczanie" – pozostanie psem bez względu na to, jak bardzo chcielibyśmy upodobnić go do człowieka i największym wyrazem naszej do niego miłości jest respektowanie jego potrzeb jako przedstawiciela swojego gatunku. Niektórzy zaś w „uczłowieczaniu" idą jeszcze dalej, szukając obiektu miłości poza światem istot żywych.

Pułapki miłości transgatunkowej

Opisując miłość transgatunkową możemy mówić o pewnym etycznym zagadnieniu, które polega na miłości człowieka do istot nienależących do jego własnego gatunku oraz do przedmiotów nieożywionych. Niekiedy miłość ta jednak polega na chęci upodobnienia obiektu uwielbienia do człowieka. W takiej sytuacji mamy do czynienia z ludzką chęcią zjednoczenia się czy też zagarnięcia obiektu miłości, który człowiekiem nie jest, a więc nie może odpowiedzieć na ludzkie potrzeby i być partnerem dla człowieka ze względu na to, że nie wykazuje ludzkich cech. W tej sytuacji następuje zamazanie różnicy między człowiekiem a tym, co gatunkowo mu odległe, co może prowadzić do wypaczenia zarówno natury ludzkiej miłości, jak i do wyrządzenia krzywdy istocie innego gatunku. Taka wypaczona miłość transgatunkowa ze względu na zamazanie tej różnicy gatunkowej może być nie tylko niebezpieczna dla tego, co kochane, gdyż nie bierze pod uwagę jego odmiennej natury, lecz jest także wątpliwa pod względem etycznym, gdyż właściwie nie może troszczyć się o potrzeby i brać pod uwagę specyfiki i odmienności gatunkowej innej istoty niż człowiek. W człowieku zaś takie uczucie miłości w przypadku jego dużej siły może prowadzić do frustracji i poczucia niezaspokojenia, o ile przenosi on na istotę inną od człowieka swoją potrzebę miłości i oczekuje od niej ludzkiego sposobu okazywania miłości.

Przypadkiem wypaczonej miłości transgatunkowej może być nasze przywiązanie do zwierząt o tyle, o ile doszukujemy się w nich cech i reakcji ludzkich oraz o ile staramy się upodobnić zwierzę do człowieka. Czynimy to na wiele sposobów – czy to ubierając je w wymyślne ubrania, a nawet krępujące ruchy przebrania, czy to wyznaczając mu ludzkie role w swoim świecie, traktując zwierzę jak własne dziecko i posyłając je na przykład na zajęcia w psim przedszkolu, zapominając o tym, że nie jest to przedszkole dla dzieci. Takie formy postępowania leżą czasem w zakresie ludzkiego zachowania, ale mają wymiar etyczny tylko wtedy, gdy ktoś umie zachować dystans do własnych zachowań i potrafi traktować je umownie, a nie dosłownie. Wtedy nie musi to być zachowanie nieetyczne wobec zwierząt, szczególnie tych, które zimą marzną na dworze i wymagają ubrania dostosowanego do pogody, czy w sytuacji, gdy socjalizujemy i szkolimy nasze szczeniaki w otoczeniu innych młodych psów.

Sytuacja jednak się zmienia, gdy istnieją w człowieku niezaspokojone potrzeby kontaktu z drugim człowiekiem i na zwierzę zrzuca się odpowiedzialność za ich zaspokojenie. W takiej sytuacji redukuje się zwierzę do obiektu, który służy zaspokojeniu naszych potrzeb bliskości i miłości, ignorując własne potrzeby zwierzęcia i nie chcąc dostrzegać jego odrębności gatunkowej, co może wiązać się z przypisywaniem jego reakcjom właściwości ludzkich. Tak postawa wobec zwierzęcia może być zarówno nieetyczna, jak i wyrażać życzeniową skłonność człowieka, aby zwierzę zachowywało się tak samo jak człowiek, co nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Ryzyko antropomorfizacji

Trzeba to właściwie jednak zrozumieć. Człowiek zawsze w dużym stopniu antropomorfizował rzeczywistość poza sobą, przypisując jej cechy ludzkie, nie jest bowiem w pełni możliwe, abyśmy mogli żyć w świecie, mając przekonanie, że jest on nam absolutnie obcy. Ta skłonność człowieka pozwala mu zachować poczucie bezpieczeństwa w świecie oraz może być źródłem dla wielu wytworów kultury – sztuki, literatury oraz muzyki. Słyszalna jest również w naszym potocznym języku: mówimy, że za oknem „szaleje" wichura, że drzewa jesienią „wyglądają smutno", że świat się na nas „obraził", że chcemy „zatrzymać" lato i że wiosna „nadchodzi". W naszym języku istnieje cała mnogość określeń, które sugerują, że przypisujemy światu działania i określenia, które odnoszą się do człowieka. Zwroty te stosujemy nawykowo i nie umielibyśmy bez tych metafor prawdopodobnie mówić o świecie i o innych istotach różnych od człowieka. Z reguły jednak pamiętamy, że są to metafory.

Jednak w sytuacji, gdy łączą nas jakieś bliskie więzi – mamy psa lub kota, który jest dużo bardziej niż kamień podobny do człowieka, gdyż jest również istotą żywą – wtedy łatwo nam stracić wyczucie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e12cc5019d

różnicy między nami a bliskim nam zwierzęciem. Myślimy o nim i odbieramy go, stosując w dużym stopniu kategorie przełożone z ludzkiego świata: mówimy na przykład, że pies nas oszukuje czy że kot się obraził. Oczywiście zwierzęta dysponują szerokim wachlarzem emocji oraz doświadczają życia wewnętrznego, jednak zawsze musimy pamiętać, że ich przeżywanie nie musi być prostą analogią do ludzkiego świata. Dlatego w naszej miłości do zwierząt, chcąc je szanować, nie powinniśmy przede wszystkim upodabniać ich do samych siebie. Bo tylko tak może istnieć nie tyle miłość międzygatunkowa – kiedy człowiek, obcując ze zwierzęciem, rozumie i pamięta to, że ma do czynienia z istotą inną od siebie.

Niezaspokojone potrzeby

Możemy również mówić o innym wymiarze miłości transgatunkowej w przypadku miłości do istot nieożywionych, które jednak jakoś odpowiadają na nasze ludzkie potrzeby i przypominają człowieka. Przykładem takim jest opowiedziana w filmie „Her" („Ona", 2013 rok, reż. Spike Jonze) miłość pewnego człowieka – pisarza Theodora – do istoty wirtualnej. Otóż wymieniona w tytule Ona jest sztuczną inteligencją, z którą główny bohater, mocno sfrustrowany nieudanymi związkami z kobietami, nawiązuje relację w ramach usług nowych technologii. Pod względem intelektualnym Ona jest zaprogramowana tak, by umiała odpowiadać i zaspokajać ludzkie potrzeby. Różni się od żywych kobiet jedynie pod względem umysłu – jest doskonalszą wersją tego, co potrafi żywy człowiek. Główny bohater, utrzymując relację ze sztuczną inteligencją, czuje się szczęśliwy i spełniony, jednak brakuje mu tego, czego nie ma i nie może dać mu wirtualny świat – prawdziwej bliskości oraz obecności ludzkiej. Po wielu perypetiach Theodor dojrzewa do myśli o zerwaniu swojego związku z robotem i powrocie do żywego świata, który może jest niedoskonały i ludzie w nim nie mają super zdolności umysłowych, ale jest żywy i prawdziwy i oferuje prawdziwą, choć nie zawsze łatwą miłość. Film ten mówi o tym, że człowiek mimo że ma skłonność do ucieczki od świata i życia we własnej wyobraźni, że dąży i będzie dążył do tego, co idealne, to nie jest w stanie być jednak w pełni szczęśliwy poza tym światem i tylko drugi człowiek może dać mu szczęście wynikające z ludzkiej obecności.

To film prognozujący, jak może wyglądać przyszłość ludzkości, i uświadamiający prawdziwe potrzeby człowieka, jednak i we współczesnym świecie nie brakuje przykładów szukania obiektów miłości wśród rzeczy. Ich liczba wręcz niepokojąco ostatnimi czasy się zwiększa. W Internecie znaleźć można wiele przykładów „związków" mężczyzn i kobiet z lalkami. Szacuje się, że w samej Japonii w „związku" z lalkami pozostaje około 20 tys. mężczyzn i tego typu relacje nikogo tam nie dziwią. Senji Nakajuma na przykład, choć ma żonę i dzieci, swe codzienne życie dzieli z lalką o imieniu Negumi. Dlaczego? Bo tego typu „partnerki" nie oceniają i nie mają dużych oczekiwań. Twierdzi, że swoją „partnerkę" lubi nie tylko za jej wygląd, lecz także osobowość. Pewien Australijczyk z kolei, cierpiący długo z powodu samotności, postanowił ją zapełnić – ponoć bardzo skutecznie – towarzystwem lalki Kariny. Przedstawił ją nawet swojej mamie, która początkowo była zszokowana, po pewnym czasie jednak zaakceptowała nietypową relację jej syna. 37-letnia Brazylijka natomiast własnoręcznie stworzyła szmacianą kukłę na kształt mężczyzny i nadała jej imię Marcelo. Zakochała się w niej tak bardzo, że wzięła z nią ślub, a następnie ogłosiła, że „jest w ciąży". „Poród dziecka", które jest także szmacianą lalką, relacjonowała w mediach społecznościowych. O swoim „mężu" mówiła tak: „Marcelo to człowiek, którego zawsze pragnęłam. Życie małżeńskie z nim jest cudowne. Nie walczy ze mną, nie kłóci się i po prostu mnie rozumie. Jest wspaniałym i wiernym mężem. Zazdroszczą mi tego wszystkie kobiety".

Prawdziwa miłość

Potrzebujemy miłości i możemy czerpać ją z różnych źródeł. Jednym z nich jest miłość, jaką okazujemy naszym zwierzętom domowym, głównie psom i kotom, choć niektórzy deklarują swe uczucie również do zwierząt innego gatunku. Jeśli jest to zdrowa relacja, zaspokajająca potrzeby emocjonalne i fizyczne zwierzęcia, nieoczekująca czegoś, co wykracza poza możliwości tej relacji, uszczęśliwi ona zarówno człowieka, jak i zwierzę. W odniesieniu do obiektów nieożywionych trudno o jakąkolwiek namiastkę chociaż miłości i prawdziwe uszczęśliwienie człowieka obdarzającego „uczuciem" tego typu obiekt, bez względu na to, jak bardzo ktoś przekonywałby, że jest inaczej. Nie możemy szukać w czymś, co nie jest człowiekiem, ludzkich cech. W przypadku zwierząt, zwłaszcza psów, łatwo tę granicę przekroczyć. Zwłaszcza wtedy, gdy nie układają się nam nasze relacje z ludźmi, gdy zastępują one rodzinę czy przyjaciół, zaspokajają naszą potrzebę bycia potrzebnym i nadają życiu sens. Możemy kochać zwierzęta, jeśli jednak naprawdę je kochamy, winniśmy respektować różnicę i odmienność gatunkową pomiędzy nami a nimi. ■

eprasa.pl e12cc5019d

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Różni ludzie, różne potrzeby
jedna platforma PZU Benefity

Zainspiruj **swoich pracowników**.
Poznaj ofertę platformy **PZU Benefity**.

Dowiedz się więcej na **pzu.pl/benefity**

eprasa.pl e12cc5019d



Piotr Lisiewicz

Na dnie bolszewickiego oceanu. Ukraina, Józewski i łzy w oczach Piłsudskiego

eprasa.pl 612cc5019d

„Polska »wystąpiła z brzegów« i stanęła nad Dnieprem razem z walczącą o wolność Ukrainą” – pisał Henryk Józewski o wyprawie kijowskiej. Po przyjeździe do Warszawy 26 stycznia 1920 roku o kijowskiej działalności wywiadu K.N.III meldował Piłsudskiemu. „Komendant miał wilgotne oczy, a może było tak, jakby Komendant miał w oczach łzy... Było to największym naszym odznaczeniem, jakąś prawdą, która wyciągnęła do nas rękę... Słyszałem bicie serca Polski” – zapamiętał.

FOT. NAC

eprasa.pl e12cc5019d

To niepospolity człowiek, cały pochłonięty polityką w wielkim stylu, piękny, zimny, szlachetny, ideowy, a zarazem gracz znakomity. Patrzę na niego, jak na rzadki w Polsce fenomen, może obok Marszałka jedyny" – pisała o Henryku Józewskim powieściopisarka Maria Dąbrowska. Życiorys męża stanu i malarza Henryka Józewskiego to droga niezachwianego antykomunisty: był jednym z twórców wywiadu piłsudczykowskiego, najważniejszym politykiem z nadania Marszałka budującym polsko-ukraińskie związki, wreszcie jednym z Żołnierzy Wyklętych, ukrywającym się w PRL aż przez osiem lat.

„Rosja jest najbardziej odrażająca w twarzach polskich, którym rysy i charakter nadaje niewolnicza służba Rosji" – te szczególnie dziś aktualne słowa napisał Henryk Józewski w tekście opublikowanym po jego śmierci w 1982 roku w paryskich „Zeszytach Historycznych".

Amerykański historyk Timothy Snyder napisał książkę „Tajna wojna. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę". Dlaczego Amerykanin napisał książkę o człowieku, o którym w Polsce mówi się zaskakująco niewiele? „Józewski nie myślał jednak w kategoriach geopolitycznych. Rozumował raczej na poziomie idei. Był antykomunistą. W bolszewizmie widział śmiertelne niebezpieczeństwo zarówno dla Ukraińców, jak i Polaków, a nawet dla Rosjan. To było coś straszliwego; uniwersalne zagrożenie, któremu trzeba wspólnie dać odpór" – mówił Snyder w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej".

Był generałem i katował chłopów

Nie ma postaci, której idee byłyby bardziej aktualne w Polsce w rok po napaści Rosji na Ukrainę, niż Henryk Józewski. Nie publikował wiele, bo zajmował się realną, ryzykowną walką o niepodległość Polski, której mogłoby zaszkodzić nadmierne gadulstwo. Ale to, co pozwolił opublikować po swojej śmierci w 1981 roku w „Zeszytach historycznych" paryskiej „Kultury", robi oszałamiające wrażenie. Książka „Zamiast pamiętnika" w III RP ukazała się dopiero w 2017 roku, czyli po 28 latach jej trwania. Wcześniej nie było zapotrzebowania na analizę mechanizmów z dawnych lat, bo analogiczne działała w czasach III RP.

Józewski pisał, iż cechą Rosji, czy to carskiej, czy bolszewickiej jest „zoologiczna nienawiść do walki o wolność Ukrainy i żandarmski stosunek do Polski zabarwiony niepokojem i obrzydzeniem". Nie był też miłośnikiem rosyjskiej inteligencji: „Daje się zaobserwować, że »przepaść nie do przebycia«, a w każdym razie niechęć i obcość cechują też stosunek do Polski i polskości wielkiej rosyjskiej literatury".

Z Piłsudskim łączyło Józewskiego przekonanie, że gdy Polska potrafi wznieść się na wyżyny swojego potencjału, może poradzić sobie z Sowietami. I umiejętność prowadzenia realnych działań przybliżających ten cel.

Moskwa doceniała znaczenie jego osoby. W sowieckiej książce propagandowej „100 największych wrogów rewolucyjnego proletariatu Rosji Sowieckiej" Józewski występował jako gruby generał (nie był generałem) o zawadiackiej minie, który posiada na Wołyniu wielkie majątki ziemskie, w których bestialsko katuje chłopów (majątków takowych nie posiadał).

Trauma, bo nie zapalił się uniwersytet

Henryk Józewski urodził się 6 sierpnia 1892 roku w Kijowie. Jego ojciec był cenionym inżynierem. Młody Henryk już w gimnazjum działał w tajnej organizacji uczniowskiej „Korporacja". Zajmowała się ona m. in. samokształceniem. Działały w jej ramach koła humanistyczne, literackie, przyrodnicze i filozoficzne.

„Próg polskiego domu niełatwo było przekroczyć Rosjaninowi" – tak po latach wspominał ówczesne podejście Polaków do rosyjskiego okupanta. Jak stwierdzał „kompromis, oportunizm i tzw. »rozum praktyczny« podpowiadały pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy... Polskość stawała się w tych warunkach czymś zakonspirowanym, izolowanym rzeczywistości urzędowej".

Jego nonkonformizm popychał go od wczesnych lat do udziału w ideowych sporach. 14-letni Józewski toczył w szkole z księdzem spory o istnienie Boga oraz prawdziwość teorii Darwina.

W 1909 roku został studentem Uniwersytetu Kijowskiego na wydziale fizyko-matematycznym. Studenci powołali na uczelni swą organizację – Filarecję, na wzór Filarecji Wiedeńskiej. Wchłonęła ona gimnazjalną Korporację, a Józewski został jej prezesem. Działała w niej młodzież postępowo-niepodległościowa, bliska ruchowi strzeleckiemu. Jej nastroje były odmienne od tamtejszych „oficjalnych" polskich elit, bliskich Narodowej Demokracji.

Działalność Filarecji nie ograniczała się do samokształcenia. Józewski na ochotnika zgłosił się do wykonania jednej z jej akcji dywersyjnych. Chodziło o rzucenie „bomby" wypełnionej merkaptanem do instalacji ogrzewania gmachu uniwersyteckiego. Zgodnie z zapowiedzią jej konstruktorów miał niezwłocznie wybuchnąć pożar. Niestety, bomba nie wybuchła. „Za to wybuchło moje upokorzenie. Nieudany zamach... Tak wyglądał mój pierwszy wyczyn rewolucyjny" – pisał z goryczą.

Zaraz po wybuchu wojny w 1914 roku Filarecja podpisała razem z najbardziej ideowym odłamem

eprasa.pl e12cc5019d

młodzieży ukraińskiej wspólną odezwę. „Tekst polski był wydrukowany z tekstem ukraińskim na jednym arkuszu. Ślubowano wzajemnie braterską pomoc i braterstwo broni w walce o wyzwolenie spod obcego jarzma Polski i Ukrainy" – wspominał.

Ze strony Filarecji podpisał ją Józewski, a ze strony ukraińskiej Włodzimierz Szulgin, brat późniejszego ministra spraw zagranicznych Ukrainy. „Włodzimierz Szulgin padł pod Krutami, miejscu dziś historycznym, gdzie kwiat młodzieży ukraińskiej stoczył bohaterską i nierówną walkę z bolszewickimi hordami idącymi na Kijów" – napisze w „Zeszytach Historycznych".

Bracia strzelcy, ciemne typy

W lipcu 1914 roku Józewski pojechał do Krakowa, by w imieniu kijowskiej Filarecji zameldować się u komendanta Piłsudskiego. Przyjął go Walery Sławek. Wobec zbliżających się walk Józewski zadeklarował chęć wstąpienia do Legionów, ale Sławek kazał mu wracać do Kijowa i zostać łącznikiem pomiędzy Legionami a tamtejszą organizacją.

Wielu młodych Polaków zdołało przedostać się z Kijowa do Legionów. Ale wśród oficjalnych polskich czynników w Kijowie idee Filarecji nie znalazły zrozumienia: „Natrafiliśmy na mur. Polski zbrojny czyn w toczącej się wojnie nie mieścił się w wyobraźni kijowskiego polskiego społeczeństwa, skądinąd patriotycznego, zasługującego na szacunek, ale myślącego »trzeźwo«. Tak było nie tylko w Kijowie – tak było w całej Polsce. Jest to akcent pouczający w stawaniu się historii i życia narodu".

Jak pisał, „polskie samopoczucie i polski patriotyzm układały się harmonijnie z lojalnością wobec rosyjskich władz... Nie był to oportunizm – była to »polityczna teoria«". Z protestami spotkała się też odezwa, w której padły słowa o „braciach naszych strzelcach", których uważano za „ciemnych typów".

Wbrew owym „oficjalnym czynnikom" stworzyli w Kijowie oddział POW. W 1915 roku Józewski wraz z ojcem otrzymał od carskiej władzy urzędowy nakaz wyjazdu do Saratowa. Związany był on z tym, że ojciec urodził się w Krakowie, a poddanych austriackich Rosjanie chcieli mieć jak najdalej od frontu.

Dostosował się do tego nakazu, bo w Kijowie nie był zbyt użyteczny, jako osoba powszechnie znana z prowadzonej działalności. W Saratowie mógł zorganizować nowy okręg POW.

Nienawiść do wolnej Ukrainy i żandarmski stosunek do Polski

Do Kijowa wrócił w 1917 roku. Był świadkiem najdonioślejszych wydarzeń dla ukraińskiej tożsamości: „»Wybuch Ukrainy« był czymś olśniewającym i niesłychanym. Ukraina stała się błyskawicznie. W mgnieniu pojawiło się państwo ukraińskie, wyposażone we wszystkie państwowe atrybuty".

„W roku 1918 widzę powódź chłopskich furmanek zalewających kijowskie jezdni... Tak wchodził do Kijowa Ataman Symon Petlura, jedna z największych postaci Ukrainy" – pisał. Z rozkazu Piłsudskiego został wiceministrem spraw wewnętrznych w rządzie Petlury. Swoją rolę charakteryzował następująco: „Byłem Polakiem – mężem zaufania Polski i byłem Polakiem – wiceministrem ukraińskim, mężem zaufania Ukrainy. Nie byłem »narzędziem« Polski w ukraińskim rządzie, nie byłem »agentem« albo »wtyczką«".

Kijów przechodził z rąk do rąk, dochodziło do wielu krwawych wydarzeń. Józewski podkreślał, że istota moskiewskiego zamordyzmu mimo ewolucji jego form – z carskich w komunistyczne – pozostawała niezmienna. „Akcja Denikinowska pomimo walki z bolszewikami była w swej istocie niemniej istinno ruskaja. I tu duch rosyjski został wierny sobie, a może zoologiczna nienawiść do walki o wolność Ukrainy i żandarmski stosunek do Polski zabarwiony niepokojem i obrzydzeniem" – stwierdzał.

O tym, jak bolszewizm walczący z caratem przejmował jego cechy, pisał tak: „W bolszewizmie akcent rosyjskości w odniesieniu do Ukrainy znalazł swe żywiołowe, największe, na jakie Rosję stać, wypełnienie".

O tym, jak bolszewizm walczący z caratem przejmował jego cechy, pisał tak: „W bolszewizmie akcent rosyjskości w odniesieniu do Ukrainy znalazł swe żywiołowe, największe, na jakie Rosję stać, wypełnienie".

eprasa.pl e12cc5019d

Dodawał, iż atutem w ręku bolszewickiej Rosji była niedojrzałość polityczna Europy i Ameryki w orientowaniu się w życiu wschodniej Europy. A także ich „nieznajomość zagadnienia rosyjskiego".

W kotle bolszewickiego terroru

Po co Piłsudski nakazał Józewskiemu i Filarecji zostać w Kijowie? Powodem był kryptonim, który jest do dziś rzadko przytaczany przez historyków, a zapisał się w historii Polski złotymi zgłoskami: „K.N.III". Jego rozwinięcie oznaczało: Komenda Naczelna III Polskiej Organizacji Wojskowej (POW).

Prowadziła ona działalność wywiadowczą na terenie Ukrainy, Białorusi i Rosji, a jej informacje – jak można zrozumieć z oszczędnych relacji świadków – miały istotne znaczenie dla polskiej niepodległości. K.N.III była dziełem studentów. Jak pisał Józewski, po prostu „Filarecja z czasem przyjęła postać K.N.III". W konspiracji Józewski poznał swoją przyszłą żonę – Julię Bolewską.

O tym, czym była K.N.III, nie mówiono głośno w II RP. Bo walka polskiego wywiadu z Sowietami trwała. Bohaterowie K.N.III nie byli więc wspominani. Józewski pisał: „O nazwiskach poległych żołnierzy K.N.III nie usłyszymy na uroczystych werblach za poległych żołnierzy polskich, nie padną słowa »poległ na polu chwały«".

O tym, że był założycielem i ostatnim komendantem tej formacji, pisał: „Jest to najbardziej zaszczytne stanowisko, jakie życiu zajmowałem". Stwierdzał, iż „w pewnym sensie wielkość K.N.III stała się wielkością znieważoną i właśnie dlatego tym większą, bo pozbawioną skazy »uznania«".

Jej historia opanowania Kijowa przez bolszewików po rewolucji październikowej była dramatem, naznaczonym śmiercią wielu polskich patriotów. „Znaleźliśmy się w zamkniętym kotle bolszewickiego terroru. Przychodziło mi nieraz na myśl, że znajdujemy się na dnie oceanu. Nad naszymi głowami przelewają się olbrzymie masy wody – nie do przebycia – dopiero nad nimi unosi się firmament ludzkiego wolnego świata" – taki opis podpowiadała mu malarska wyobraźnia. Jak stwierdzał, gdy w 1920 roku „wyprawa kijowska" wkraczała do tego miasta, K.N.III „była krwawym strzępem".

Polska wystąpiła z brzegów

„Polska »wystąpiła z brzegów« i stanęła nad Dnieprem razem z walczącą o wolność Ukrainą" – pisał o kijowskiej wyprawie. Po przyjeździe do Warszawy 26 stycznia 1920 roku o kijowskiej działalności K.N.III meldował Piłsudskiemu. „Komendant miał wilgotne oczy a może było tak, jakby Komendant miał w oczach łzy... Było to największym naszym odznaczeniem, jakąś prawdą, która wyciągnęła do nas rękę... Słyszałem bicie serca Polski" – zapamiętał.

W czasie wojny 1920 roku z polecenia Piłsudskiego objął dowództwo nad dywersją w razie zajęcia Warszawy przez bolszewików. Po zawarciu pokoju w Rydze w marcu 1921 roku, który kończył wojnę polsko-bolszewicką, Józewski zaangażował się w pomoc ukraińskim politycznym emigrantom. W tym byłemu premierowi Petlurze, który znalazł się w Polsce i poszukiwali go sowieccy agenci. Wspominał: „W bardzo krótkim czasie zorganizowałem wyjazd do Tarnowa. Znalazłem się w wagonie z dwoma towarzyszącymi mi peowiakami z KN III. Kazałem im zabrać ze sobą broń. [...] Wszedłem do pokoju atamana. Rozmowa toczyła się w cztery oczy. Poinformowałem go o sytuacji. [...] Proponuję natychmiastowy wyjazd ze mną do Warszawy. Ataman miał mi zaufać. Zrobił to bez chwili wahania".

Petlura ukrywał się w mieszkaniu Józewskiego. Potem przeniósł się do majątku Stanisława Stępowskiego pod Grójcem. Ostatecznie wyjechał do Francji 31 grudnia 1923 roku.

W 1923 roku Józewski zamieszkał na Wołyniu, gdzie otrzymał ziemię jako osadnik wojskowy. Zagospodarował też opuszczony klasztor. Wraz z Jerzym Stempowskim, synem swojego przyjaciela Stanisława, oraz Władysławem Korsakiem „założyli zakon artystyczny". Po dwóch latach powrócił do Warszawy, gdzie dalej zajmował się malowaniem.

> Józewski pisał, iż cechą Rosji, czy to carskiej, czy bolszewickiej, jest „zoologiczna nienawiść do walki o wolność Ukrainy i żandarmski stosunek do Polski zabarwiony niepokojem i obrzydzeniem".

eprasa.pl e12cc5019d

W czasie zamachu majowego stanął po stronie Komendanta. Opisywał jego reakcję po zwycięstwie: „Do Komendy Miasta przyszli dziennikarze z Wojciechem Stpiczyńskim na czele. Spodziewano się deklaracji dyktatorskiej, słów na miarę Mussoliniego, tymczasem dziennikarze usłyszeli słowa – »za dużo nieprawości«".

Walka z partią Ozjasza Szechtera

Jak pisał Józewski, zamach majowy wzmocnił państwo polskie, co przyznał w jednej z wypowiedzi Stalin. Premier Bartel zaproponował mu stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Nie chciał go przyjąć, wolał być – zgodnie z wcześniejszymi planami – wojewodą wołyńskim. Przeważyła oczywiście prośba Marszałka: „zróbcie to dla mnie" i zapewnienie, że jest ministrem tylko na krótko i potem zostanie wysłany na Wołyń.

Kandydaturę Józewskiego na wojewodę atakował, co charakterystyczne, senator Makuch, ukraiński nacjonalista. „Większego czorta dla Ukrainy nie ma. Jest to człowiek, który dąży nie tylko do zyskania sympatii Ukraińców, ale do tego, aby naród ukraiński miał go za swego. Z czcigodnym kolegą Głąbińskim porozumiemy się zawsze – Głąbiński rozpłynął się w błogim uśmiechu – z tym panem nie dogadamy się nigdy" – mówił. Dodajmy, że Głąbiński był... endekiem.

Wrogiem, z którym musiał sobie radzić Józewski, niekiedy zbrojnie, była Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy (jej historia została niedawno przypomniana z racji na fakt, że w jej władzach działał ojciec Adama Michnika, Ozjasz Szechter). Józewski znał metody Moskwy. Wspominał „zajadłą sowiecką dywersję, podstępną akcję podziemną z hasłami rewolucji socjalnej w okręgach Polski centralnej i rozpalaniem narodowej nienawiści na Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej. Rosja robiła wszystko, by uniemożliwić albo opóźnić stawanie się Polski".

Na Wołyniu współpracownikiem Józewskiego był poeta Józef Łobodowski. Jak wspominał, Józewski powierzył mu redagowanie pisma „Wołyń", który nadał mu „orientację »prometeuszowską«, ideologię »wyprawy kijowskiej«".

„Dramat Józewskiego polegał na tym, że idąc uparcie wytyczoną drogą nie mógł on zadowolić ani Polaków, ani Ukraińców. Tamci widzieli w nim ukrainofila, ci – polonizatora. Eksperyment wołyński nie mógł się udać jeszcze i dlatego, że był ograniczony do jednego województwa, podczas gdy w sąsiedztwie szaleli gen. Gustaw Paszkiewicz i wojewoda Wacław Kostek-Biernacki, o którym pewien wybitny komunista wyraził się, że powinien otrzymać order Lenina, gdyż tysiące najlepszych agentów moskiewskich nie potrafiłoby skomunizować Polesia tak szybko, jak to uczyniło genialne zachowanie się urzędu wojewódzkiego w Brześciu" – pisał Łobodowski.

Józewski przeciwny był polonizowaniu Ukraińców na siłę i zmuszaniu ich do porzucania prawosławia. Jak wspominał Łobodowski, w jego ramach „dochodziło do takich tragikomedii, jak historia chłopa Kościuka, 80-letniego dziada, w którego wmówiono, że jest polskim szlachcicem, pochodzącym w prostej linii od »generała Kościuszki«. Chłop przeszedł w tajemnicy przed rodziną na katolicyzm, ale przywitany w domu istnym piekłem i biciem garnków przez żonę, córki i świekry, ciężko się rozchorował i ani lekarz, ani – co gorsza – znachorka nie mogli mu pomóc. Zainterweniował pop, przedstawiając chorobę jako karę bożą, niedoszły Kościuszko wrócił na prawosławie, chorobę natychmiast zdjęło jak ręką odjął. Potem z całego Wołynia ściągały pielgrzymki wiernych, aby ujrzeć cudownie nawróconego".

Józewski wyliczał, co zrobiła Polska dla jego województwa. Gdy Wołyń znalazł się w granicach Rzeczypospolitej, do szkół ludowych uczęszczało 15 tys. dzieci, w 1938 roku – 250 tys. „Osiągnęła to Polska o własnych siłach. Polska powracająca z gruzów powojennych i długoletniej niewoli, w czasach kryzysów ekonomicznych wstrząsających światem" – podkreślał.

Nie miał wątpliwości, po co Rosja wywołała Wielki Głód na Ukrainie: „Głód był jednym ze środków obezwładnienia Ukrainy. Spopielałe w nędzy dnie codziennie sprzyjały demoralizacji, krzewieniu się strachu, zanikowi ludzkiej godności... Miazga ta miała się stać materiałem dla wyprodukowania moskiewskiego modelu Ukrainy".

Kościuk, potomek Kościuszki

Z powodu prowadzonej przez siebie polityki Józewski niebezpieczny był dla wszystkich, którzy zainteresowani byli w tym, by pomiędzy Polakami i Ukraińcami nie było zgody. Socjalista Adam Pragier wspominał w londyńskich „Wiadomościach" po latach: „OUN działała pod hasłem »nie powinno być spokoju na Ukrainie Zachodniej!«. Zabijała więc przede wszystkim tych, którzy zmierzali do jakichś form pojednania polsko-ukraińskiego i stabilizacji stosunków na obszarze o ludności mieszanej. Z tej racji został zabity poseł na sejm Tadeusz Hołówko, z tejże racji próbowano dokonać zamachu na wojewodę wołyńskiego Henryka Józewskiego, a i Pieracki także gdy tylko objął władzę począł szukać dróg porozumienia z Ukraińcami i z tej też racji zginął. Działały tu oczywiście także wpływy obce, zarówno niemieckie, jak sowieckie. Mimo, że w później-

eprasa.pl e12cc5019d

szym czasie i Niemcy, i Sowiety stosowały do OUN surowe represje".

Gdy podczas jednej z uroczystości pojawił się w sali równieńskiego kina wszyscy wstali i rozległo się „Jeszcze Polska nie zginęła", a bezpośrednio potem „Szcze ne wmerła Ukrajina". Na gościach z innych dzielnic Polski wywarło to wielkie wrażenie. Józewski był pewien, że ze strony dywersji sowieckiej „nic się Wołyniowi nie stanie".

Gorzej poszło mu z zakusami polskich nacjonalistów. Ostateczną przyczyną jego dymisji było odbieranie prawosławnym budynków cerkwi.

Piłsudski i wielkość oraz małość polskiego życia

Józewski mógł prowadzić tę niełatwą – w szczególności z racji na działalność sowieckiej agentury skłócającej Polaków i Ukraińców – politykę, bo miał pełne wsparcie Marszałka. O Piłsudskim pisał, że to dzięki niemu otwierały mu się oczy „na wielkość i małość polskiego życia". Ta umiejętność odróżniania wielkości od małości kazała Józewskiemu wypowiedzieć sąd bardzo zdecydowany: „Z politowaniem patrzyłem i patrzę na ludzi, którzy za życia Piłsudskiego w Polsce niepodległej nie byli razem z Piłsudskim, znaleźli się poza głównym nurtem polskiego wysiłku. Wszyscy oni byli »przegrani« w ten czy inny sposób, pomimo tupetu, jaki w wielu razach reprezentowali, pomimo najwznioślejszych haseł przez nich wznoszonych w rodzaju: »Bóg i Ojczyzna«, albo haseł postępowo-rewolucyjnych, albo łabędziego śpiewu czarnej reakcji, albo innych jeszcze. Były to postacie w istocie rzeczy żałosne".

Opisywał skromne życie codzienne Piłsudskiego z czasów, gdy był on premierem: „Uroczyste mahoniowe biurko, dywan, meble, gobeliny – słowem uroczysty gabinet największego w Polsce dygnitarza. Dygnitarz ten siedział w znanej w całej Polsce kurtce strzeleckiej. W pewnym momencie uchyliły się drzwi. Stanęła w nich na baczność postać sierżanta Wójcika z menażką... Na wierzchu znajdowało się na talerzu pół kwaszonego ogórka. Był to obiad premiera Piłsudskiego".

Pisał o tym, że wizje przeciwników Piłsudskiego nie były „prawdą Polski": „Prawdą Polski jest walka Polski o wolność, w pewnych chwilach jak pożar obejmująca polskie życie. Taką prawdą Polski jest duch tolerancji i zespalania się z tym, co polskim z urodzenia nie jest. Taką prawdą jest samorzutny i ofiarny wysiłek społeczny, który jest jednym z fundamentów istnienia ludzkiego. Są jednak pozycje, które tamują oddech. Na przykład endecki nacjonalizm i krótkowzroczność polskich klas posiadających, hałaśliwa i brutalna bezmyślność drobnomieszczaństwa, nuda powszedniości".

Polska dała świadectwo o człowieku i człowieczeństwie

We wrześniu 1939 roku Józewski znalazł się na Wołyniu, gdzie chciał organizować walkę z Niemcami. Wkroczenie Sowietów przekreśliło te plany. Wrócił do Warszawy, gdzie odegrał istotną rolę w tworzeniu Armii Krajowej. Działał w Komendzie Głównej Służby Zwycięstwu Polski, później był komendantem okręgu Warszawa Związku Walki Zbrojnej. Od 1940 roku był redaktorem konspiracyjnego dwutygodnika „Polska Walczy".

Pisał, że ignorowanie polskich zasług w II wojnie światowej przez samych Polaków jest kuriozum: „bagatelizowanie a nawet ignorowanie postawy Polski w dniu wybuchu wojny niedobrze świadczy o stanie umysłów". Oceniał, iż „w czasach najbardziej strasznych Polska dała świadectwo o człowieku i człowieczeństwie". Podkreślał, że „AK nie była tworem sztucznym, pozbawionym łączności z otaczającym go życiem – było wyrazem tego, co w życiu polskim tkwiło i o wyraz swój wołało. Tylko tak zjawisko AK należy rozumieć. Wszelka inna interpretacja rozmija się z prawdą. Niemal w każdej warszawskiej kamienicy od strychu do suteren »mieszkała« konspiracja".

W 1943 roku wywiad AK poinformował go, że do właściwej ekspozytury sowieckiej w Polsce trafiło zarządzenie wykonania wyroku śmierci. Przeżył zamach: „Padłem na ziemię, straciłem przytomność. Zamachowcy byli przeświadczeni, że zostałem zabity".

Zastąpienie hitlerowców przez komunistów uznał za ciąg dalszy okupacji. Działał w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość (WiN), głównej organizacji – jak mówimy dziś – Żołnierzy Wyklętych. O tym, jak bardzo PRL zależało na odnalezieniu go, przekonał się w czasie ubeckiego śledztwa: „Moje śledztwo objęło okres od roku 1905, tzn. od trzynastego roku życia".

W 1947 roku ubecy wpadli na jego trop. Ale konspiratorowi z olbrzymim doświadczeniem, rodem z K.N.III udało się wydostać z obławy w Podkowie Leśnej i przedostać lasami do Milanówka. Wyjechał na Śląsk i trafił do Gliwic. Od połowy listopada 1947 do wiosny 1948 roku ukrywał się w Gliwicach, potem we Wrocławiu, po czym znów wrócił do Gliwic. Potem ukrywał się w Warszawie, Radomiu i Jaszczowie na Lubelszczyźnie, gdzie został aresztowany przez UB w 1953 roku.

Miał szczęście – akurat umarł Stalin. Został skazany „tylko" na dożywocie i przesiedział w więzieniu we Wronkach do roku 1956. Wyszedł na wolność dzięki odwilży", mając 64 lata. Zajął się malowaniem obra-

eprasa.pl e12cc5019d

zów. Jego wspomnienia z tego czasu ukazały się po jego śmierci w „Zeszytach Historycznych".

Wślizgnąć się w polską myśl

W tekstach opublikowanych w „Zeszytach Historycznych" porównywał rosyjskie niszczenie ducha polskości w czasach zaborów i PRL. Zestawiał w tym kontekście dwie budowle: Sobór na placu Saskim i Pałac Kultury. „Sobór na Placu Saskim służył obrusieńju. Warszawa miała się upodobnić do rosyjskich miast z soborem na reprezentacyjnej płoszczadi" – pisał. Taki detal jak fakt, że mieszkańcy Warszawy byli katolikami, nie miał dla Rosjan znaczenia – potężny Sobór musiał stanąć jako symbol tego, do kogo należy podbity kraj.

Jak stwierdzał jednak, „Sobór jest bardziej »prostolinijny«, naiwny – jest ciosem zadanym Polsce w prostocie rosyjskiego ducha, jest agresją nie markowaną, agresją, która nie udaje czego innego. »Pałac Kultury« jest czymś o wiele gorszym, w cynizmie bezczelności obrusieńja".

Po co zbudowano Pałac Kultury? By promieniował, zmieniał świadomość: „»Pałac Kultury« jest po to, by świat kultury polskiej zmienił się według schematu obowiązującego w Rosji sowieckiej". Po to Rosja nakazuje budować pałace i domy kultury: „Te »domy« i »pałace« propagują sowiecką myśl, sowieckie pojmowanie rzeczy zgodne z odwieczną rosyjską naturą i duchem właściwego Rosji niewolnictwa". Zauważa: „Gdybyśmy się jednak dowiedzieli, że Rosja sowiecka buduje »Pałac Kultury« w Paryżu i że nad Paryżem ma zawisnąć iglica sowieckiego »Pałacu«, bylibyśmy zawstydzeni".

A przypadku Warszawy? Czy tego niewolnictwa nie ma w nas? Józewski pisze, że warszawiacy nazywają chaszcze koło Pałacu Kultury „laskiem katyńskim". Zapewne wtedy nazywali, dziś już nie. II RP zburzyła rosyjski Sobór, III RP nie zburzyła Pałacu Kultury.

Z niesmakiem patrzył, jak intelektualiści pozbawienie są owej zdolności odróżniania wielkości od małości, której nauczył się od Marszałka. Tak było w przypadku Czesława Miłosza, który w „Rodzinnej Europie" pisał o podobieństwach między Piłsudskim a jego... duchowym kuzynem Dzierżyńskim.

Efekciarstwo to oceniał surowo: „Miłosz »nie wie« – do tego jeszcze swym świetnym umysłem nie doszedł – czym jest polska walka o wolność i niepodległość, jaka jest jej wartość dla Polski i świata". Stwierdzał, że nie docenia on polskiej walki o wolność za czasów pierwszej wojny światowej, „a przecież była to dominanta polskiego »Jestem«". Nie docenia też AK „jako zjawiska polskiego istnienia i stawania się". Jak stwierdzał, jest to „dalszy ciąg jego »niezauważenia« w Polsce czegoś najbardziej istotnego – rzeczywistości, którą do dziś naród oddycha i oddychać będzie bez względu na to, co się o tym mówi i pisze".

Dowodził, że „Rosja usiłuje życie polskie zdekomponować, kształtować na własny, kremlowski model". Wyjaśniał, iż „chodzi o włączenie się w nurt polskiego istnienia, wślizgnięcie się w polską myśl, uczucie, wolę – a dopiero tą drogą dojście do modelu polskości ustalonego przez Kreml".

Z powodu prowadzonej przez siebie polityki Józewski niebezpieczny był dla wszystkich, którzy zainteresowani byli w tym, by pomiędzy Polakami i Ukraińcami nie było zgody.

Świat musi Rosję przechorować i wyzdrowieć

O Związku Sowieckim pisał – nie przypadkiem – „Rosja". Stwierdzał, że „swój »sukces« Rosja zawdzięcza umiejętności budowania siły z procesów rozkładowych i ludzkiego upadku. Wszystko to dziś jest jasne i bezsporne. Z podźwignięciem się człowieka i społeczeństw z nędzy automatycznie nastąpi zmierzch sowieckiej Rosji". Uważał, że „świat musi Rosję przechorować i wyzdrowieć, albo stoczy się w mrok upadku, bez nadziei i wiary, że warto żyć".

W kwietniu 1981 roku, w czasach solidarnościowej rewolucji zachorował. Przewieziony do szpitala zmarł 23 kwietnia 1981 roku. Spoczywa na warszawskich Powązkach.

Proroczo przewidywał: „Świat ukraiński ciąży ku Zachodowi. Zachód Europy przegląda się nie tylko w fali wiślanej. Podobnie jest z Dnieprem". „Odnosi się wrażenie, że w chwili obecnej przeżywamy coś w rodzaju antraktu. Na scenie polsko-ukraińskiej nie pojawia się żaden aktor. Scena świeci pustką. Czy będzie tak zawsze?" – pytał. Wiemy dzisiaj, że nie bez przyczyny. ■

eprasa.pl e12cc5019d



eprasa.pl e12cc5019d

Śmierć Pasterza

Dariusz Jarosiński



75 lat temu, w październiku 1948 roku, zginął w wypadku samochodowym w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach biskup łomżyński Stanisław Kostka Łukomski. Wybitny kapłan, wielki patriota, pełniący od roku 1926 funkcję sekretarza Konferencji Episkopatu Polski, niedoszły prymas Polski, człowiek o zdecydowanych przekonaniach prawicowych, bezkompromisowy antykomunista.

Do wypadku doszło na drodze Ostrów Mazowiecka–Łomża, kiedy biskup Łukomski wracał z uroczystości pogrzebowych zmarłego 22 października prymasa Polski kardynała Augusta Hlonda. Dodajmy, że zmarłego nieoczekiwanie, w wieku 67 lat.

Dziwny wypadek

Łomżyński ordynariusz, który przewodniczył uroczystościom pogrzebowym, brany był pod uwagę przez większość biskupów polskiego Episkopatu jako następca prymasa Hlonda. Notabene, już wcześniej, pierwszy raz w roku 1915 i drugi raz w roku 1926, rozważany był do objęcia godności prymasa. Dzisiaj wiadomo, że kardynał Hlond w swoim testamencie proponował na stanowisko prymasa księdza Stefana Wyszyńskiego, ówczesnego biskupa lubelskiego, kandydaturę tę akceptował też papież Pius XII, o czym jednak nie mogli wiedzieć komuniści, według ich wiedzy prymasem miał zostać wybrany biskup łomżyński.

Duża siła uderzenia samochodu w drzewo sprawiła, że biskup Łukomski wypadł z pojazdu przez przednią szybę. Rannych przewieziono najpierw do szpitala w Ostrowi Mazowieckiej, a następnie najbardziej poszkodowany w wypadku łomżyński ordynariusz trafił po wielu godzinach do szpitala sióstr elżbietanek w Warszawie, w którym tylko kilka dni wcześniej leczony był kardynał Hlond. Na drugi dzień po wypadku, 28 października 1948 roku, biskup Łukomski zmarł. Co ciekawe, zmarł w tym samym łóżku szpitalnym co kilka dni wcześniej kardynał Hlond.

Nie zachowały się żadne akta śledztwa prokuratorskiego, protokoły sekcji zwłok czy protokoły przesłuchań ocalałych uczestników wypadku, a więc księdza kanonika Henryka Kulbata, sekretarza biskupa, i szofera Aleksandra Sokołowskiego oraz ewentualnych świadków. Nie wiadomo, czy w ogóle takie śledztwo było prowadzone, nie wiadomo też, czy rozbity samochód został poddany oględzinom, badaniom technicznym.

Wszystko wskazuje na to, że biskup łomżyński padł ofiarą komunistycznej zbrodni. Siostra biskupa, Halina Łukomska, pisała w jednym z listów, że „w samochodzie podobno kierownica się popsuła", że została podpiłowana. Osoby z najbliższego otoczenia ordynariusza łomżyńskiego też mówiły o „zablokowaniu, zatrzaśnięciu się kierownicy". Kierowca nie potrafił zapanować nad kierownicą na prostym odcinku pustej drogi i uderzył w drzewo. Wiele do myślenia dają następujące fakty: ksiądz Henryk Kulbat nigdy nie chciał wypowiadać się publicznie o tym tragicznym zdarzeniu, jakby się czegoś obawiał, jakby miał zakaz wypowiadania się, z kolei kierowca biskupa Łukomskiego w kilka miesięcy po wypadku znalazł zatrudnienie w Urzędzie Bezpieczeństwa.

Kardynał Hlond trafił do szpitala sióstr elżbietanek w połowie października 1948 roku z silnymi bólami żo-

fot. Arch.

eprasa.pl 2cc5019d

łądka. Wydawać się mogło, że nie jest to nic poważnego. Dwie przeprowadzone operacje niestety były nieudane. „Panowie, co wy powiecie po mojej śmierci, na co ja umarłem? Co podacie jako powód mej śmierci?" – miał pytać kardynał Hlond lekarzy po nieudanych zabiegach medycznych, jakby świadom tego, że lekarze zamiast mu pomóc, doprowadzili do pogorszenia stanu zdrowia.

Zdaniem śp. prof. Ryszarda Bendera, historyka, który pochodzi z Łomży i miał okazję jako młody człowiek poznać osobiście biskupa Łukomskiego, uczestniczyć też w jego pogrzebie, obaj nasi wielcy hierarchowie Kościoła – kardynał Hlond i ordynariusz łomżyński – zostali zamordowani przez komunistów. Obaj ci kapłani doskonale zdawali sobie sprawę z tego, czym jest komunizm i jakie zagrożenia niesie dla narodu polskiego, obaj odmawiali współpracy z komunistycznymi władzami Polski narzuconymi przez Sowietów. Zeszli z tego świata wtedy, kiedy bolszewicy przygotowywali się do wielkiej rozprawy z Kościołem katolickim.

Komuniści podjęli też próbę zamordowania nowo wybranego prymasa, księdza Stefana Wyszyńskiego. W lutym 1949 roku na drodze z Gniezna do Warszawy rozciągnęli stalową linę na wysokości kierowcy. Opatrzność jednak czuwała nad księdzem prymasem, bo kierowca pojechał inną drogą. Mniej szczęścia miał inny kierowca i wjechał na linę.

Niedoszły prymas

Stanisław Łukomski pochodził z wielodzietnej rodziny z wielkopolskiej wsi Borek. Urodził się 21 października 1874 roku, a więc wkrótce po zjednoczeniu Niemiec, kiedy to kanclerz Drugiej Rzeszy, Otto von Bismarck, rozpoczął w państwie walkę z Kościołem katolickim, która trwała do roku 1914, do wybuchu I wojny światowej, kiedy mieliśmy do czynienia z najbardziej nasiloną germanizacją i zwalczaniem polskości w zaborze pruskim, w Wielkopolsce. Przeszła ona do historii jako Kulturkampf.

Już w dzieciństwie Stanisław był zdecydowany oddać się na służbę Bogu i ludziom. Ukończył szkołę średnią oraz wyższe seminarium duchowne w Poznaniu i Gnieźnie. Święcenia kapłańskie przyjął w roku 1898. Młodemu kapłanowi leżały również na sercu sprawy będącej w niewoli ojczyzny, zresztą przez całe życie nie ograniczał misji Kościoła do kruchty – w roku 1900 przystąpił do tajnego stowarzyszenia księży Collegium Secretum przy Lidze Narodowej, gdzie współpracował m.in. z Romanem Dmowskim oraz Wojciechem Korfantym. Stowarzyszenie, do którego należało około 30 młodych księży, miało charakter narodowy.

Stanisław miał wielkie szczęście spotkać już na początku swoich seminaryjnych studiów wybitnego kapłana, Floriana Stablewskiego, arcybiskupa metropolitę gnieźnieńskiego i poznańskiego, posła do sejmu pruskiego w latach 1876–1891, prymasa Polski w latach 1891–1906. W seminarium należał do jego najbliższych współpracowników. Arcybiskup Stablewski był wychowawcą m.in. ks. Edmunda Dalbora, prymasa Polski w latach 1915–1926, ks. Antoniego Laubitza, biskupa gnieźnieńskiego, ks. Stanisława Adamskiego, biskupa katowickiego.

Po przyjęciu święceń pracował krótko jako wikariusz w parafii w Kościelcu w powiecie Koło, po czym abp Stablewski powierzył mu funkcję swego kapelana. W owym czasie ks. Stanisław wykazał się dużymi umiejętnościami w prowadzeniu rozmów z pruskimi urzędnikami. Po śmierci arcybiskupa Stablewskiego w roku 1906, objął probostwo w Koźminie. Świetnie tu się sprawdzał w roli gospodarza parafii, otworzył Dom Katolicki, zatroszczył się też o przywrócenie należnego miejsca polskiej kulturze – utworzył Muzeum Ziemi Koźmińskiej, zorganizował chór, kółka teatralne, stowarzyszenia młodzieży oraz kultywował święta i tradycje polskie, w roku 1914 wydał monografię „Koźmin wielki i nowy".

Kiedy w roku 1915 zmarł prymas Polski – abp Edward Likowski, ks. Edmund Dalbor rekomendował Stolicy Apostolskiej kandydaturę ks. Łukomskiego na prymasa Polski. Ostatecznie to ksiądz Dalbor, dobrze zanany papieżowi Benedyktowi XV z okresu studiów w Rzymie, został mianowany na arcybiskupa Gniezna i Poznania oraz prymasa Polski. Ksiądz Stanisław stał się jednym z najbliższych współpracowników prymasa Dalbora – otrzymał probostwo archikatedry poznańskiej oraz stanowisko kanonika katedralnego, pełnił też funkcję dyrektora archiwum diecezjalnego.

Religia to nie polityka, ale...

W przełomowym 1918 roku bardzo aktywnie włączył się w budowę struktur państwowych. W ramach prac Naczelnej Rady Ludowej i następnie podczas powstania wielkopolskiego, będąc szefem wydziału spraw wyznaniowych, odpowiadał za organizację szkolnictwa. Współorganizował m.in. harcerstwo polskie oraz Uniwersytet Poznański. 9 marca 1920 roku został mianowany biskupem tytularnym Sicca Veneria i sufraganem poznańskim, sakrę biskupią przyjął 23 maja 1920 roku, a sześć lat później zarządzał archidiecezją jako wikariusz kapitulny. 19 października 1926 roku Uniwersytet Poznański nadał mu tytuł doktora filozofii honoris causa. Od roku 1926 pełnił funkcję sekretarza Konferencji Episkopatu Polski.

W publikacjach często podkreśla się, że biskup Łukomski był skonfliktowany z obozem piłsudczykowskim, ponieważ miał poglądy prawicowe, związany był z Narodową Demokracją. Trzeba wiedzieć, że nie on jeden, a większość przedstawicieli wyższego duchowieństwa w II Rzeczypospolitej pozostawała w stałym konflikcie z obozem piłsudczykowskim, a już szczególnie po roku 1926, po przewrocie majowym. Hierarchowie Kościoła katolickiego krytyczni byli wobec indyferentyzmu religijnego piłsudczyków, ich przynależności do masonerii (po za-

eprasa.pl e12cc5019d

machu majowym w jedenastoosobowym rządzie prof. Kazimierza Bartla ośmiu ministrów, na czele z premierem, było wolnomularzami), lewicowych i socjalistycznych inklinacji, jak również nieprzychylnym okiem patrzyli na rozwiązłość w życiu prywatnym. Prymas August Hlond był człowiekiem kompromisu, zawsze szukał nici porozumienia z obozem rządzącym w Polsce, uważał, że kapłani mają nauczać Ewangelii i służyć wiernym, a nie mieszać się do polityki. Twierdził, że jedyną polityką, jaką uprawia, jest ta zawarta w modlitwie „Ojcze nasz", ale i jemu nie podobał się sposób sprawowania władzy przez sanację po zamachu majowym, był też mocno krytyczny wobec wolnomularstwa. Chociaż biskup Łukomski nie szczędził słów krytyki pod adresem sanacji, to marszałek Piłsudski zawsze wyrażał się o nim z szacunkiem.

Jak pisał ks. Wojciech Guzewicz w „Studiach Ełckich" (tom 16, 2014 r.): „Kością niezgody – według biskupa – nie były jego osobiste sympatie czy zaangażowanie na rzecz ugrupowań endeckich i chadeckich, ale przede wszystkim nieprzyjazna postawa i działania władz rządowych i obozu Piłsudskiego wobec Kościoła i religii. Spór, jak wywodził, uwarunkowany był niektórymi rozporządzeniami i ustawami służącymi i wydanymi z myślą o laicyzacji życia publicznego. Chodziło tu zwłaszcza o dekrety prezydenta Rzeczypospolitej i ministerialne rozporządzenia wykonawcze poddające społeczną i charytatywną działalność Kościoła pod ścisłą kontrolę państwa, projekty kodyfikacji prawa małżeńskiego i karnego, zmiany w ustawodawstwie szkolnym, przynoszące w konsekwencji zmniejszenie liczby godzin religii oraz projekt zniesienia prawa patronatu".

Kolejny raz, wówczas już biskup, Stanisław Łukomski mógł dostąpić godności prymasa w roku 1926 – po śmierci prymasa Edmunda Dalbora, który to sam zasugerował go na swojego następcę. Stolica Apostolska po raz kolejny jednak nie przychyliła się do tej propozycji. Wybrała biskupa Augusta Hlonda, a biskup Łukomski został skierowany do pracy duszpasterskiej w diecezji łomżyńskiej. Dotychczasowy biskup łomżyński, Romuald Jałbrzykowski, został mianowany arcybiskupem metropolitą wileńskim.

Niestrudzony Pasterz łomżyński

Stanisław Kostka Łukomski z ziemią łomżyńską związał się od 24 czerwca 1926 roku, kiedy to mianowano go biskupem łomżyńskim. 5 października tego roku odbył się jego uroczysty ingres do Katedry św. Michała Archanioła w Łomży. Na terenie powierzonej mu diecezji patronował Akcji Katolickiej, wspierał tworzenie katolickich stowarzyszeń młodzieży, zainicjował rozbudowę katedry. Z jego inicjatywy organizowano kółka teatralne wystawiające sztuki o treści patriotycznej i religijnej. W okresie międzywojennym założył w Łomży Bibliotekę Dobrych Książek drukowanych przez księży oraz rozpoczął wydawanie gazety „Sprawa Katolicka".

Po wyborach do parlamentu w marcu 1928 roku biskup Łukomski wydał orędzie, w którym groził sankcjami kościelnymi wszystkim tym, którzy oddali swoje głosy na kandydatów stronnictw lewicowych. Wybory odbyły się dwa lata po przewrocie majowym dokonanym przez Józefa Piłsudskiego. Orędzie to wywołało wielkie oburzenie, m.in. wojewoda białostocki Marian Zyndram Kościałkowski nazwał „politykierstwem" zachowanie biskupa.

Warto przytoczyć fragment orędzia (listu pasterskiego), by poznać sposób myślenia biskupa Łukomskiego o Kościele, państwie, powinnościach katolików. Orędzie z 14 marca 1928 roku oddaje też dobrze temperament łomżyńskiego ordynariusza: „Oto odbyły się w ostatnim czasie wybory posłów do Sejmu. Znając usposobienie niektórych stronnictw politycznych, wrogich dla wiary Chrystusowej i dla Kościoła katolickiego, upominali biskupi w liście pasterskim wiernych, aby wybrali na posłów mężów szczerze katolickich, którzy w danym razie bronili w Sejmie i w Senacie wiary naszej świętej i dobra Kościoła. A lud katolicki, czyż tego nawoływania posłuchał? Wielu zastosowało się do wezwania swoich Pasterzy, ale niestety bardzo wielu wolało pójść jak Żydzi jerozolimscy za namowami przeciwników Kościoła i im zanieśli swoje katolickie głosy. Ludzie, nazywający się katolikami, wybrali w okręgach naszych i wysłali jako zastępców ludności katolickiej do Sejmu socjalistów i wyzwoleńców, tj. zwolenników partii, które już niejedną krzywdę wyrządziły Kościołowi katolickiemu. Między wybranymi jest na przykład przywódca związku nauczycielskiego, który domaga się wyrzucenia nauki religii ze szkoły polskiej oraz nieprowadzenia dzieci szkolnych do sakramentów św. I takich przedstawicieli swoich wybrało wielu naszych katolików, takim to posłom dali władzę uchwalania w Sejmie ustaw przeciwko religijnemu wychowaniu dzieci i przeciwko nierozerwalności małżeństwa katolickiego [...]. Zaklinaniami atoli biskupów i kapłanów wyście wzgardzili i nad nie przenieśliście zwodnicze pokusy płatnych agentów lub ludzi bez wiary. Smutek wielki ogarnął serce moje pasterskie oraz serca wszystkich prawych diecezjan na wieść o tym wyłamaniu się spod obowiązku katolickiego tylu niby katolików, a w rzeczy samej przeniewierców. Do nich stosuje się w całej pełni skarga Jezusa: »Ten lud czci mnie tylko wargami, a serce dalekie jest ode mnie«. Władza kościelna nie uprawia agitacji wyborczej, ani wysuwa też list wyborczych takich lub owych, ani posługuje się agentami i pieniędzmi. Przestrzega tylko przed stratami religijnymi i nawołuje swoich wiernych do obowiązku wybrania posłów, którzy dają pewność poszanowania wiary i Kościoła. Gdyby Sejm zajmował się tylko sprawami doczesnymi obywateli, władza kościelna pozostałaby bezstronną i trzymałaby się z dala od waśni wyborczych. Ponieważ Sejm wkracza także w dziedzinę wiary i moralności, ponieważ chce wpływać na życie religijne narodu, ponieważ uchwala ustawy wnikające w działalność kościelną katolicką, musieli biskupi wezwać wyborców do

eprasa.pl e12cc5019d

niewybierania posłów przeciwnych dobru religijnemu katolików i swobodnemu działania Kościoła. Ci zatem wyborcy, którzy tego wezwania nie posłuchali, jakże się teraz ostoją przed swoim sumieniem katolickim i przed Bogiem? Czyż nie muszą sobie powiedzieć, że miast stanąć jak katolicy po stronie potrzeb wiary i Kościoła swojego drogiego, to oni go zdradzili [...]".

Walczył o katolicki charakter szkół w Polsce

W orędziu biskup Łukomski nie krył swego rozgoryczenia, że odezwa Episkopatu Polski z grudnia 1927 roku w sprawie wyborów do parlamentu została zlekceważona przez część mieszkańców diecezji łomżyńskiej. W związku z tym ordynariusz zarządził, aby na „znak smutku i żałoby" we wszystkich parafiach, w których oddano większą liczbę głosów na PPS, PSL „Wyzwolenie", BBWR, zaniechano uroczystych procesji rezurekcyjnych oraz poświęcenia pokarmów wielkanocnych. Polecił także duchownym łomżyńskim, aby odmawiali sakramentów świętych i pogrzebu kościelnego wszystkim tym, którzy nie wyrzekną się przynależności do partii komunistycznych i socjalistycznych. Zalecenie obejmowało również czytających prasę lewicową, antykościelną.

Biskup Łukomski sprzeciwiał się tworzeniu przez władze państwowe szkół symultannych, czyli mieszanych pod względem wyznaniowym, nie zgadzał się na redukowanie lekcji religii w szkołach, ograniczanie możliwości działalności katolickim organizacjom na terenie szkoły. Organizowane przez komitety rodzicielskie, księży protesty kierowane do władz państwowych kończyły się zazwyczaj fiaskiem, mimo to biskup łomżyński niestrudzenie walczył o katolicki charakter szkół w Polsce.

Łomżyński duszpasterz domagał się od władz państwowych ścisłego przestrzegania postanowień konkordatowych, występował w obronie świąt kościelnych i nauczania religii. Był lojalny wobec rządu, ale każdy gabinet oceniał na podstawie jego stosunku do Kościoła katolickiego; nie godził się na ignorowanie zasad chrześcijańskich w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym, prowadzenie antykatolickiej polityki wyznaniowej czy lekceważenie norm obyczajowych.

Wspierał podziemie niepodległościowe

Po wybuchu wojny i agresji Sowietów na Polskę biskup Łukomski wyjechał z Łomży i przebywał m.in. w Białymstoku, Tykocinie, a najdłużej w Kuleszach Kościelnych. Utrzymywał kontakt z najbliższymi współpracownikami, nieustannie interesował się losem swoich wiernych. Do Łomży powrócił 9 lipca 1941 roku, kiedy po wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej ziemia łomżyńska znalazła się pod okupacją niemiecką. Niemieckie władze okupacyjne zabroniły biskupowi wyjeżdżać do okolicznych parafii. Wielokrotnie prosił Niemców o zaniechanie zbrodni i łagodne traktowanie Polaków, oczywiście nie zawsze z pozytywnym skutkiem. Wielką zasługą biskupa Stanisława było uratowanie Katedry Łomżyńskiej, którą Niemcy planowali wysadzić w powietrze, kiedy wycofywali się przed nacierającą Armią Czerwoną w roku 1944. Powiedział wówczas, że nie opuści świątyni, że mogą ją zburzyć jedynie z nim w środku.

Od jesieni 1944 do lutego 1945 roku, kiedy to Łomża stała się miejscem przyfrontowym, biskup ponownie opuścił miasto, tym razem przebywał w miejscowości Rosochate. 15 lipca 1945 roku uczestniczył w uroczystości pogrzebowej na nowo poświęconym cmentarzu w miejscowości Jeziorko. Cmentarz leśny w Jeziorku stanowią trzy mogiły zbiorowe ofiar zbrodni hitlerowskich – w jednej mogile pochowano mieszkańców domu opieki w Pieńkach Borowych, zamordowanych w lipcu 1942 roku, w drugiej spoczywają więźniowie polityczni z więzienia w Łomży, zamordowani w czerwcu 1943 roku, w trzeciej mogile pochowano mieszkańców Łomży. Uroczystość ta przerodziła się w manifestację patriotyczną. W wygłoszonym kazaniu na cmentarzu biskup Łukomski m.in. ostro skrytykował donosicielstwo, którego efektem stają się aresztowania, wywózki na Sybir.

Biskup Łukomski był krytyczny wobec władzy obozu sanacyjnego, ale był wobec tej władzy lojalny, bo to była polska władza. Z władzą komunistyczną, narzuconą przez Sowietów, nie zamierzał współpracować, był wrogo do niej ustosunkowany, czego nie krył w swoich kazaniach. Wzywał do przeciwstawienia się ideologii komunistycznej. Utrzymywał kontakty z podziemiem niepodległościowym. W kwietniu 1945 roku, na zaproszenie ówczesnego komendanta powiatu „Łaba" (Łomża) Narodowego Zjednoczenia Wojskowego kpt. Bolesława Kozłowskiego „Grota", „Hanki", uczestniczył w przeglądzie oddziałów NZW w lesie koło Małego Płocka na ziemi łomżyńskiej. Żołnierze podziemia antykomunistycznego, zarówno z oddziałów podziemia poakowskiego – Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość – czy narodowego, zawsze mogli liczyć na wsparcie i pomoc duchowieństwa diecezji łomżyńskiej i osobiście księdza biskupa.

20 marca 1946 roku odbyło się kolejne spotkanie ordynariusza łomżyńskiego z żołnierzami Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Tym razem miało ono miejsce w remizie strażackiej w Szczepankowie, a biskupowi towarzyszyli księża z Nowogrodu, Śniadowa i Miastkowa. Łomżyński ordynariusz poruszył sprawę zbliżającego się referendum i wyborów, zachęcał do wzmożonej agitacji do głosowania na PSL Stanisława Mikołajczyka.

Bezkompromisowy wobec komunistów

Biskup Łukomski odmówił komunistom, aby w kościołach diecezji łomżyńskiej zabiły dzwony w związku z wygranymi przez nich tzw. wyborami do Sejmu Ustawo-

eprasa.pl e12cc5019d

dawczego (19 stycznia 1947 roku), a także wyborem Bolesława Bieruta, sowieckiego agenta NKWD, na prezydenta Polski (5 lutego 1947 roku). Przewodniczącemu Powiatowej Rady Narodowej w Łomży powiedział wprost, że on nie może akceptować aktów niesprawiedliwości. Ludzie nie mieli najmniejszych złudzeń, że zarówno wyniki referendum, jak i tzw. wyborów zostały przez komunistów sfałszowane. Komuniści po oficjalnie wygranych wyborach umocnili swoją władzę w Polsce i przygotowywali do rozprawy z Kościołem katolickim i podziemiem niepodległościowym. 22 lutego 1947 roku, po sfałszowanych miesiąc wcześniej wyborach, weszła w życie wcześniej ogłoszona przez komunistów amnestia. Wywołała ona kontrowersje i często bardzo ostre spory wśród żołnierzy, dowódców podziemia antykomunistycznego. Nie było żołnierza, który nie zadałby sobie pytania: „Bić się nadal czy ujawnić?".

Komuniści prowadzili przeciwko biskupowi oczerniającą, brudną kampanię propagandową, nagłaśniając nieprawdziwe historie z okresu międzywojennego i czasu wojny. Biskup Łukomski był jednym z najbardziej bacznie inwigilowanych kapłanów w Polsce.

7 sierpnia 1947 roku kilkunastoosobowy oddział płut. Henryka Gawkowskiego „Roli" otoczył budynek we wsi Chlebiotki, w którym odbywało się zebranie starosty łomżyńskiego Tadeusza Żeglickiego i przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej Stanisława Tońskiego z sołtysami gminy Chlebiotki. Plutonowy „Rola" oskarżał starostę o wydanie polecenia funkcjonariuszom UB zamordowania jego rodziców. Po tym, jak funkcjonariusze UB zamordowali jego rodzinę w czasie wieczornej modlitwy domowej, prowadził bezwzględną walkę z komunistami. Rozstrzelani zostali obaj urzędnicy komunistyczni i ich szofer.

10 sierpnia odbył się pogrzeb trzech osób zabitych przez podziemie – stał się on powodem poważnego zatargu między biskupem a komunistami. W manifestacji na rynku duchowni nie wzięli udziału, zgodzili się jedynie na ceremonię pogrzebową na cmentarzu należącym do parafii rzymskokatolickiej. Kiedy okazało się, że wbrew wcześniejszym ustaleniom chowany ma być też Stanisław Toński, wyznawca Kościoła Narodowego, księża zdjęli z siebie szaty liturgiczne.

Biskup bardzo ostro potraktował komunistów w orędziu, zarzucił im niedotrzymanie umowy, nieodpowiednie zachowanie na cmentarzu, bronił świętości Kościoła: „Po odejściu duchowieństwa gwałciciele cmentarza odśpiewali »Czerwony sztandar« i wygłosili przemowy świeckie, tchnące nienawiścią klasową. Przestępstwo, popełnione przez organizatorów pogrzebu, jest tym więcej bezprawne i złośliwe, że tuż obok naszego cmentarza jest cmentarz dla innowierców przeznaczony, na którym też grób był już przygotowany. [...] Dla tego rodzaju ludzi partyjnictwem politycznym zaślepionych nic nie jest świętym, ani wspólne modlitwy wiernych, ani obrządki Kościoła, ani powaga śmierci i pogrzebów, ani miejsca służbie Bożej poświęcone, na których dają upust swojemu bezbożnictwu rozpasaniu. Istnieją dla nich tylko ich samowola i bezprawia wobec Kościoła Bożego. Jest przeto obowiązkiem każdego prawego katolika zarówno stawać w obronie swego Kościoła, jak stronić od ludzi i organizacyj, które naszą starą, świętą wiarę i nasz od tysiąca lat z naszą Ojczyzną na dolę i niedolę ściśle związany Kościół katolicki znieważają i go w swobodnym spełnianiu jego świętego zadania krępują".

Ostatnia ziemska droga Pasterza

W piątek, 29 października 1948 roku ciało biskupa Łukomskiego przewieziono ze szpitala do podziemi kościoła pw. Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Zwłoki spoczywały tutaj przez sobotę i niedzielę rano. Wierni, duchowieństwo i zakonnice mogli oddać hołd tragicznie zmarłemu ordynariuszowi diecezji łomżyńskiej. W niedzielę rano odprawiono mszę świętą, po której zwłoki biskupa Łukomskiego przewieziono do Łomży samochodem pogrzebowym. Po drodze samochód zatrzymywał się przy kościołach parafialnych w Ostrowi Mazowieckiej i w Zambrowie, gdzie wierni i kapłani mogli pożegnać swego Pasterza. 3 listopada trumna z ciałem łomżyńskiego ordynariusza została wniesiona do Katedry Łomżyńskiej. W ostatniej drodze tragicznie zmarłemu biskupowi towarzyszyło około 100 księży, biskupi na czele z abp. Romualdem Jałbrzykowskim, siostry zakonne szarytki, oo. kapucyni, około 3 tys. wiernych, poczty sztandarowe cechów rzemieślniczych, harcerstwa, Sodalicji Mariańskiej oraz przedstawicieli Caritasu. Po złożeniu trumny ze zwłokami biskupa Łukomskiego na katafalku ustawionym w prezbiterium katedry odśpiewano uroczyste nieszpory żałobne. Główne nabożeństwo żałobne odprawiono w katedrze w czwartek, 4 listopada, o godzinie dziesiątej. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył abp Romuald Jałbrzykowski. Mowę żałobną wygłosił bp Tadeusz Zakrzewski, ordynariusz płocki, były sufragan biskupa Łukomskiego. W nabożeństwie uczestniczył abp Walenty Dymek – metropolita poznański i 15 biskupów. Po mszy świętej i odprawieniu „Rostrum Dolores" trumna z ciałem pasterza łomżyńskiego spoczęła w podziemiach Katedry Łomżyńskiej. ■

Bibliografia
Tadeusz Białous, „Biskup Stanisław Kostka Łukomski (1874–1948). Pasterz niezłomny", Rajgród 2010; Krzysztof Sychowicz, „Przeciwnicy władzy ludowej. O abp. Romualdzie Jałbrzykowskim i bp. Stanisławie Kostce Łukomskim", Biuletyn IPN (nr 12) 2005.

eprasa.pl e12cc5019d

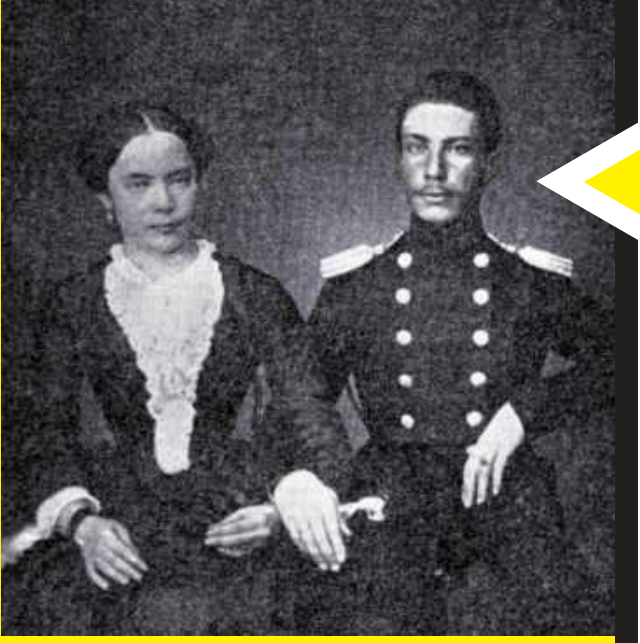


Ewa Polak-Pałkiewicz



„Zbyt wiele egzaltacji, zbyt wiele krwi”

eprasa.pl e12cc5019d



„Jesteśmy przekonani, że Europa dotąd nie będzie mieć zapewnionego spokoju ni trwałego postępu, dopóki ohydna zbrodnia rozbioru naszej Ojczyzny nie utworzy rdzenia polityki europejskiej. [...] Pozostawiamy światu pamięć o narodzie, który poświęcił się dla swoich obowiązków i dla sprawy cywilizacji" – pisał Romuald Traugutt, dyktator powstania styczniowego, po francusku w „Odezwie do narodu angielskiego".

fot. arch

O tym, jak wyglądał Romuald Traugutt, dowiadujemy się nieco z opisu Elizy Orzeszkowej, która poznała go w pierwszych tygodniach powstania. Był niewysoki, czarnowłosy, o śniadej cerze, „...z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka" – pisała w noweli „Gloria victis".

„Oczy miał mądre, smutne – podobno bratem bliźniaczym mądrości bywa u ludzi smutek – uśmiech świeży perłowy, z kroplą słodyczy dziecięcej albo niewieściej" – szkicowała portret sąsiada z poleskiego dworku i przyjaciela, którego nazwie po latach „wcieleniem cnoty męskiej, rycerskiej i polskiej".

Chwila zwrotna

Jest w tym opisie zapewne trochę egzaltacji, ale w istocie Romuald Traugutt (1826–1864) był jednym z najpiękniejszych ludzi w naszych dziejach. Jednym z tych prawdziwych bohaterów, o jakich śnimy. I jednym z najbardziej niezwykłych. Zawodowy oficer armii rosyjskiej, pasjonat inżynierii wojskowej – byłby zapewne naukowcem, gdyby nie musiał być wojskowym – który za wszelką cenę uniknąć chciał losu powstańca, a co dopiero dyktatora powstania.

Nic nie łączyło go ze stronnictwem „czerwonych", które przygotowywało powstanie i aranżowało manifestacje religijno–patriotyczne w Warszawie. Był typowym „białym" – po zakończeniu kariery wojskowej chciał gospodarować w rodzinnych dobrach. Miał wielkie poczucie odpowiedzialności za przyszłość rodziny i majątku. A jednak, mając doskonałe rozeznanie w sytuacji politycznej i moralnej w kraju, wiedział, że musi przyjść chwila, w której Polska chwyci za broń. I wiedział, czy raczej domyślał się, że ta chwila czeka na niego. Gdy przyszła, stała się chwilą zwrotną w jego życiu.

Trzydziestosiedmioletni kapitan armii carskiej, odznaczony orderami za męstwo na polu bitwy – przez wszystkie niemal lata młodości i dorosłego życia dążył z niezwykłą konsekwencją do stabilizacji, do spokojnej egzystencji na łonie rodziny. Ale zostawił dom z ukochaną żoną i małymi dziećmi, w którym zaznawał ogromnego szczęścia. Zniknął w lesie. Został dowódcą powstańczej partyzantki na Wołyniu, potem – jednoosobowym „rządem narodowym".

Czy ten dobrze wykształcony wojskowy, zawsze opanowany, niepokazujący emocji i nieujawniający w środowisku zawodowym swoich poglądów, człowiek myślący w sposób ścisły i precyzyjny, poważnie liczył na zwycięstwo źle uzbrojonej podziemnej armii, złożonej głównie z wychowanych w dworach młodzieńców, którzy strzelać uczyli się na polowaniu?

Co zatem mogło kryć się za porzuceniem sielskiego życia w rodzinnym dworku? Był przecież powstaniu niechętny... Tę tajemnicę, jak przypuszcza Orzeszkowa, zna

eprasa.pl e2cc5019d

kapliczka na skraju wsi, gdzie Traugutt tak często modlił się przed wyruszeniem na powstańcze szlaki.

„Posłuszni jak dzieci, jak lwy odważni"

Zanim podjął walkę – poproszony o objęcie oddziału przez Apolla Hofmeistera, wytrawnego spiskowca, naczelnika województwa brzeskiego, a zarazem swojego sąsiada z Szostakowa (nieopodal Grodna) oraz Jana Mitraszewskiego, powstańczego naczelnika Kobrynia – przez dwa tygodnie ćwiczył i musztrował w lesie swoich żołnierzy. Tłumaczył, że zna się tylko nas dowodzeniu regularnym wojskiem. Był początek maja 1863 roku.

Genialny zmysł strategiczny Traugutta, byłego pułkownika saperów, i jego męstwo w bitwach, mistrzowskie przygotowywanie zasadzek na wroga, energia, niewzruszony spokój, odwaga i przywódczy charyzmat – zjednały mu od razu autorytet i przywiązanie żołnierzy. Eliza Orzeszkowa, właścicielka pobliskiego majątku Ludwinów – która niezwykle sprawnie zorganizowała szpital dla powstańców – z bliska mogła obserwować leśne życie. Więź żołnierzy ze swoim dowódcą zapadła jej głęboko w pamięć. „On serca ich w ręku trzymał i umiał podbijać je w górę" – pisała nie bez patosu. „Odkrywał przed szeregami czarnowłosą głowę i za to, że były posłuszne jak dzieci, a jak lwy odważne, że sile przemagającej rozprosyć się nie dały, że wstydem nie splamiły krzyża, który przyjęły na swe ramiona – dziękował. Ale i wtedy jeszcze, gdy dziękował, głos jego rozlegał się jak bojowe dźwięki i nie było w nim ani słodyczy ani pieszczoty, hart tylko był i wola żelazna, trzymająca mocno wodze ich woli".

W ciągu dziewięciu tygodni poleskiej partyzantki Traugutt wygrywał bitwy z wielokrotnie przeważającymi siłami Rosjan; stał się dla nich postrachem. Okupant był przekonany, że ma do czynienia z poważną siłą militarną, podczas gdy powstańców było tu zaledwie 192 (160 ziemian i 32 urzędników z Kobrynia).

Pragmatyk wychowany przez „nowoczesne państwo" zapewne powiedziałby, że Traugutt to jeden z tych szaleńców, których wcześniej czy później wypluwa świat. Groźnych szaleńców. Tacy ludzie nie mogą się podobać. Tu nie ma dla nich miejsca. Są zbyt ekscentryczni. Ta ich przesada... Tym bardziej, że podejmując udział w powstaniu i nie uchylając się potem przed wzięciem za nie całkowitej odpowiedzialności, Traugutt ryzykował nie tylko osobistym szczęściem i życiem, lecz także szczęściem i życiem – a przynajmniej zdrowiem najbliższych. Całym dorobkiem swojego solidnego, uporządkowanego, choć zarazem bardzo skromnego życia.

Wcześniej wspinał się krok po kroku po szczeblach jedynej kariery, jaka przysługiwała szlacheckim synom pod obcą władzą. Miał sukcesy. Ale ta kariera spowodowana koniecznością zapewnienia bytu rodzinie mocno mu ciążyła.

Szczęście – zawsze zbyt krótkotrwałe

Przodkowie Romualda ze strony ojca Ludwika Traugutta pochodzili z Saksonii. Przybyli do Polski z Augustem II Mocnym. Ze strony matki, Ludwiki z Błockich, wywodzili się z książąt Szujskich (potomków carów rosyjskich), którzy przeszli na katolicyzm. Ojciec przyszłego naczelnika był dzierżawcą skromnego majątku w powiecie brzeskim. Romuald wcześnie osierocony przez matkę, wychowywany był przez babkę, Justynę Błocką z Szujskich, gorącą patriotkę i prawdziwie wielką damę, która w rodzinie Traugutta sprawowała matriarchat. Tej kobiecie wielkiego charakteru Romuald zawdzięczał wiele i kochał ją jak matkę.

W wieku kilkunastu lat był zdolnym i wybitnie inteligentnym uczniem gimnazjum w Świsłoczy w powiecie grodzieńskim; ukończył je z odznaczeniem. Jego znajomi z tamtych lat podkreślali, że obdarzony był talentem plastycznym, zdolnościami lingwistycznymi i osobistym urokiem. Nie udało mu się jednak wstąpić do Instytutu Inżynierów Dróg Komunikacyjnych w Petersburgu. Okazało się, że jako 18-latek jest „za stary", zabrakło też wymaganego potwierdzenia szlachectwa; jego uzyskanie było połączone z długotrwałą procedurą i niemałymi kosztami, wielu przedstawicieli zbiedniałej polskiej szlachty nie mogło sobie na to pozwolić. Rosjanie w tak prosty sposób doprowadzali do deklasacji i pauperyzacji tej warstwy.

Jak zatem wielu Polaków ze średnio zamożnych szlacheckich rodzin, by zdobyć wykształcenie umożliwiające samodzielne utrzymanie, Romuald ukończył trzyletnią szkołę oficerską w Żelechowie. Budził tu zdumienie kolegów swoją codzienną, wytrwałą pobożnością. Po ukończeniu tej szkoły został skierowany do tłumienia powstania na Węgrzech (1849). Tam zmuszony był walczyć m.in. z oddziałami wspieranymi przez Legiony Polskie. Z Węgier wyniósł dobre wspomnienia; zapisał w pamiętniku: „poznałem i śliczny kraj Węgierski i co więcej szlachetny charakter mieszkańców jego jako też ich prawdziwą i gorącą miłość ku swej nieszczęśliwej i pognębionej piekielną przewrotnością ojczyźnie".

Po powrocie do kraju poznał Annę Emilię Pikiel, córkę warszawskiego jubilera. Urocza młodziutka panna, wykształcona i utalentowana muzycznie oraz obdarzona towarzyskimi zaletami, zwróciła jego uwagę, jak zanotował w pamiętniku, „z powodu uderzającej prostoty, prawości i prawdziwej dobroci serca". Anna porzuciła dla niego luteranizm. Traugutt nigdy nie wątpił, że jego wybranka, „osoba tak miłująca Prawdę", „łatwo i z wdzięcznością ku Bogu przyjdzie do jej poznania". W dniu ślubu Romuald zanotował: „Zostałem szczęśliwym mężem Anioła".

W rok po ślubie i narodzeniu pierwszej córki Romuald Traugutt został wysłany na wyprawę wojenną do Turcji (grudzień 1853); brał też udział – jak tylu Polaków – w wojnie krymskiej (1855). Przez kilka miesięcy

eprasa.pl e12cc5019d

zajmował się wzmacnianiem murów obronnych twierdzy sewastopolskiej.

Po czynach bojowych w kampanii tureckiej zdobywał kolejne ordery, awansował na sztabskapitana i rozpoczął wykłady w Petersburgu w szkole dla oficerów. Mimo braku formalnego wykształcenia politechnicznego został wykładowcą Instytutu Galwaniczno-Technicznego w Petersburgu (wcześniej zaliczono go ze względu na zdolności i wiedzę w skład korpusu inżynierów). Zajmował się m. in. konstrukcją nowoczesnych przyrządów służących do wywoływania wybuchów min – także podwodnych. Starał się zarazem zdobyć uprawnienia do nauczania fizyki i chemii, był słuchaczem wykładów z tych dziedzin na petersburskich uczelniach.

Towarzyszyła mu rodzina, był już ojcem bliźniąt. Życie rodzinne było dla niego źródłem ogromnej radości. Przyszedł jednak jej gwałtowny kres. Od listopada 1859 do maja 1860 roku Traugutt tracił kolejno: babkę Justynę, która od drugiego roku życia zastępowała mu matkę, córeczkę Justynę, ukochaną żonę Annę i jedynego syna Konrada. Był załamany. Chronił się w majątku siostry w okolicach Kobrynia. Myślał o wstąpieniu do zakonu.

Troska o osierocone córki i pragnienie szczęścia u boku kobiety były jednak tak silne, że dwa lata po tej tragedii poślubił poznaną w dawnym majątku swojej babki Antoninę Kościuszkównę (Tadeusz Kościuszko to jej stryjeczny dziadek), kobietę wielkich zalet charakteru – o której rękę ubiegał się także bratanek Adama Mickiewicza, Franciszek.

Już wtedy, w połowie 1862 roku, był całkowicie zdecydowany, by zakończyć karierę w obcej armii. Polska była w stanie patriotycznego wrzenia. Traugutt nie był w stanie przeoczyć niezliczonych zapowiedzi zbrojnego wystąpienia narodu o swoje prawa, podważane i gwałcone przez zaborcę. Oficjalny motyw prośby o dymisję z wojska – stan zdrowia – był wybiegiem. Traugutt miał już stopień podpułkownika i prawo do wojskowej emerytury. Przejął niewielki zadłużony majątek rodzinny w Ostrowiu, w okolicach Kobrynia na Polesiu. Przez krótki czas był znów szczęśliwym mężem i ojcem. Antonina urodziła mu syna, z oddaniem opiekowała się jego córkami z pierwszego małżeństwa. Więź między nimi stale się pogłębiała.

Szczęście rodzinne znów trwało zbyt krótko. Po nieprawdopodobnych cierpieniach spowodowanych serią osobistych tragedii, wiedziony tajemniczą siłą, jakby wbrew sobie, zdecydował się na czyn o nieobliczalnych konsekwencjach. Był wówczas przygotowany na wszystko. Wiedział dobrze, że udział w powstaniu, a zwłaszcza objęcie steru Rządu Narodowego, zakończy się – jeśli powstanie się nie powiedzie – jego męczeństwem. Prawie równocześnie z objęciem przez Trauguttа powstańczego oddziału jego dwuletni syn umiera na zapalenie płuc.

Powstanie, czyli obrona cywilizacji

Musiał zrzucić z siebie bagaż osobistych cierpień. Potwierdzić także radykalnym – jedynym możliwym – wyborem, że nie da się zdradzać duchowych treści życia w imię bezpieczeństwa i świętego spokoju. Nie sposób wyprzeć się własnych ideałów. One nie są abstrakcją; konieczność ich obrony wynika z przyjętych własnym rozumem prawd wiary.

Odezwało się z niezwykłą siłą przekonanie, że w Polsce bronić trzeba czynnie cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej, nie może mieć tu miejsca żadna synteza Wschodu i Zachodu. Powstanie to „mus", jak wyraził się później.

Mimo osłabienia oddziału, którym dowodził, wycieńczonego nieustanną walką i ukrywaniem się, zmuszony był ruszyć dalej na Wschód, na Pińszczyznę. Wraz z oddziałem Jana Wańkowicza-Leliwy zmagał się tu z wielokrotnie przewyższającymi siłami wroga, a towarzyszyła mu jeszcze niechęć miejscowej ludności – pod wpływem antypowstańczej agitacji prawosławnych popów. Wszędzie ogłaszał uwłaszczenie i wyzwolenie włościan, zachęcając ich do poparcia powstania. Schorowany, półżywy ze zmęczenia pomoc i oparcie znajdował zawsze w majątku Piotra i Elizy Orzeszków w ich dworze w Ludwinowie, gdzie przez pewien czas się ukrywał. Kozacy kilkakrotnie rewidujący domostwo nigdy go tam nie odkryli.

Gdy po chorobie wróciły mu siły, Eliza Orzeszkowa odwiozła go własną karetą do granicy Królestwa, na użytek posterunków rosyjskich przedstawiając go jako ciężko chorego na tyfus. Ktoś ją później zadenuncjował, przypłaciła ten czyn konfiskatą majątku; mąż doktor Piotr Orzeszko został zesłany do guberni permskiej.

Po przyjeździe do Warszawy Traugutt został poproszony przez Rząd Narodowy – w uznaniu jego zasług oraz doskonałego rozeznania potrzeb powstańczego wojska – o podjęcie misji dyplomatycznej na rzecz walczącej Polski, przede wszystkim we Francji. Wcześniej podniesiono jego rangę wojskową do stopnia generała. O jego aktywności w tych miesiącach świadczyło kilkadziesiąt odezw do rządów i narodów świata zachodniego i niezliczona liczba korespondencji do przywódców politycznych. Słał też listy do papieża Piusa IX, który, chcąc okazać solidarność z walczącą Polską, ogłosił kanonizację Jozafata Kuncewicza. Próbował uruchomić na wielką skalę prasę powstańczą. Łudził się, że walcząca Polska zyska przychylność zagranicznej opinii publicznej. Norwid, z którym spotkał się w Paryżu, kwitował to gorzko: „Pressa zagraniczna dzisiejsza zawsze usposobiona będzie dobrze dopóty, dopóki krew się leje".

„Szarlatani polityczni i wojskowi"

Patrzył zarazem bardzo trzeźwo na swoich rodaków. Widział w niejednym ze swoich kolegów powstańców –

eprasa.pl e12cc5019d

skupionych wokół Rządu Narodowego oraz działających na Zachodzie – bohaterów, ale i ludzi zupełnie do tej roboty się nienadających, źle służących sprawie, choć chodzili w glorii sławy. 8 lutego 1864 roku w liście do syna Adama Czartoryskiego, księcia Władysława, pisał nie bez sarkazmu: „Znani Wam są dobrze zagraniczni owi patrioci [...] Ludwik Mierosławski, szarlatan polityczny i wojskowy; próżny, tchórz, gotów na wszystko, ale wystawiając drugich, a chroniąc siebie. Ignacy Chmieleński, tchórz i łotr ostatniego rzędu, ograniczony, gotów do zrobienia zamachu na cały świat, chociażby dla rozrywki, ale zawsze z zabezpieczeniem własnej osobowości. Stanisław Frankowski, biedny, poczciwy wariat, gotów na wszystkie zbrodnie, byle weń wmówiono, że ojczyzna tego wymaga. Dla miłości ojczyzny gotów ją zgubić. Stał się narzędziem cudzej podłości i przewrotności. Jan Kurzyna ma spryt i rozum, ale na nieszczęście braknie mu uczciwości, sam się nie skompromituje, ale może skompromitować tych, co mu zaufali. Aleksander Potocki, przede wszystkim ciekawy i chciwy świetnej kariery, umie najnieznaczniej każdego wybadać, zręczny podżegacz, sam zawsze sucho z wody wyjdzie".

Nie były to zarzuty na wyrost, Traugutt znany był z tego, że ważył każde słowo. Jeśli pozwolił sobie na nie, to dlatego, że wśród ludzi mających wpływ na bieg powstania znalazły się rzeczywiście najdziwniejsze postacie. Ludwik Mierosławski zdobył sławę jako zawodowy rewolucjonista w Niemczech i we Francji. Łączył w sobie dwie pasje: namiętne zamiłowanie do teorii wojskowości i uprawiania poezji. Przy bliższym zetknięciu z praktyką walki jego znajomość teorii okazywała się mało przydatna, mówiąc delikatnie. Był fantastą i demagogiem. Oddawał się wymyślaniu wynalazków, które „miały dać efekty w wojnie o wyzwolenie Polski", takich jak projekt wozu bojowego zaopatrzonego w kosy, tornistra – tarczy bojowej czy składanego karabinu i łopatki saperskiej wkładanych do kaszkietu. Pomimo międzynarodowej sławy Mierosławskiego wynalazki te raczej rozśmieszały żołnierzy niż budziły ich podziw. Przyznanie mu godności dyktatora powstania u jego zarania uznawano za jeden z fatalnych błędów Komitetu Centralnego Narodowego. Miał wyraźne problemy z oceną sytuacji podczas wojny partyzanckiej i po dwóch przegranych bitwach opuścił Polskę. Jego następca Marian Langiewicz także nie zostawiał na nim suchej nitki, pisząc, że „podłymi intrygami rozbijał walczące hufce powstańcze".

Ignacy Chmieleński z kolei to zawodowy konspirator, nazywany „małym Robespierrem", który zdobył sobie mir wśród sztyletników i – nie stroniąc od intryg i podchodów – wykorzystał ich poparcie, by objąć szefostwo Rządu Narodowego i stanowisko wojskowego naczelnika Warszawy. Licząc na spektakularny sukces, zdecydował się przeprowadzić zamach na namiestnika Berga. Okazał się on spektakularną klęską. Aleksander Potocki był pełnomocnikiem generalnym Rządu Narodowego za granicą, Traugutt dobrze przyjrzał się jego działalności, zanim odwołał go z tego stanowiska.

Dyktator

Przejęcie przez Traugutta Rządu Narodowego było aktem jego suwerennej woli. Został o to poproszony, ale zarazem nikt nie musiał go specjalnie namawiać. Widział nieudolności, zaniedbania organizacyjne i gospodarcze przywódców powstania. Czuł, że jest w stanie sprostać temu zadaniu. Jego spokój, zrównoważenie, małomówność, konsekwentne działanie zawsze robiły jak najlepsze wrażenie w środowisku działającym nierzadko chaotycznie, rozemocjonowanym, skłonnym do radykalizmu, pełnym personalnych napięć.

Tytułowany „prezesem" lub „dyktatorem", w gruncie rzeczy jednoosobowo kierował powstaniem. Z każdym ze swoich współpracowników rozmawiał i ustalał wszystko indywidualnie; nie było żadnych kolegialnych narad. Traugutt nie cierpiał z powodu dylematów moralnych i nie miał chwil wahań. Walka zbrojna wydawała mu się rzeczą słuszną i sprawiedliwą. Nie znosił działania połowicznego, chaotycznego, nieprzemyślanego. Planował utworzenie regularnego wojska powstańczego i rozbudowę struktur podziemnego państwa. Chciał tak zreorganizować wojsko, by miało mocną podstawę finansową i organizacyjną.

„Właścicieli partii" powstańczych postanowił zamienić na dowódców jednostek regularnej armii. Był zdecydowany, żadne niepowodzenia go nie załamywały. „Dążnością Rządu Polskiego być powinno, jest i będzie zawsze prowadzenie ludu Polskiego drogą prawdy – pisał – drogą wskazaną przez Boskiego Nauczyciela naszego". I istotnie, wielu ludziom w tamtym czasie wydawało się, że prowadzi go niewidzialna ręka, kieruje nim jakieś silne niezawodne ramię, na którym się opierał. Wszyscy, którzy z nim wtedy obcowali, podkreślają emanujący od niego spokój i pewność. Były one dla wielu źródłem otuchy. „Polska istnieć będzie – dodawał – bo istnienie jej dla postępu ludzkości nie tylko jest potrzebnym, ale i koniecznym, czas zmiłowania Bożego nad nią, jak mocno ufamy, już niedaleki..." („Odezwa do rządów i ludów Europy", 18 marca 1864 roku).

Europa ówczesna poprzestała jednak w obliczu powstania na uczuciu konsternacji i okresowym wewnętrznym szamotaniu. W jej oczach działania Polaków zawsze nosiły piętno jakiegoś nadmiaru uczuć, dziwnego nieokiełznania. Niepokoiły. Zbyt wiele egzaltacji, zbyt wiele krwi. Za wysoka cena, by burzyć słodki sen i szarpać się z potęgą cara. „[...] los Polski – dodaje prof. Halecki – był w rzeczywistości przesądzony, gdy Francja, Anglia i Austria, z których interwencją wiązała ona swe nadzieje, poprzestawały na przesłaniu carowi, w czerwcu 1863 roku,

eprasa.pl e12cc5019d

not dyplomatycznych, wstawiających się za Polakami. Zyskali sobie oni raz jeszcze sympatię powszechną, w szczególności Napoleona III i Piusa IX".

Halecki pisząc swoją „Historię Polski „(przede wszystkim dla czytelnika zachodniego) zachęca, by nie poprzestawać na łatwych konstatacjach o „szeregu ciężkich błędów politycznych", jakimi były rzekomo wszystkie nasze walki orężne o niepodległość, zakończone klęską. Żeby zrozumieć, czym w istocie były te zrywy ducha polskiego, proponuje, by rozpatrywać je w nawiązaniu do oryginalnej polskiej myśli politycznej i dziejów Europy.

Romuald Traugutt wiedział, że bez obrony własności nie da się obronić niepodległości. Zabiegał – w swoich odezwach do żołnierzy, w aktach prawnych, w projektach przyszłego ustroju społecznego – o poszanowanie także własności chłopskiej, którą osobiście im przyznawał dekretami uwłaszczeniowymi. I zapowiadał surowe kary, łącznie z karą śmierci, dla tych, którzy te dekrety łamali (na przykład zmuszali włościan do opłaty, odrabiania czynszu, okupu lub pańszczyzny). „Święte prawa rodziny i własności codziennie deptane są przez wrogów z właściwą im bezczelnością i barbarzyństwem [...]. Straż tych praw od napaści hord moskiewskich Ojczyzna Wam, Żołnierze Polscy, powierza... Pamiętajcie również, że szczęście ludu naszego jest węgielnym kamieniem przyszłości Ojczyzny. Stójcież wiernie na straży tych praw, które Rząd Narodowy nadał ludowi Polskiemu, a kto je czymkolwiek gwałcić ośmieli się, za wroga Ojczyzny nich poczytanym będzie" – pisał w „Odezwie do Wojska" z 14 grudnia 1863 roku.

W „Instrukcji dla Wojska" dodawał: „Pamiętajcie [...], że powstanie bez ludu jest tylko wojskową demonstracją w większych lub mniejszych rozmiarach, z ludem dopiero zgnieść wroga możemy, nie troszcząc się o żadną interwencję, bez której oby Bóg miłosierny pozwolił się nam obejść". Miał niezłomne przekonanie, że powstańcy walczą o sprawę nie tylko polską.

„Jam jest Traugutt!"

„Aresztowany w miesiącu Marcu r. 1864, w skutek zeznań wydobytych męczeństwami z uwięzionych osób, został osadzony wraz z całym prawie składem rządu narodowego w cytadeli, gdzie po kilku miesiącach więzienia, do niczego się przyznać nie chciał, nikogo nie wydał i stanowczością odpowiedzi zapierających wszystko, odsunął od członków komissyi śledczej wszelką myśl katowania go, która z taką gorliwością i barbarzyństwem wykonywaną była na wielu innych członkach organizacji" – notował kronikarz tych wydarzeń Aleksander Konstanty Nowolecki. Sam będąc ofiarą zdrady, nigdy nikogo nie zdradził.

Z zachowanej korespondencji, jaką małżonkowie wymieniają w miesiącach poprzedzających egzekucję naczelnika, przebija ogromna czułość i wdzięczność. Rozmawiają ze sobą trochę jak zapatrzeni w swe oblicza i serca narzeczeni. Tak mogli zwracać się do siebie tylko ludzie, których nie ogarnęła rozpacz, mimo straszliwych przeżyć i oczekiwania najgorszego, jeszcze przed nimi. Traugutt w swojej celi w Cytadeli Warszawskiej lepił z kulek chleba głowę żony.

„Nie zapominajmy, moje Dziecię – pisał do Antoniny w przeddzień śmierci – że Bóg, chociaż o szczęściu naszym doczesnym pamięta, przede wszystkim ma na celu nasze szczęście wieczne, do którego nas stworzył i przeznaczył [...]. Taką to jedynie pociechę przesyłam Ci, Najdroższa moja, gdyż ta tylko człowiekowi w największym nieszczęściu i strapieniu prawdziwą być może. Z tego samego źródła i ja czerpię moc i ochotę".

5 sierpnia 1864 roku przywieziono go na miejsce egzekucji w długim granatowym szynelu obszytym szeroką taśmą. Ręce jego nie były skrępowane, jak zazwyczaj Rosjanie czynili to skazańcom. Jak podkreślają naoczni świadkowie, był zupełnie spokojny. Zdawał się nie słyszeć wydawanych rozkazów i żadnych innych głosów. Na stokach Cytadeli 30 tysięcy Polaków śpiewało pieśni religijne i głośno wznosiło modły. Rosjanie rozkazali grać orkiestrze wojskowej. Romuald Traugutt cały czas pogrążony był w rozmowie z księdzem, który mu towarzyszył. Gdy padło pytanie, który z pięciu skazanych, którzy stanęli pod szubienicami, jest Traugutt, on wyciągnął do góry obie ręce, w których trzymał krzyż, i zawołał dziwnie donośnym głosem: „Jam jest Traugutt!".

Przed wstąpieniem na drewniane schodki pod szubienicą złożył w ręce spowiednika ostatnią pamiątkę po żonie i dzieciach, ich fotografię z 1862 roku, umieszczoną w portfelowym etui, z którą nigdy się nie rozstawał. Ksiądz usłyszał jego trzykrotny szept, wypowiedziany ze łzami w oczach: „Błogosławię żonę i dzieci!".

Ostatnim gestem naczelnika było ucałowanie krzyża. Tuż przed egzekucją, po nałożeniu śmiertelnej koszuli, wzniósł oczy w niebo i złożył dłonie.

Miał 38 lat. Krzyż, który stanął na miejscu jego kaźni, nazwany został przez warszawiaków „Traugutt". Dwór w Szostakowie, w którym się urodził, wraz z parkiem zniszczono w 1951 roku. Przed wojną znajdowało się tu muzeum Traugutta. W tym miejscu, na skraju wsi rośnie las. ■

_____

„Traugutt. Dokumenty, listy, wspomnienia, wypisy", zebrał i opracował ks. Józef Jarzębowski, Londyn 1970; Oskar Halecki „Historia Polski", Lublin–Londyn 1992; Aleksander K. Nowolecki „Pamiątka dla rodzin polskich: krótkie wiadomości biograficzne o straconych na rusztowaniach, rozstrzelanych, poległych na placu boju, oraz zmarłych w więzieniach, na tułactwie i na wygnaniu syberyjskim, 1861–1866 r.: ze źródeł urzędowych, dzienników polskich, jak niemniej z ustnych podań osób wiarygodnych i towarzyszy broni", Kraków 1867.

eprasa.pl e12cc5019d





Agnieszka Kowalczyk

PRZEZ MĘKĘ Z MATKĄ BOSKĄ KOZIELSKĄ

eprasa.pl e12cc5019d

28 lutego 1940 roku był dniem szczególnym dla Henryka Mikołaja Gorzechowskiego. Wtedy to za drutami obozu jenieckiego w Kozielsku obchodził swoje dziewiętnaste urodziny i otrzymał od uwięzionego wraz z nim ojca niezwykły prezent – płaskorzeźbę Matki Boskiej, wykonaną własnoręcznie na kawałku deski odciętej z pryczy. Na odwrocie widniał napis: Kozielsk 28 II 1940. „Odbyło się to bez słów – wspominał – po prostu serdecznie się uściskaliśmy. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem łzy w oczach Ojca. Później zrozumiałem, jak wielką symbolikę miało to wydarzenie. I ocalałem. Wraz ze mną, mimo licznych rewizji, ocalała płaskorzeźba. Dzisiaj jest dla mnie wielką relikwią”.

fot. Wikipedia

15 lipca 1939 roku Henryk Mikołaj Gorzechowski jako ochotnik został zaprzysiężony na ułana i otrzymał przydział do Szkoły Podchorążych Kawalerii. Gdy wybuchła II wojna światowa, jego pierwszym zadaniem było przedarcie się do Garwolina i ewakuowanie stamtąd majątku pułkowego. Tam też spotkał swego ojca – porucznika Henryka Witolda Gorzechowskiego (nosili takie samo imię), który objął dowództwo taboru. Odtąd szli razem ku Włodzimierzowi Wołyńskiemu, staczając po drodze potyczki z Niemcami.

W rękach Sowietów

Kiedy 17 września Sowieci uderzyli od wschodu, byli już za Równem, w strefie działań zbrojnych Armii Czerwonej. Wtedy to młody ułan, znalazłszy się na kwaterze u popa, nagle zaalarmowany został, że oto nadchodzą bolszewicy. Równocześnie z radia doszły go słowa haniebnego apelu rosyjskiego marszałka Timoszenki, który wzywał polskich żołnierzy do porzucenia oficerów i przechodzenia na stronę Sowietów. Zorientowawszy się, że są w potrzasku, czym prędzej przystąpił wraz z ojcem do zniszczenia majątku pułkowego, paląc, co się dało i topiąc w rzece Turia. Tego też dnia postanowili się rozdzielić – jedną grupę ułanów poprowadził Henryk Witold, a drugą – jego syn. Wszyscy próbowali przebić się do Rumunii, staczając po drodze walki z Sowietami. Podczas jednego z takich starć, przy piekielnym ostrzale z czołgów i broni maszynowej, pod młodym Henrykiem padł koń. Przygnieciony jego ciężarem i ranny w nogę stracił przytomność. „Kiedy się ocknąłem – opowiadał – ujrzałem nad sobą krasnoarmiejca, który pozbawiwszy mnie zegarka [...], zabierał się do pasa głównego”.

Wziętych do niewoli Rosjanie gnali pieszo do Równego, a tam, wsadziwszy do wagonów towarowych, wieźli dalej do Zdołbunowa, ostatniej polskiej stacji kolejowej. Stamtąd Henryk Mikołaj trafił do punktu przejściowego w Szepietówce, mieszczącego się w koszarach wojskowych, „dosłownie nabitych polskimi jeńcami”. Ich liczba sięgała 5 tysięcy. Tam też Sowieci ustalali ich tożsamość. „Oficer to, według nomenklatury sowieckiej, burżuj. A więc pierwszy do eksterminacji”. Nie pomogło nawet to, że niektórzy ukrywali swoje dystynkcje. Wystarczyło tylko spojrzeć na dłonie, aby odróżnić inteligenta od „fizycznego”, a ten pierwszy od razu zaliczany był do „burżujów-oficerów”. Młodego Gorzechowskiego zdradziły biało-czerwone sznurki na mundurze, tak iż uznany został od razu za oficera. Junkier – mówili – znaczit oficer.

W Szepietówce pojmani otrzymali tylko niewielką ilość chleba i kipiatok, czyli wrzątek. Przed gło-

eprasa.pl e12cc5019d

dem ratowały ich konserwy, które mieli przy sobie, choć dostanie się do ich zawartości przedstawiało nie lada problem, bo Sowieci zabrali im wszystkie ostre przedmioty. Cierpiący z powodu odniesionej rany Henryk zasypiał właśnie na wolnym kawałku podłogi, gdy ktoś nagle szturchnął go i zadał sakramentalne w tym dniu pytanie o otwieracz do puszek. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy zobaczył przed sobą postać ojca w mundurze. Odtąd mieli razem dzielić los jeńców wojennych w sowieckiej niewoli.

Załadowano ich do tzw. ciepłuszek, które swą nazwę zawdzięczały umieszczonym w środku piecykom-kozom z kominem wychodzącym przez dach. Podczas gdy zazwyczaj w jednym przedziale mieściło się maksymalnie 40 ludzi, teraz jechało w nim dwa razy tyle. Na stopniach lub w budce hamulcowej każdego wagonu wartę pełnił uzbrojony enkawudzista. Jeńców karmiono słonymi śledziami, a do picia dawano im potworną wodę „z lokomotywy".

W Kozielsku

W połowie października po tygodniowej podróży Henryk Mikołaj trafił wraz z ojcem do obozu jenieckiego w Kozielsku, leżącego kilka kilometrów od miasta. Na początku listopada przebywało tam 4500 Polaków – w przeważającej liczbie oficerów. Miejscem ich niewoli stał się klasztor prawosławny z dwoma cerkwiami, zwanymi przez jeńców Grobem Agamemnona i Grobowcem Indyjskim. Zapędzani do niego już z daleka widzieli kopuły cerkiewne bez krzyży. „Cały monastyr-obóz – jak wspominał Witold Ogniewicz – był ogrodzony wysokim murem, a mur »na wszelki wypadek« opasany plątaniną kolczastych drutów. Na czterech rogach obozu wystawały wieże, gdzie przy karabinach maszynowych dzień i noc znajdowali się bojcy. Na tym nie kończyła się ochrona obozu. Między wieżami były »grzybki« dla innych wartowników, a oprócz tego przy głównej bramie stało zawsze dwóch krasnoarmiejców".

Były tam też eremy – pustelnie wykute w murach. Na podwójnej pryczy spało zwykle pięciu żołnierzy. Nie było dla nich nawet latryny, jedynie wykopany na środku dół z dwiema deskami. Większość uwięzionych lokowano w cerkwiach na trzypiętrowych pryczach, gdzie z trudem znosili długie, zimne noce, cierpiąc często na choroby żołądka i pęcherza. Wnętrza świątyń pobielono wapnem. Toteż pod wpływem tysięcy parujących oddechów zaczęła odpadać wierzchnia biała warstwa ściany i oczom więźniów ukazywały się postacie świętych z cerkiewnych fresków zamazanych przez wypowiadających Bogu wojnę Sowietów.

Kozielsk był obozem śledczym, w którym zbierano wszystkie informacje o uwięzionych oficerach. Na przesłuchania, czyli tzw. doprosy, sowiecki wachtior mógł wezwać ich o każdej porze dnia i nocy. Młody Gorzechowski przydzielony został do oficera śledczego Sierotkina, Żyda, przed którym na stole zawsze leżał mauser. Zwykle pytano o dane personalne, przynależność partyjną, tzw. sosłowije, a więc pochodzenie społeczne – czy jest się szlachcicem, mieszczaninem czy chłopem. Podczas jednego z przesłuchań Henryk dostrzegł na biurku Sierotkina jakiś tajemniczy dokument z napisem „Polizei Präsidium Kattowitz". Wówczas zdał sobie sprawę „z szatańskości powstałego układu" między agresorami Polski i ścisłej współpracy między ich służbami specjalnymi.

Któregoś razu podczas doprosów Sierotkin pokazał mu zdjęcie, na którym zobaczył siebie jako dwunastoletniego chłopca, zwiedzającego wraz z ojcem radziecki krążownik „Marat", który na początku lat 30. zacumował w Gdyni. Oficer śledczy „skomentował krótko: »Ty szpion«. – »Jaki ja szpion – bronił się – przecież miałem 12 lat«. Dowiedziałem się [...], że nawet dwunastolatki u nas szpiegowały. Nie przekonało go chyba nawet moje wyjaśnienie, że Rosjanie sami zapraszali do zwiedzania okrętu". Taka pewność siebie spowodowała przyłożenie lufy mausera do jego twarzy, siarczysty cios i wybicie zęba w dolnej szczęce.

Jeńcy zauważyli, że już od grudnia 1939 roku zaczęli z obozu znikać ludzie. „Wyprowadzano oficerów w asyście silnych konwojów – jak wspomina Witold Ogniewicz.– Nie ogliadywatsia! (Nie oglądać się!) – krzyczeli bojcy, popychając ich przed sobą. Z dumnie podniesionym czołem, żegnali przyjaznym spojrzeniem kolegów – odchodzili. Wchłaniała ich sowiecka Rosja".

Skrzypce z kawałka pryczy

Mimo ogólnie panującego przygnębienia żołnierze czuli się wspólnotą. „Cały obóz stanowił wzorowe »kasyno oficerskie« w nędzy sowieckiego obozu, był przykładem koleżeństwa i honoru polskiego żołnierza w niewoli" – jak pisze Witold Ogniewicz. Jeńcy zorganizowali sobie własną kuchnię, świetlicę i chór. Nocami dla zabicia nostalgii urządzali seanse spirytystyczne, próbując w jakiś metafizyczny sposób nawiązać kontakt ze swymi bliskimi. Wywoływano nawet ducha Piłsudskiego, by zapytać go o przyszłe losy Polski. Na 4043 jeńców co najmniej dwudziestu prowadziło regularne zapiski w dzienniku, inni oglądali sowieckie filmy, bo „w ciągu pół roku w obozowym kinie wyświetlono praktycznie wszystko, co zdążył do początku 1940 roku wyprodukować sowiecki przemysł kinematograficzny: »Woł-

eprasa.pl e12cc5019d

ga, Wołga«; »My z Kronsztadtu«; »Matka«; »Odpust na świętego Jorgena«; »Wielki obywatel«, »Powrót Maksyma...«".

W Kozielsku, jak wspomina z kolei Tadeusz Felsztyn, rozwijała się „niezmiernie ożywiona działalność samokształceniowa, odczytowa, a nawet wydawnicza. Wbrew zakazom władz obozowych kwitła nauka języków, powstały komplety naukowe, a odczyty były zjawiskiem powszechnym. Obejmowały one wszystkie możliwe tematy – naukowe, wojskowe, społeczne, polityczne, ba, literackie nawet. Że zaś w Kozielsku skupiał się kwiat polskiej inteligencji, toteż o wykładowców nie było trudno i nie było chyba dziedziny myśli ludzkiej, która by nie była w tej samorzutnej akcji reprezentowana". Organizowano nawet wieczory literackie i koncerty. Ukazywało się odręcznie przepisywane czasopismo polityczno-literackie, krążyły nowelki „z dobrotliwym sarkazmem wyśmiewające słabostki obozowe", umacniające żołnierzy na duchu. Znalazł się także pewien jeniec, który z kawałka pryczy potrafił stworzyć skrzypce o mandolinowych strunach, zaś smyczek zrobił z prawdziwego włosia, skradzionego obozowym koniom.

Wyżsi i niżsi rangą oficerowie przebywali razem. Henryk Mikołaj pamięta, że byli wraz z nimi generałowie Bohatyrewicz, Minkiewicz, Smorawiński, Wołkowicki, kontradmirał Czernicki, około stu pułkowników i kilkuset majorów. W Kozielsku obok żołnierzy piechoty, kawalerzystów i marynarzy z flotylli pińskiej znaleźli się również piloci. To oni najbardziej imponowali swoją postawą – „trzymali się zawsze razem, tworząc zwartą grupę. Zawsze lśnili czystością". Wśród nich świeciła przykładem córka gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego – pilot-porucznik Janina Lewandowska, jedyna kobieta w mundurze, którą później zamordowano w Katyniu. Według Henryka ludzie ci mieli w sobie wielkie poczucie godności, „wiernego obrońcy swojej ojczyzny". Nawet Rosjanie podkreślali ich dumę i mówili o nich: Gordyje polaczyszki.

„Wsio rawno. Dawaj – otiec"

Z początkiem kwietnia 1940 roku zaczęto partiami wywozić więźniów w nieznanym kierunku. Nikt spośród nich nie wiedział dokąd. Niekiedy mówiono im, że do „szkoły komunizmu", innym razem, że do krajów neutralnych, wreszcie, że do domu.

Na jednym z porannych apelów wyczytano kolejne nazwiska osób przewidzianych do transportu, a wśród nich Gorzechowskiego Gienryka Gienrykowicza. Zdezorientowany Henryk Mikołaj zapytał: „Ojciec czy syn?". Na chwilę zapanowała cisza, a potem usłyszał: „Wsio rawno. Dawaj – otiec". „Moje prośby, abym mógł jechać z ojcem, nie zdawały się na nic – relacjonował. – Ojciec zdążył powiedzieć: »W razie czego opiekuj się matką«. Tak jak gdyby miał przeczucie. Ja wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że słowa enkawudzisty [...] oznaczały dla mnie życie, a dla Ojca okrutną śmierć".

Na pewną śmierć jechał przecież oddany ojczyźnie żołnierz Wojska Polskiego, syn powstańca styczniowego. Urodził się w 1892 roku w Warszawie i po ukończeniu Szkoły Rolniczej w Puławach zamierzał zająć się hodowlą koni. Chcąc po wybuchu I wojny światowej uniknąć wcielenia do armii carskiej, zaciągnął się ochotniczo do Kaukaskiej Tubylczej Dywizji Konnej. Ta zaś cieszyła się specjalnymi przywilejami – jej żołnierze mogli nosić na co dzień mundur i broń, nie byli skoszarowani, mieli własne konie i rzędy końskie. Po rewolucji październikowej dywizja Gorzechowskiego została rozbita przez bolszewików, a on sam próbował się przedostać do Polski, ale w grudniu 1918 roku został aresztowany przy granicy z Finlandią i uwięziony w Petersburgu, skąd w lipcu 1919 roku trafił do osławionej moskiewskiej Łubianki. Tam zwrócił na niego uwagę sam Feliks Dzierżyński, bo znany był mu jego brat, Jan Jur-Gorzechowski, członek organizacji bojowej PPS, współorganizator i dowódca spektakularnej akcji uwolnienia z Pawiaka dziesięciu więźniów politycznych skazanych na karę śmierci (1906).

W czasie pobytu w moskiewskim więzieniu Gorzechowski spotkał swoją przyszłą żonę Julię Prachnicką. Była wywodzącą się z Kaukazu słynną śpiewaczką, która występowała nawet w roli Madame Buterfly. Działała też charytatywnie w Komitecie Pomocy Więźniom i tak poznała Henryka, z którym wzięła ślub, gdy przebywał jeszcze za murami Łubianki. Ostatecznie, w marcu 1920 roku udało im się wyjechać do Polski, którą pani Gorzechowska pokochała z całej duszy, angażując się we wszystko, co łączyło się z jej nową ojczyzną. Była założycielką Szkoły Muzycznej w Gdyni i profesorem śpiewu solowego w Konserwatorium Polskiej Macierzy Szkolnej w Gdańsku. W czasie II wojny światowej została żołnierzem Armii Krajowej. Henryk Witold natomiast po powrocie do kraju wstąpił do Wojska Polskiego i zaraz jako kawalerzysta ruszył do walki z bolszewikami. Służył w 4. Pułku Strzelców Konnych Ziemi Łęczyckiej, w 16. Pułku Ułanów Wielkopolskich im. gen. dyw. Gustawa Orlicza-Dreszera, a także w Korpusie Ochrony Pogranicza. W 1930 roku ze względu na stan zdrowia został zwolniony z wojska, do którego wrócił jako ochotnik w obliczu nadciągającej wojny latem 1939 roku. Znalazłszy się w sowieckiej niewoli, miał podzielić los tysięcy polskich żołnierzy, którym Stalin i jego kaci gotowali już straszliwy los w lesie katyńskim.

eprasa.pl e12cc5019d

Rozdzielony z ojcem Henryk Mikołaj nie przypuszczał wówczas, że widzą się po raz ostatni. Przez cały czas miał przy sobie ojcowski dar – wizerunek Matki Bożej ze złożonymi na piersiach rękoma, w koronie podtrzymywanej przez anioły. „Bardzo mocny wyraz artystyczny tego dzieła – oceniał później Adam Macedoński – uzyskał autor kilkoma niezbędnymi pociągnięciami dłutem (czy nożem) wykonanymi z największą precyzją. Ta mała, niepolichromowana płaskorzeźba poraża każdego swoją ekspresją i smutkiem".

Wkrótce i młody Gorzechowski, 12 maja 1940 roku, wepchnięty został z innymi do więziennego wagonu z zamalowanymi do połowy oknami. Gdy polscy jeńcy dojechali do stacji Gniezdowo, wyprowadzono ich z pociągu z użyciem kolb karabinowych, po czym wpakowano do ciężarówek. Usadzeni zostali na podłodze tyłem do kierunku jazdy, jeden między kolanami drugiego, jak najściślej. Na dachu szoferki wartę pełnił enkawudzista z pepeszą. I tak jechali aż do miejsca, gdzie znajdowało się prewentorium przeciwgruźlicze dla dzieci pracowników NKWD oraz willa komendanta. Po rewizji zapędzono jeńców do baraków z dwupiętrowymi pryczami. Jakimś cudem tylko kozielska płaskorzeźba Matki Boskiej została przy Henryku. „Dziś wiem, że był to znak Jej opieki. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Tę deseczkę traktowałem jako pamiątkę" – wyznawał.

„Tam, gdzie twój ojciec, zawsze zdążysz"

W ten sposób Henryk Mikołaj znalazł się wśród 432 jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, tych, którzy uniknęli śmierci. Po kilku dniach przewieziono ich do obozu w Griazowcu urządzonego w dawnych budynkach klasztornych. Trafili tam m.in. prof. Stanisław Swianiewicz, Józef Czapski, gen. Jerzy Wołkowicki i ks. Zdzisław Peszkowski, w przyszłości kapelan Rodzin Katyńskich. Nikt nie znał swojego losu. Henryk, rozmawiając z majorem NKWD Aleksandrowiczem, synem Polaka, zapytał otwarcie, co Sowieci zamierzają zrobić z polskimi jeńcami. Odpowiedź brzmiała: „Mają nadzieję przerobić was na komunistów". Próbował też wydobyć od enkawudzisty jakieś informacje o swoim ojcu, lecz ten mówił wymijająco: „Mołodoj czełowiek, ostaw. Tam gdzie twój otiec, ty wsiegda uspiejesz" (Młody człowieku, daj spokój. Tam, gdzie twój ojciec, ty zawsze zdążysz). Wtedy słowa te wydały się Henrykowi niejasne. Ich sens zrozumiał dopiero trzy lata później.

Warunki życia jeńców w Griazowcu były znośne. Otrzymywali tyle jedzenia, by wyżyć. Zajmowali się wyrębem drzewa, obsługą obozowej piekarni i łaźni. Nade wszystko jednak czuli się Polakami i to poczucie narodowej tożsamości starali się umacniać za wszelką cenę. Wśród oficerów kwitło życie intelektualne. W obozie znalazły się bowiem wybitne osobowości ze świata nauki i kultury, w tym profesorowie wyższych uczelni, którzy na prośbę młodych żołnierzy prowadzili wykłady z różnych dziedzin: prof. Szarecki, dr Gutowski i prof. Misiuro – z medycyny, prof. Siennicki – z architektury wnętrz, prof. Komarnicki – z prawa międzynarodowego, płk dypl. Grobicki poruszał zagadnienia wojskowe. W meandry muzykologii wprowadzał laureat Konkursu Chopinowskiego, artysta Grzybowski. W ten sposób powstał prawdziwy „uniwersytet obozowy". W obozie rozwijało się również życie religijne, nad którym czuwał o. Kamil Kantak, człowiek mądry, skromny, oddany innym. Był profesorem kolegium jezuickiego w Pińsku. Spowiadał współtowarzyszy niedoli podczas więziennych spacerów, tak by strażnicy niczego się nie domyślili. Polacy przez cały czas byli wielkimi obrońcami wiary, choć komuniści próbowali ich „uczerwienić", narzucić im swój model kultury. „Pamiętam jeden spektakl teatralny – wspominał Henryk Mikołaj. – Wystawiano słynnego »Szerszenia«. Pamiętam moment, gdy grający aktor zaczął deptać krzyż. Wtedy cała publiczność jak jeden mąż wstała i opuściła salę".

Nigdy nie zapomniał też obchodzonego w konspiracji Bożego Narodzenia 1940 roku. Na długich stołach nakrytych czymś przypominającym biały obrus pachniały żywicą sosnowe gałęzie. Na każdego czekał gwiazdkowy prezent. W uroczystościach wzięli udział wszyscy uwięzieni. „Wiedzieliśmy, że o 22.00 gasną światła – opowiada Gorzechowski. – Już jednak o 21.00 przyszedł do nas dyżurny politruk Pietuchow. Oczywiście zobaczył całą »zastawę«. Myśmy siedzieli na pryczach i śpiewali kolędy. Na stole był nawet tort zrobiony z białego i czarnego chleba polanego roztopionym cukrem. Choinkowe drzewo było ubrane w papierowe ozdoby. Zaskoczony enkawudzista wrzasnął: Szto eto takoje? Nie otrzymał odpowiedzi. Popatrzył chwilę na nas, na choinkę. Przetarł oczy i powiedział: A chort z wami". Podczas tej niezwykłej obozowej pasterki najświętszą ofiarę sprawował, leżąc na środkowej pryczy, o. Kantak. Wino liturgiczne przygotowano ze sfermentowanej jarzębiny z cukrem, a opłatki – w więziennej piekarni. Komunię świętą podawano sobie z pryczy na pryczę.

Porażająca wieść o katyńskich grobach

Po ataku Niemców na ZSRS sytuacja uwięzionych zmieniła się diametralnie. Po zawarciu układu Sikorski–Majski do Griazowca przybyło dwóch polskich generałów – szef polskiej misji wojskowej gen. Zygmunt

eprasa.pl e12cc5019d

Szyszko-Bohusz i gen. Władysław Anders, na którego twarzy widoczne były głębokie ślady więziennych przeżyć. Wtedy też polskim żołnierzom odczytano pamiętny rozkaz nr 1, w myśl którego obóz jeniecki przemianowano na pierwszy obóz wojska polskiego w ZSRS. Jego komendantem został gen. bryg. Wołkowicki, a szefem sztabu – płk. dypl. Grobicki. Henrykowi zaś przypadła rola ordynansowego i tłumacza, bo znał doskonale rosyjski i angielski. I tym sposobem znalazł się w Kujbyszewie, gdzie mieściła się Kwatera Główna Wojska Polskiego. Tam spotkał Józefa Czapskiego, który gromadził informacje o zaginionych oficerach i sporządzał ich listę. Henryk Mikołaj próbował dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu, lecz bezskutecznie. Wtedy też postanowił wstąpić do marynarki wojennej i zaciągnąć się na statek płynący do Anglii. Po zdaniu egzaminu otrzymał przydział na brytyjski krążownik „Trynidad". „Służyłem na nim jako marynarz – wspominał. – Pływaliśmy w ochronie słynnych konwojów do Murmańska. Na okręcie tym obsługiwałem armatkę przeciwlotniczą. [...] Ostatnim moim rejsem była ochrona konwoju PQ 12. Wtedy to »Trynidad« został zatopiony przez własną torpedę na skutek awarii sterów torpedowych spowodowanej wcześniejszym bombardowaniem. Uratowałem się cudem. Ranny znalazłem się w szpitalu". Wkrótce potem wstąpił do 1. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, wchodzącego w skład 1. Dywizji Pancernej dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka.

I tak zastał go kwiecień 1943 roku, a wraz z nim nadeszła porażająca wieść o katyńskich grobach odkrytych przez Niemców. Henryk miał jeszcze nadzieję, że może jego ojciec w jakiś sposób ocalał. Tak się jednak nie stało. Wkrótce w jednym z niemieckich komunikatów radiowych usłyszał nazwisko por. Henryka Gorzechowskiego. Przy ekshumowanych zwłokach odnaleziono w jego płaszczu dwie fotografie i Krzyż Virtuti Militari. Henryk nie miał już wątpliwości, że ojciec został rozstrzelany przez Sowietów. Sam przecież tuż przed odjazdem transportu, zaszył mu w kołnierzu owe znaki tożsamości.

Vinctis non Victis

Marek Hołubicki, przeprowadzając w 1989 roku wywiad z Henrykiem Mikołajem Gorzechowskim, stwierdził, że „wtedy, w maju, usłyszawszy wiadomość o zidentyfikowaniu zwłok Ojca, jednego z tysięcy polskich oficerów, jeńców obozów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, którzy za swą wierną służbę Ojczyźnie zapłacili cenę najwyższą, zrozumiał, że sam był również na tej drodze. Tylko niezbadanym wyrokiem Boskiej Opatrzności został ocalony". Znajdował się przecież, jak ciągle to czuł, pod opieką Matki Boskiej, której wizerunek ojciec wyrzeźbił w Kozielsku.

Wracając na ojczystą ziemię, do rodzinnej Gdyni, wiózł z sobą cudowną relikwię – wizerunek Maryi. W obawie przed służbami komunistycznymi PRL skrywał go przez lata w domowym zaciszu. Dopiero po jego śmierci w 1989 roku, wydobył go wnuk zamordowanego w Katyniu Henryka Witolda Gorzechowskiego, noszący tak jak i jego przodkowie imię Henryk. „Płaskorzeźba ta wisiała w naszym domu zawsze, odkąd sięgam pamięcią" – opowiadał w sierpniu 2002 roku dr Bożenie Łojek z Polskiej Fundacji Katyńskiej. „Była to po prostu droga rodzinna pamiątka, z którą wzrastałem [...]. Pod koniec lat osiemdziesiątych tato ujawnił Jej niezwykłą historię publicznie i po raz pierwszy wydrukowano zdjęcie tej wyjątkowej płaskorzeźby..."

Oblicze Kozielskiej Madonny, już wkrótce potem, oglądano w kościołach i na muzealnych wystawach. Wnuk zamordowanego w Katyniu Henryk Wacław Gorzechowski przekazał ikonę prof. Jackowi Trznadlowi, przewodniczącemu Rady Polskiej Fundacji Katyńskiej, który zobowiązał się do opieki nad ikoną oraz do wyeksponowania obrazu Matki Boskiej Kozielskiej w jednym z warszawskich kościołów.

W 2002 roku ta uświęcona męczeńskim szlakiem Polaków płaskorzeźba wprowadzona została jako główna relikwia do nowo powstałej kaplicy w warszawskiej Katedrze Polowej Wojska Polskiego, zwanej odtąd kaplicą Matki Bożej Katyńskiej. Ściany tego wyjątkowego mauzoleum Ofiar Katyńskich, zaprojektowanego przez profesorów Akademii Sztuk Pięknych Konrada Kucza-Kuczyńskiego i Andrzeja Miklaszewskiego, pokrywa 15 tys. posrebrzanych tabliczek. Znajdują się na nich imiona i nazwiska pomordowanych w Katyniu, Charkowie i Miednoje, tych wszystkich, których udało się imiennie zidentyfikować. Ułożone są alfabetycznie zgodnie z wykazem jeńców trzech obozów: Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska, w których zostali osadzeni po wzięciu do niewoli przez Armię Czerwoną. Ponadto na jednej ze ścian zamieszczono 7 tys. tabliczek z napisem NN, symbolizujących nieznane z nazwiska ofiary zbrodni NKWD. W głębi przyciąga wzrok niewielki ołtarz z białego marmuru z reliefem krzyża Virtuti Militari, nad którym góruje wyrzeźbiony niegdyś w drewnie przez Henryka Gorzechowskiego obraz Matki Boskiej Kozielskiej, umieszczony w marmurowej nastawie sięgającej czterech metrów wysokości. Zamieszczony na niej napis głosi: Vinctis non Victis – „Pokonanym Niezwyciężonym", a o niezniszczalnym duchu polskości zaświadcza bursztynowo-srebrny orzeł w koronie. Na duchowej mapie Polski jest to miejsce szczególne, miejsce, któremu patronuje Matka Boża Katyńska – „świadek ostatnich miesięcy życia więźniów z Kozielska – męczenników polskiej Golgoty Wschodu". ■

eprasa.pl e12cc5019d

Piotr Lisiewicz

Sylwetkę Henryka Józewskiego prezentujemy dziś na łamach „Nowego Państwa". Mąż stanu, współpracownik Józefa Piłsudskiego, wojewoda wołyński, wiceminister w ukraińskim rządzie Symona Petlury to postać, której myśl jest dziś szczególnie aktualna. Jego walka o to, by Rosja nie wygrywała przeciwko sobie polskiego i ukraińskiego nacjonalizmu, a także katolicyzmu i prawosławia, to mocna opowieść o także bardzo współczesnych zagrożeniach. Poniżej przedrukowujemy fragmenty publikacji „Opowieść o Istnieniu. Zamiast pamiętnika" za pismem „Tekstualia: palimpsesty literackie, artystyczne, naukowe", którego lekturę polecamy.

Henryk Józewski

Wygrać katolików przeciw prawosławnym. Nacjonalizmy w służbie Moskwy

Mentalność endecka popierana powszechnie przez kler była w kształtowaniu się polskiej postawy, na ziemiach wschodnich wrogiem numer pierwszy. Walka z nią nie była łatwa. Endeckość zdołała usadowić się wszędzie, w różnych szczelinach życia i przy każdej sposobności szczerzyła zęby. Mentalność ta, jak w swoim miejscu wspomniałem, jest polską postawą niszczącą to, co w Polsce jest ogólnoludzkie. Jeżeli wyobrazimy sobie taką właśnie polską postawę w środowisku mieszanym, w danym razie polsko-ukraińskim, ogarnia nas przerażenie

Już w okresie prac przygotowawczych po ukazaniu się orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej o zwołaniu soboru prawosławnego coś się zmieniło w sposobie myślenia ludności prawosławnej. Zaczęto się domyślać, że prawosławie nie jest „bezdomnym podrzutkiem", którym opiekuje się spoza granic Rzeczypospolitej Moskwa, nie jest wrogo do Polski usposobionym intruzem i odziedziczonym w spadku po historii ciałem obcym, które nie może budzić dobrych uczuć Polaków i katolików.

Świat katolicki założył sprzeciw

Zaczęto sobie zdawać sprawę, że prawosławie nie może być prześladowane przez katolicką Polskę, że nie jest wrogiem Polski. Dotychczasowy stan rzeczy zaczął ulegać zasadniczej zmianie. Została usunięta jeszcze jedna przeszkoda polsko-ukraińskiego braterstwa, nie tylko na Wołyniu. Należy zdawać sobie sprawę, że pomimo polsko-ukraińskiego pokrewieństwa i obyczajowości polsko-ukraińskiej na ziemiach naddnieprzańskich Polska akcentowała swoje katolickie stanowisko wobec prawosławnego świata. I to pomniejszało możliwości korzystnego układu dla Polski i Ukrainy. Tak działo się przez długi czas i świadomość tego wrastała w życie. Moskwa robiła, co mogła, żeby grozę katolickiej Polski powiększać. W rozgrywce polsko-ukraińskiej na obszarach bałtycko-czarnomorskich był to w ręku Moskwy nie lada atut.

Otóż skończyło się to z chwilą ogłoszenia autokefalii Polskiego Kościoła Prawosławnego. Od tej chwili Polska współdziała z prawosławiem i odbiera Moskwie prawo reprezentowania prawosławia w życiu polskim. [...] Jak już wspomniałem, ludność prawosławna zaczęła zdawać sobie sprawę ze zmiany sytuacji i perspektyw na przyszłość.

Mniej zrozumiałe i oczywiste było to dla strony polskiej, dla polskiego katolickiego świata i świata

eprasa.pl e12cc5019d

katolickiego w ogóle. Świat katolicki założył sprzeciw. To, że Polska wzięła udział w dźwiganiu się prawosławia ku lepszej przyszłości, dyskredytowało Polskę w oczach prawowiernych katolików. Prawosławie, zgodnie z tym sposobem myślenia, można tylko nawracać na wiarę katolicką i poddawać pod katolicką jurysdykcję. [...] Niejeden „praworządny" Polak-katolik patrzył na mnie niechętnym, a w wielu razach wrogim okiem, miał mnie za zdrajcę Kościoła i Polski. Fabrykowano o mnie i mojej rodzinie przeróżne pogłoski. Krążyły one wszędzie, nawet w sferach rządowych. Odznaczyli się między innymi panowie oficerowie, którzy poczuli wolę bożą do działalności politycznej o typie endecko-oenerowskim. Mówiono na przykład, że w moim domu rozmawia się po rosyjsku. Moje córki (których nie miałem) mówiły rzekomo tylko po rosyjsku [...] Za mną był Piłsudski. Paraliżowało to skutecznie endeckie porywy poszczególnych oficerów. [...]

Przeszkodą były hierarchie i duchowieństwo prawosławne z tytułu swej rosyjskości. Składały się one z rodowitych Rosjan, często o poglądach reakcyjnych i istinno russkich. W parafiach proboszczowie, nolens volens, musieli się z parafianami dogadywać, układać stosunki. Była to ludność prawosławna – ukraińska, coraz bardziej narodowo uświadomiona i niechętna Rosji. W większości wypadków proboszczowie dawali sobie radę i w teren ukraiński wrastali [...]

Dionizy przegrał

Najbardziej rosyjsko-carski był Metropolita Dionizy [...] Wyrazem bojowości Metropolity miała być wielka manifestacja prawosławia w Poczajowie w dzień św. Jowa. W dniu tym zbierały się w Poczajowie tysiące pątników [...] Gdy doszły do mnie te wieści, wezwałem posła Stefana Skrypnyka i omówiliśmy plan działania. Chodziło o zorganizowanie w murach Poczajowa manifestacji ukraińskiej. Przyznaję, że plan był dość ryzykowny. Tysiączne tłumy w czasie takich manewrów, ściśnięte w murach klasztoru – to mogło spowodować tragiczne skutki i ofiary w ludziach. Przyszedłem do przekonania, że będzie najlepiej, jeżeli w dniu św. Jowa wojewoda będzie nieobecny w Łucku, a miejsce jego pobytu nieznane. Tak się stało. Wczesnym rankiem wyjechałem na polowanie na cietrzewie. Wieczorem wróciłem do Łucka. Oczekiwałem na hiobowe wieści, raporty policji, straty, protesty i skargi Metropolity, wiadomości o zabitych i rannych. Mogłem się wszystkiego spodziewać. Z niepokojem zbliżałem się do biurka i do pliku leżących papierów. Natknąłem się na telefonogram posła Skrypnyka – dowódcy akcji. Przeczytałem, że ofiar w ludziach nie było. Odetchnąłem.

Żywiołowa ukraińska manifestacja sparaliżowała z miejsca akcję Dionizego. Na dzwonnicy poczajowskiej pojawił się błakytno-żowtyj prapor, w tłumie ukazały się ukraińskie transparenty z hasłami o ukraińskiej Cerkwi, o Polsce, o Ukrainie. Hulały ukraińskie okrzyki, panowały ukraińskie pieśni. Dionizy przegrał [...] Ledwo żywego Metropolitę wyprowadzili biskupi poprzez manifestujący tłum do metropolitalnego domu [...]

Metropolita bez zastrzeżeń przystąpił do dalszej pracy z delegacją rządową. Chodziło o ukraińskie akcenty w prawosławnych instytucjach. W Łucku zastałem Łuckie Prawosławne Bractwo Podniesienia św. Krzyża. O ile sobie przypominam, powstało ono za czasów Jana Kazimierza. Kiedy Rosja zalała Wołyń, ukraińskie bractwo przemieniono na ortodoksyjnie rosyjskie. [...] Bractwo było bogate. Na mocy królewskiego nadania było właścicielem dwóch trzecich Łucka. Kiedy zjawiłem się w Łucku, zdałem sobie sprawę, że bractwo to dobry interes dla ludności łuckiej żydowskiej i hierarchii prawosławnej. Miejscowi działacze bractwa – Rosjanie – nie mieli także na co się uskarżać.

Bitwa z Metropolitą Dionizym o bractwo trwała szereg miesięcy, obfitowała w dekoracyjne i wstrząsające momenty. Były poruszone wysokie czynniki państwowe. Miałem kłopoty z prokuraturą. Wreszcie Dionizy się poddał. Sprawa została wygrana. Bractwo Podniesienia św. Krzyża stało się bractwem ukraińskim, tak jak za Jana Kazimierza. Ukraińcy uzyskali cerkiew przy reprezentacyjnej ulicy Łucka. O ile się orientuję, była to pierwsza prawosławna ukraińska cerkiew w Polsce. Proboszczem został ksiądz Paweł Paszczewski – kiedyś Protopresfi ter Ukraińskiej Armii. Była to postać wspaniała, pełna uroku, wyrazu, ogólnie szanowana i znana. Oteć Pawło nosił się z ukraińska, był petlurowcem [...]

Wrzenie narastało

Jeżeli chodzi o Wołyń, może być jedynie mowa o Stronnictwie Narodowym i endeckiej mentalności [...] Mentalność endecka popierana powszechnie przez kler była w kształtowaniu się polskiej postawy, na ziemiach wschodnich wrogiem numer pierwszy. Walka z nią nie była łatwa. Endeckość zdołała usadowić się wszędzie, w różnych szczelinach życia i przy każdej sposobności szczerzyła zęby. Mentalność ta, jak w swoim miejscu wspomniałem, jest polską postawą niszczącą to, co w Polsce jest ogólnoludzkie. Jeżeli wyobrazimy sobie taką właśnie polską postawę w środowisku

eprasa.pl e12cc5019d

mieszanym, w danym razie polsko-ukraińskim, ogarnia nas przerażenie [...]

W powiecie łuckim, w pobliżu granicy wschodniej leży wieś Żabcze. Wieś ta stała się sławna. Była to wieś mieszana, polsko-ukraińska. Kościół katolicki został swego czasu zamieniony przez władzę carską na cerkiew. Kiedy nastała Polska, cerkiew stała się kością niezgody pomiędzy ludnością polską a prawosławną [...]

Wrzenie narastało. Doszło do tego, że ludność katolicka, przemocą wdzierała się do cerkwi, zajmowała ją, odbywały się nabożeństwa. Przy pierwszej jednak sposobności prawosławni zajmowali cerkiew znowu i bronili jej. Był to stan przybierającej na sile walki religijnej. Sceny stawały się coraz bardziej drastyczne. Żabcze mogło się stać w każdej chwili areną pożałowania godnych wypadków, rzucających cień na dobre imię Polski i budzących echa oburzenia na świecie. [...]

Od paru dni tłum prawosławnych zajął cerkiew siłą, złamał kłódki zawieszone przez Polaków, zamknął się w cerkwi jak w fortecy. Ksiądz prawosławny, Zahajdakowski, zaprzysiągł wiernych, by cerkwi bronili i dali swe życie w ofierze za wiarę prawosławną. Odbywały się nieustające modły. Tłum opanowała ekstaza. Tak szły dnie.

Wezwano wojsko i policję. Otoczono cerkiew jak fortecę. Przerwano łączność zgromadzonych ludzi ze światem. Próby wejścia do cerkwi spełzły na niczym. Cerkiew się broniła. Ilekroć policja usiłowała otworzyć drzwi, ręce policjantów krwawiły od uderzeń żelaznych łomów. Bez użycia broni usunięcie tłumu z cerkwi było niemożliwe. Oblegający czekali na rozkaz natarcia. Udałem się do Metropolity Dionizego. Przedstawiłem sprawę, o której już był zresztą dokładnie poinformowany. Prosiłem, by wysłał swojego pełnomocnika – księdza, który uwolniłby zebranych w cerkwi od złożonych na ręce od księdza Zahajdakowskiego przysięgi trwania w oporze i poniesienia śmierci męczeńskiej. Metropolita rozmawiał ze mną niechętnie i wręcz odmówił interwencji.

▶ Stali się zwykłymi ludźmi

Zarysowała się perspektywa aktu męczeństwa cerkwi prawosławnej w państwie polskim. Wyjechałem do Łucka. Pociąg warszawski przychodził wczesnym rankiem. O ósmej byłem już w swoim gabinecie w urzędzie wojewódzkim. Złożono mi sprawozdanie. Czekano na moją decyzję. Jeszcze z Warszawy zażądałem usunięcia wojska. Policja trwała na posterunku wokół cerkwi. Tłum wewnątrz cerkwi stanowili ludzie starsi, mężczyźni, kobiety i dzieci. Był siódmy dzień oblężenia. Zamknięci w cerkwi ludzie pozbawieni byli jedzenia i wody. Panował mróz. Ludzie zlizywali szron z okien. Nie chcieli pertraktować i nie wpuszczali nikogo. Myślałem: „może są już trupy, chorzy, są na pewno wyczerpani doszczętnie, gonią resztkami sił". Groza sytuacji rosła z godziny na godzinę. Była to chwila jedna z najtrudniejszych w moim urzędowaniu. Ja odpowiadałem za wszystko. Do mnie należała inicjatywa. Czekano na moją decyzję.

Przez pewien czas męczyłem się sam ze sobą. Doradcy moi podsuwali myśl użycia bardziej zdecydowanych środków dla złamania oporu czającego się w zamarzłej cerkwi. Należało użyć broni. Ilość ofiar byłaby mniejsza w porównaniu ze zwałami zamarzniętych w cerkwi trupów. Wreszcie w rozmowie z samym sobą decyzja zapadła. Poleciłem odwołać policję i pozostawić cerkiew samą. Policja odeszła na tyle daleko, że stała się niewidoczna dla ludzi zamkniętych w cerkwi. Wezwałem starostę łuckiego i powiatowego lekarza. Poleciłem zmobilizować lokomotywę jako jedyny środek szybkiej komunikacji z Żabcza. Drogi zawiał śnieg. Starosta i lekarz mieli się udać do cerkwi, tzn. dojść do drzwi cerkiewnych i oświadczyć, że przyjechali z pomocą dla przebywających w cerkwi ludzi. Chodziło o jedzenie i wodę. Chodziło o pomoc lekarską. Zgodnie z opinią doktora w sytuacji, jaka powstała, należało dostarczyć w pierwszym rzędzie wody mieszanej z odrobiną wina, potem rosołu z kury. Słowem, zdecydowałem się nieść pomoc zebranym w cerkwi, nie licząc się z czasem. Niech siedzą, jedzą i piją. Niech nie stawiają żadnych warunków, niech robią, co chcą.

Ludzie z cerkwi, po przekonaniu się, że mają do czynienia tylko z dwiema osobami i że chodzi jedynie o pomoc lekarską, żywność i wodę, wpuścili moich „posłów" niosących wiadra z wodą. To, co ujrzeli, było makabryczne. Dzieci i kobiety przeważnie leżały na podłodze, leżeli także ci, którym trudno było podnosić się. Przed ołtarzem, tzn. przed „carskimi wrotami", stał ksiądz prawosławny Zahajdakowski z krzyżem w ręku, a koło niego parę postaci. Panowała cisza pełna wyczekiwania. Kiedy „posłowie" stanęli przed ołtarzem, doktor zapytał, czy są chorzy, i zapowiedział, że zostanie udzielona pomoc medyczna, zapowiedział także, że zacznie rozdawać wodę z winem. Wyciągnęły się ręce, pojawiły się kubki. Doktor nalewał, ludzie pili. W pewnym momencie rozległ się głos: „nie wypijcie wszystkiego, niech i nam zostanie". I to właśnie przerwało panujące napięcie, zaczęto mówić, pojawiły się słowa zwyczajne, ludzkie – stali się zwykłymi ludźmi. Większość ruszyła do wsi, do domu. ■

_____

Przedruk za: „Opowieść o Istnieniu. Zamiast pamiętnika", „Tekstualia: palimpsesty literackie, artystyczne, naukowe", 2013, nr 2, s. 123–129.

Tytuł i śródtytuły od redakcji „Nowego Państwa".

eprasa.pl e12cc5019d

Małgorzata Matuszak

Czym jest... pokój

Pokój w każdym czasie historycznym jest dobrem, o które należy i trzeba zabiegać, i dokładać wszelkich starań, aby je utrzymać. Jest to bowiem ten stan świata, który nam wszystkim umożliwia życie w godności i zabezpiecza naszą normalność. Mając w pamięci czasy, w których wojna była codziennością świata, winniśmy pamiętać również o tym, jak ważny jest pokój, i starać się, by nie stracić go z oczu wtedy, gdy wydaje nam się czymś naturalnym. W czasach, gdy porządek aktualnego świata stoi pod znakiem zapytania, pojawia się szczególnie mocno pytanie, jak dbać o pokojowe życie we własnym kraju oraz jak dbać o relacje pokojowe na świecie.

Kiedy żyjemy w czasach pokoju, zwykliśmy przechodzić nad tym faktem do porządku dziennego i traktować go jako coś oczywistego. Kiedy jednak pokój jest zagrożony, musimy pytać zarówno o niego, jak i warunki jego utrzymania. Pokój nie jest bowiem niczym trwałym, jak nam się pozornie może wydawać – wobec wielu narastających w świecie antagonizmów politycznych i społecznych jest dobrem, które należy nieustannie ustalać na nowo. Dlatego stwierdzenie Mahatmy Gandhiego, że „nie ma drogi do pokoju, to pokój jest drogą", należy do tych prawd, o których trzeba zawsze pamiętać oraz które trzeba wprowadzać w życie polityczne kraju i w życie każdego człowieka.

Dbanie o pokój na polu prywatnym wyraża się w trosce o dobre relacje z innymi ludźmi i o to, by nasze, międzyludzkie spory rozwiązywać w pokojowy sposób, kierując się zasadą zachowania wzajemnej godności oraz poszanowania dla obu stron konfliktu. Podobnie na polu społecznym i państwowym powinniśmy dbać o dobrą jakość życia publicznego oraz otwartą dyskusję – dążyć do konsensu, unikając siłowych rozwiązań pojawiających się problemów.

Istotne jest, jak podkreśla Jan Paweł II w kontekście wypowiedzi o pokoju, zachowanie zasady sprawiedliwości: „Nie ma pokoju bez sprawiedliwości, nie ma sprawiedliwości bez przebaczenia" (Orędzie na XXXV Światowy Dzień Pokoju, 1 stycznia 2002 roku). Polski papież zauważa tu istotną etycznie kwestię: tam, gdzie pojawia się poczucie krzywdy, wynikające z naruszenia zasady sprawiedliwości, tam też pojawia się konflikt, który rozwiązać może tylko przywrócenie równowagi poprzez zasadę sprawiedliwości. W chrześcijaństwie zasada ta nie polega jednak na równej odpłacie i wyrównaniu rachunku krzywd, lecz na odkupieniu winy przez agresora poprzez zadośćuczynienie za krzywdę i prośbę o jej wybaczenie, nie odpłacając zatem złem za zło, ale hołdując zasadzie dobroci, która nie prowadzi do zemsty, a do przebaczenia. Prawdziwie chrześcijańskie postępowanie polega wszak na tym, aby przerwać łańcuch wyrządzanego zła tam, gdzie jest to możliwe. I chociaż propozycja przebaczenia z różnych względów wydaje się przesłaniem paradoksalnym, to tylko ona jest w stanie powstrzymać zło i nie eskalować go w spiralę przemocy. Jak bowiem w innym miejscu, w encyklice „Redemptor Hominis", stwierdza wielki Polak, wielki przeciwnik konfliktów zbrojnych i niestrudzony orędownik pokoju: „Wojna jest zawsze porażką ludzkości". W tej samej encyklice Jan Paweł II podkreśla również znaczenie pokoju na świecie i w życiu ludzkości: „Pokój sprowadza się w ostateczności do poszanowania nienaruszalnych praw człowieka – dziełem sprawiedliwości jest pokój – wojna zaś rodzi się z ich pogwałcenia i łączy się zawsze z większym jeszcze pogwałceniem tych praw".

> WOJNA JEST ZŁEM, POKÓJ NIE ZACZYNA SIĘ JEDNAK WRAZ Z MOMENTEM ODŁOŻENIA NA BOK BRONI. POKÓJ TO PRZECIEŻ COŚ WIĘCEJ NIŻ BRAK WOJNY.

Minął rok od wybuchu wojny w Ukrainie. Wierzymy mocno, że jej zakończenie jest możliwe, to do Ukrainy należy jednak wybór drogi do sprawiedliwego pokoju, która może być długa i wspierana być musi przez wspólnotę międzynarodową. Świat nie powinien oczekiwać, że w imię pokoju Ukraina przestanie się bronić. Pokój, który uwolni Ukrainę, winien być oparty na uznaniu prawdy o rosyjskiej agresji, zbrodnie wojenne dokonywane przez agresora domagają się osądzenia i zadośćuczynienia. Wojna jest złem, pokój nie zaczyna się jednak wraz z momentem odłożenia na bok broni. Pokój to przecież coś więcej niż brak wojny. ■

eprasa.pl e12cc5019d



Ryszard Czarnecki

Rosyjska zemsta

Ta historia jest niczym scenariusz sensacyjnego filmu. Jest w niej wszystko, jak w najlepszych produkcjach Hollywood. Wielka (i tragiczna) miłość, wątek szpiegowski, tajemnicze morderstwa na dwóch kontynentach. Tyle że to nie fabuła, lecz życie. Zdarzyło się to naprawdę na przestrzeni mniej więcej ćwierćwiecza. Akcja dzieje się w Polsce, USA i Rosji. Zaczyna się w drugiej połowie lat 70., a kończy zaskakującą śmiercią polskiego generała w rosyjskim jeziorze Bajkał w pierwszych latach XXI wieku. Jeżeli znajdzie się scenarzysta i reżyser, a przede wszystkim odważny producent, który zdecyduje się na nakręcenie filmu fabularnego, to na ekranach pojawi się napis: „Film oparty na autentycznych wydarzeniach".

Dramat dwóch warszawskich rodzin, których członkowie giną z ręki Rosjan, najpierw w... USA, a potem w Rosji, może być kanwą tej filmowej opowieści. Badania pokazują, że ludzie wolą filmy fabularne, które opowiadają o autentycznych wydarzeniach, a nie są li tylko zmyśleniem. Gdy dziś toczy się wojna rozpoczęta rok temu przez Moskwę, może warto opowiedzieć historię, w której pierwszoplanową rolę odgrywają rosyjskie służby?

Bogdan i Gosia (imiona autentyczne) mieszkali koło siebie na Nowym Mieście w Warszawie. Gdy jedzie się Wisłostradą od Cytadeli w kierunku centrum, widać wzniesienie od wieków nazywane Gnojną Górą. Mieści się tam tzw. Ochabówka, a więc willa, w której mieszkał krótkotrwały I sekretarz KC PZPR Edward Ochab. Obok jest rząd willi: w nich właśnie mieszkali współcześni Romeo i Julia. W oryginale u Szekspira rodziny Capuleti i Montecchi od początku były wrogami, a miłość ich dzieci z góry skazana była na tragiczny finał. Tak nie było w polskiej odmianie tego dramatu. Rodziny państwa H. i K. przyjaźniły się, odwiedzały, ojcowie rodzin pracowali razem. Gosia (w dokumentach oficjalnie Grażyna) była córką najmłodszego generała LWP, który z racji tego dostąpił nawet zaszczytu bycia gościem w programie legendarnej Ireny Dziedzic. Bogdan był synem pułkownika, którego pasją było żeglarstwo. Byli ze sobą od liceum. Ona olśniewająco piękna, on – przystojny. Sprzyjali im rodzice.

Widzowie w kinach – jestem jednym z nich – lubią kontynuacje. Powstał już film o ojcu Bogdana (główną rolę w nim zagrał Marcin Dorociński), ale o jego synach i ich tragicznych losach nie było tam niemalże mowy. Nic nie zapowiadało, że dwie zaprzyjaźnione rodziny nagle staną się jak dwa rody z Werony.

Generał H. nie domyślał się, że pułkownik „K" to szpieg, który wykradał sowieckie tajemnice wojskowe, plany ewentualnej inwazji, stanu wojennego i przekazywał je Amerykanom. Po przecieku od Amerykanów – Moskwa przekazała Jaruzelskiemu, że w samym najściślejszym centrum operacyjnym USA ma swojego „kreta". Pętla zaczęła się zaciskać. Godziny dzieliły pułkownika Ryszarda K. od aresztowania jego i rodziny – i bez wątpienia śmierci. Amerykanie przechytrzyli ogony z kontrwywiadu PRL i wywieźli całą rodzinę do Berlina Zachodniego, a potem do Stanów. Sowieci (Rosjanie) są mściwi. Nie zdołali dopaść pułkownika Ryszarda na amerykańskiej ziemi, ale dopadli jego synów. Pierwszy ginie przejechany przez samochód – sprawcy nie odnaleziono. Drugi – kocha żeglować jak ojciec – znika w czasie weekendowego rejsu po jednym z amerykańskich jezior – ciała nie znaleziono. Córka generała Władysława H. nigdy nie wyjdzie za mąż. Jej ojciec doszedł do stanowiska szefa wojsk Obrony Powietrznej, ma wielu znajomych wśród Rosjan. Ci skracają dystans. Zaczynają namawiać go do współpracy już w czasach III RP. W czasie wizyty trzech gości z ambasady rosyjskiej w jego domu, w kwietniu 2002 roku, dochodzi do awantury. Żona i siostra generała słyszą podniesione głosy Rosjan. Generał odmawia Rosjanom współpracy. Zawsze na wakacje jeździ z żoną, ale tym razem na Bajkał wyjeżdża sam. Tonie tuż przy brzegu, w tajemniczych okolicznościach. Od tego czasu minęło 20 lat. Czas opowiedzieć tę historię. ■

eprasa.pl e12cc5019d



Z GRUNTU KORZYSTNA POŻYCZKA DLA ROLNIKA

0 ZŁ ZA PROWADZENIE KONTA PRZEZ PIERWSZE 2 LATA

Zabezpiecz rozwój swojego gospodarstwa, korzystając z dodatkowych środków na dowolny cel związany z Twoim gospodarstwem:

- **do 300 tys. zł** bez żadnych zabezpieczeń
- spłaty dostosowane do Twojej produkcji rolnej
- proste zasady, **szybka wypłata środków**

Bo grunt to stabilny rozwój, niezależnie od warunków klimatycznych.

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Udzielenie pożyczki, w tym pożyczki bez zabezpieczeń, jest uzależnione od posiadania zdolności kredytowej. Oferta specjalna PKO Konta Firmowego dla rolnika do 31.01.2024 r. Szczegółowe informacje o produktach i usługach, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w oddziałach PKO Banku Polskiego oraz na stronie www.pkobp.pl

eprasa.pl e12cc5019d

KRUCHOŚĆ WIELORYBA

Olga Doleśniak-Harczuk



Na czym polega fenomen „Wieloryba”? Może na tym, że dotykając dużej liczby wątków, dzieli środowiska od lewa do prawa. Dla jednych jest paliwem podlanym „fatfobem”, dla innych uczciwym, choć chwilami zbyt naturalistycznym nakreśleniem sytuacji człowieka otyłego i schorowanego. Jedni obruszą się, że Charlie jest homoseksualistą, inni zarzucą twórcom filmu powielanie homofobicznych stereotypów. I jeszcze kwestia religii, wiary, symboliki, pytania o sens życia, cierpienia, poświęcenia i ostatecznie – odkupienia. „Wieloryb” to gęsta od wstydu, bólu i ludzkiej ułomności adaptacja wydanego w 2012 roku dramatu Samuela D. Huntera. A jednak jest i zalążek nadziei. I ponadludzkiej determinacji.

eprasa.pl e12cc5019d



FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl e12cc5019d

Ludzie są wspaniali" – mówi Charlie pod koniec kilkudniowej, wyniszczającej walki o siebie i swoich bliskich. Walki o wysłuchanie, zrozumienie, wybaczenie – w tej kolejności. W tych trzech prostych słowach zawiera się istota „Wieloryba". Czy Brendan Fraser za rolę Charliego otrzyma Oscara dla najlepszego aktora? Uważam, że powinien. A to, na ile akademia filmowa wyceni dzieło powracającego po latach niebytu w show-biznesie Frasera, okaże się już po oddaniu tego artykułu do druku.

Moby Dick jak balsam

Charlie jest wciśnięty w fotel, słychać przyspieszony oddech, dopiero po chwili w kadrze widzimy twarz. To ten moment zresztą, kiedy część widowni odwraca wzrok, bojąc się, by kamera nie zdradziła za dużo. Scena jest intymna i jasno komunikuje homoseksualną orientację Charliego. W pewnej chwili Charlie zaczyna się dusić. Akcja przyspiesza. Ktoś chwyta za klamkę i wpada do środka, jakby chciał zapytać o drogę w przydrożnym motelu. To wędrowny misjonarz Kościoła ewangelikalnego Thomas (Ty Simpkins). Przynajmniej tak się przedstawia. Charlie resztką sił prosi zszokowanego gościa o odczytanie z pomiętej kartki eseju o Moby Dicku. Po wysłuchaniu kilku linijek tekstu Charlie uspokaja się, duszności przechodzą, młody przybysz dowiaduje się tylko tyle, że ta lektura pomaga, że jest jak balsam. Tak zaczyna się „Wieloryb". Później kolejno poznajemy: Liz (Hong Chau) – przyjaciółko-pielęgniarkę, która na swój chropowaty sposób troszczy się o uwięzionego w mieszkaniu i we własnym ciele Charliego, następnie do akcji wkracza porzucona w dzieciństwie nastoletnia córka Charliego, Ellie (Sadie Sink), do której targany wyrzutami sumienia ojciec będzie chciał się zbliżyć. Pod koniec do mieszkania zagląda też była żona Charliego, Mary (Samantha Morton), która ma w sercu niezagojoną ranę. Bo Charlie ją opuścił. Dla mężczyzny. Ale jego już nie ma. W odróżnieniu od Charliego, nie zajadał bólu istnienia, on go zagłodził do kości.

I jest jeszcze Dan (Sathya Sridharan), dostawca pizzy, który przez drzwi stara się poznać człowieka, który co wieczór zostawia mu w skrzynce na listy 20 dolarów za dowóz. Dan zobaczy Charliego tylko raz. A Charlie przez kilka dni ze swojej kanapy odkryje przed widzem karta po karcie historię człowieka połamanego, ale nie pozbawionego nadziei.

Ring w czterech ścianach

Brendan Fraser, wcielając się w postać ważącego 300 kilogramów Charliego, opowiedział jego historię, grając głównie mimiką. Każde zmrużenie oczu, grymas, nieśmiały uśmiech, desperacja, wysiłek – Faeser ma ten dar i już. Zanim Darren Arnofsky zauważył dramat Huntera, „Wieloryba" wystawiono już na deskach kilku amerykańskich teatrów. Żaden z aktorów wcielających się w Charliego w warunkach teatralnych nie wydobył z tej postaci głębi, jaką na dużym ekranie wykrzesał Fraser. Arnofsky'emu aż kilka lat zajęło znalezienie odpowiedniego kandydata do roli Charliego. Cierpliwość się opłaciła, na ekranie Faeser to Charlie. Być może wykluczonemu przez dłuższy czas z hollywoodzkiego środowiska aktorowi kojarzonemu głównie z „Mumią" wcielenie się w rolę życiowego outsidera naznaczonego osobistą tragedią przyszło bardziej naturalnie, niż gdyby rolę dostał jeden z topowych celebrytów fabryki snów.

Arnofsky już udowodnił, że lubi pracować na żywym tworzywie. Kto pamięta „Zapaśnika" z Mickeyem Rourke? Tam, na ringu, była walka o godność, tu w „Wielorybie" ring życia skurczył się do pokoju gdzieś w Idaho. Ale to wciąż ta sama walka. Do końca. Rourke miał swoje upadki wyryte na twarzy, Fraeser ma w oczach to coś, co kruszy obojętność, zawstydza ją. Charlie swoją prostoduszną historią miłości i ceną, jaką za nią zapłacił, zbija z tropu Thomasa, który przyszedł go nawrócić. Gorliwość Thomasa nic nie da. Jego rozmówca nie jest dyletantem, nie szachuje cytatami z Pisma Świętego, nie musi. Całym sobą pragnie odkupienia, ale to się odbywa w ciszy, w geście, w końcowym, wyśmiewanym przez krytyków „zbyt teatralnym" oderwaniu się Charliego od ziemi. Ten ostatni zryw nie byłby całkowity bez pojednania z córką, bez pewności, że „będzie wiodła porządne życie", bez pozostawienia jej z ojcowskim testamentem, w którym wyryto, że jest ważna, mądra i dobra. Nawet jeżeli fakty zdają się temu przeczyć. Przecież ojciec wie. I patrzy z miłością. Nawet jak dziecko rani.

Moje życie nie będzie ekscytujące

Charlie nie wychodzi z domu, jego kontakt ze światem latami ograniczał się do odwiedzin Liz i wystawiania na parapet talerzyka z owocami dla ptaków. Jest nauczycielem kreatywnego pisania na kursie online. Zawstydzony swoją otyłością, w pewnym sensie sam zamyka się na innych, nigdy nie włącza kamerki laptopa. Dla studentów jest czarnym kwadratem otoczonym ich własnymi profilami, na których znudzeni patrzą w smartfony, odliczają czas do końca zajęć. Charlie cierpliwie czyta i poprawia eseje swoich studentów, ale w miarę gęstniejącej atmosfery wokół niego samego, rzuca im wyzwanie proponując, by napisali coś od siebie, szczerze. Jeden z nich

eprasa.pl e12cc5019d

przesyła zdanie: „Myślę, że powinienem pogodzić się z tym, że moje życie nie będzie ekscytujące".

Ten fragment jest autentyczny. Kilkanaście lat wcześniej autor „Wieloryba", Samuel D. Hunter, sam znużony rutyną prac przysyłanych przez studentów, zaproponował, by napisali, co czują. Jeden wysłał mu wtedy wspomnianą linijkę tekstu. Tak narodził się pomysł „Wieloryba". Otyły, cierpiący na nadciśnienie i kłopoty z oddychaniem nauczyciel z Idaho, zajadający bolesne wspomnienia panierowanym kurczakiem, olbrzymimi kanapkami i pizzą, zapijający samotność słodkimi napojami, odwiedzany codziennie przez Liz, która stara się mu pomóc, ale nigdy wbrew jego woli. W teatrze sprawa była chyba prostsza. W filmie kamera nie oszczędza Charliego, widz zobaczy go w spoconej koszulce, duszącego się, chwytającego przedmioty za pomocą teleskopowej rączki, bo sam nie jest w stanie się schylić. Charlie porusza się po swym małym mieszkaniu pełnym książek, pudełek po fast foodach i zatłuszczonych obić lichych mebli, opierając się o specjalnie wzmocniony balkonik. Chwile, w których wstaje i udaje mu się to ciało wyprostować, mają przypomnieć o Moby Dicku (do którego obsesyjnie z pewnych powodów wraca), ale i niosą symbolikę znacznie starszą – Wieloryb – Jonasz – pogodzenie się ze swoim przeznaczeniem – z wyrokami. Ale to przyjdzie za chwilę. Na razie jest ring mieszkania. I stukot ptasich dziobów o talerzyk z owocami.

W takich mieszkaniach jak Charliego sprzęty bywają połamane, oparcia krzeseł w rozsypce, stoliki stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo i to nie jest wyraz „fatofobii" czy braku szacunku, tak po prostu jest. Opiekun wspierający chorego ma lekki sen, funkcjonuje wiecznie w „trybie czuwania", nieopatrzny krok niesie ryzyko upadku, złamań, hospitalizacji, kłopoty z oddychaniem mogą zakończyć się uduszeniem, nie ma „prostych" czynności. Liz nie mieszka z Charlem. Wpada sprawdzić, jak się czuje, mierzy ciśnienie, podłącza butlę z tlenem, napomina, czasem krzyknie, przynosi jedzenie, ogląda z nim telewizję, opierając głowę na jego ramieniu. W jednej z recenzji zarzucono Liz, że sama przynosi Charliemu fast foody, że go karmi – w domyśle – dobija. Nie. Liz go nie dobija. Ona wie, że jeżeli odmówi Charliemu jedzenia, on i tak je zdobędzie. Kiedy Liz zamknie za sobą drzwi, on zamówi, zapłaci i zje. Nawet nie będzie ukrywał pudełek po pizzy. To już nie jego ciało, lecz głowa potrzebuje tego rytuału. Jedzenie jest wehikułem, którym Charlie przeniesie się w rejony odmalowane kiedyś przez Hermana Melville'a. On. Ludzki Wieloryb. Tylko domknie kilka spraw. Jeszcze dzień, dwa. Póki co Charlie za wszystko przeprasza. To ciągłe „przepraszam" wierci dziurę w głowie Liz. Czasem chyba wolałaby, by zwyczajnie przeklął.

▶ Oczy łagodnego kolosa

Daniel Lambert (1770–1809) z Leicester przeszedł do historii jako „najcięższy człowiek swoich czasów" (miał ważyć 335 kilogramów). Jak przekazują źródła, lubił pływać, polować, łowić ryby i był uznanym hodowcą psów myśliwskich. W dwudziestym roku życia Lambert zaczął z niewiadomych przyczyn drastycznie przybierać na wadze. Z czasem jego tusza zaczęła budzić coraz większe emocje, ludzie wpatrywali się w niego, przecierając oczy. Lambert opędzał się od gapiów, ale pogarszająca się sytuacja finansowa (nie miał możliwości podjęcia pracy) skłoniła go, by za opłatą przyjmować u siebie gości chcących ujrzeć go z bliska i zamienić kilka słów.

W kwietniu 1806 roku Lambert wynajął mieszkanie w Londynie i otworzył jego podwoje dla ciekawskich. Odwiedzały go głównie kobiety zwabione obietnicą ujrzenia „ludzkiego kolosa", a już poznawszy, nie mogły się nachwalić jego dobrych manier i inteligencji. W salonie Lamberta gościła śmietanka wyższych sfer Londynu, raz pojawił się nawet król Jerzy III, a Józef Boruwłaski, Polak znany z tego, że w wieku dorosłym mierzył zaledwie 99 cm wzrostu, czym też wzbudzał niemałą sensację, wspomniał Lamberta w swoich pamiętnikach. Nieufny Polak nawet sprawdził, czy Lambert przypadkiem nie oszukuje, ale po wstępnych oględzinach miał stwierdzić, że Anglik w istocie jest olbrzymi. Czas spędzony w Londynie zaowocował pokaźnym majątkiem, przez następne trzy lata Lambert jeździł w objazdy po miastach i miasteczkach, zarabiając w ten sposób na swoje utrzymanie. Zmarł w wieku 39 lat.

Przyjaciele Lamberta ufundowali płytę nagrobną, dość szczegółowo opisującą życie i łagodny charakter zmarłego. On sam stał się przedmiotem wielu literackich utworów, postać „ludzkiego olbrzyma" pojawia się m.in. u Charlesa Dickensa i Thomasa Carlyle'a. Lambert zaistniał również w rysunku i malarstwie, jeden z najsłynniejszych portretów to ten pędzla zaprzyjaźnionego malarza Benjamina Marshalla z 1806 roku. 36-letni Daniel o łagodnym spojrzeniu siedzący w przepastnym fotelu. To malarskie skojarzenie jest jednym z pierwszych, jakie przyszło mi na myśl na widok postaci wykreowanej 216 lat później przez Brendana Frasera. Przebłysk, że obaj mają w oczach dobro. Nie, nie każdy ma to wypisane na twarzy. I tusza nie ma tu nic do rzeczy. Chyba że Charlie miał rację i „ludzie są wspaniali". Bez wyjątku. Nawet gdy po sobie depczą. Tylko trzeba się wpierw przekopać przez te wszystkie warstwy. ■

eprasa.pl e12cc5019d



Jakub Augustyn Maciejewski

KRAKÓW TO NIE MIASTO, KRAKÓW TO IDEA

Na temat Krakowa sformułowano już tyle zachwytów, że następne pochwały jego piękna i historyczności zdają się być już noszeniem drzew do lasu. A jednak Kraków jest otwartą księgą polskości nie tylko ze swoimi spektakularnymi skarbami, lecz także ze swoimi grzeszkami, atawizmami i muśnięciami groteski.



eprasa.pl e12cc5019d

Na podwawelski gród warto spojrzeć głębiej niż na cel turystycznych pielgrzymek i pakiet podstawowych symboli państwowych do odwiedzenia. Profesor Ryszard Legutko w słynnym „Eseju o duszy polskiej" z 2008 roku stwierdził, ze Rzeczpospolita miała cztery stolice, z których dziś pozostała nam jedna – Kraków właśnie. To totalitarny wiek XX zniszczył lub odebrał nam pozostałe:

„Historyczny kataklizm był głęboki i rozległy. Z czterech głównych miast polskich, tworzących poczucie ciągłości Rzeczypospolitej, praktycznie ostał się jedynie Kraków (choć on otrzymał niechciany prezent w postaci Nowej Huty). Lwów i Wilno nam odebrano. Warszawa uległa zniszczeniu wojennemu, a te resztki, jakie przetrwały Wrzesień i Powstanie, zostały zrównane z ziemią przez budowniczych komunizmu; na gruzach zbudowano zupełnie inne miasto, zamieszkałe w większości przez zupełnie nowych ludzi". Filozof zaznaczył, że Warszawy już po prostu nie ma, to inne miasto, coś, co moglibyśmy uzupełnić analogią, że Warszawa roku 2023 ma się tak do Warszawy sprzed 1944 roku jak dzisiejszy Stambuł do średniowiecznego Bizancjum – lokalizacja, trochę starych fundamentów i garść zabytków. Lwów i Wilno – kolejne kulturowe czy handlowo-naukowe niegdyś centra Polski – są dziś innymi miastami poza granicami RP. Czy pozostaje nam więc chociaż Kraków? Myśliciel i tutaj ma wiele zastrzeżeń: „krakowska opowieść trwa nadal, w formie coraz bardziej zmistyfikowanej. Kraków ciągle wierzy – jak kiedyś w czasach mojego dzieciństwa – w swoją wyjątkowość, szlachetną mieszczańskość, zakorzenienie w historii". Profesora to dziś irytuje z tego powodu, że uważa społeczność drugiego co do wielkości miasta w Polsce za „niewyróżniającą się od innych mieszkańców polskich metropolii, a jedynie wierzącą w swoją wyjątkowość". Konserwatywny filozof zachowuje tutaj naturalny dla swojego nurtu ideowego sceptycyzm – także wobec kondycji historycznej polskiej stolicy, słusznie irytujac się pretensjonalnością czy poczuciem wyższości Krakowa, gdy przecież swoje znaczenie miasto Kraka dawno już straciło. Słabą stroną tezy profesora jest jednak to, że roszczeniowość i samozadowolenie miasta jest... dowodem na jego ciągłość właśnie. Kraków bowiem od 300 lat jest historycznym skarbcem, który stał się dla współczesnych sobie czasów zupełną prowincją z przekonaniem o swojej wielkości. Legutko ubolewający nad przerwaniem ciągłości polskich miejsc, wspólnot i instytucji tutaj się myli – Kraków ocalał choćby i w tym, że nadal jest mocno zmanierowany. Kraków już od trzech wieków jest zapadłą mieściną – ależ jakaż to piękna mieścina z duszą, historią i... przyszłością. Ciągłość Krakowa to lekcja polskości właśnie z narodowymi wadami i cudownym trwaniem, i rozkwitem wbrew racjonalnym przesłankom. Filozof twierdzi, że wybitność Krakowa jest iluzją, ale spróbujmy rozszerzyć tę tezę – wybitność Krakowa jest iluzją od 300 lat, a to paradoksalnie czyni Kraków... wyjątkowym.

300 lat marności

Bo patrząc na dawną stolicę nie można powiedzieć: jakież kiedyś to było miasto, a jakże marne jest dzisiaj. Kraków faktycznie przestał być stolicą polskich królów pod koniec XVI wieku, gdy Zygmunt III Waza zaczął prowadzić politykę na północy ogromnej Rzeczypospolitej (wojna ze Szwecją i Moskwą), a nadwiślańska mieścina na Mazowszu nadawała się na wzniesienie nowych monarszych gmachów. Od 1611 roku Kraków nie jest więc faktycznie stolicą, choć ostatnim tchnieniem baroku, a zwłaszcza zwycięstwem kontrreformacji kwitł jeszcze przebudową kościołów, kamienic i części Wawelu. Jeszcze może Jan III Sobieski potrzebował z Wawelu zarządzać sprawami wojennymi, relacjami ze Świętą Ligą, ale cóż to była za stolica, zdobyta po niemrawej walce przez Szwedów w czasie potopu, leniwa, z kryzysem Uniwersytetu Jagiellońskiego i gasnącym znaczeniem gospodarczym. Czasy Saskie Kraków jednak dobiły, skoro naszą legendarną stolicę odwiedzały bez zaproszenia wojska szwedzkie, rosyjskie (kilkukrotnie) czy nawet austriackie, a obaj królowie z dynastii Wettynów bywali w Krakowie tylko na wyjątkowe okazje jak na przykład koronacja. Podobnie wtedy Kraków wierzył w swoją wyjątkowość, mając nad sobą jedynie słabe odbicie złotego wieku Jagiellonów. Pozycję Krakowa dobił ostatni z monarchów, bo Stanisław August Poniatowski, chciał rozpocząć nową tradycję – koronacji w Warszawie, więc już nawet czysto ceremonialne odwiedziny w podwawelskim grodzie były niepotrzebne. Kraków stał się nie miastem, a miasteczkiem, prowincją trawioną licznymi niewielkimi pożarami zjadającymi lichą i drewnianą zabudowę. Podczas zaborów Kraków oficjalnie i *de facto* nie tylko nie był stolicą państwa, ale nawet ubogiej prowincji – Galicji. Lwów kwitł, Kraków w latach 1815–1846 występował jako „wolne miasto", tzw. Rzeczpospolita Krakowska, czyli mieścinka z okolicznymi wioskami o łącznej powierzchni ledwie 1164 km kw. Graniczyła z trzema potężnymi cesarstwami Europy.

Zatem jeśli dwór cesarski w Wiedniu nazywał Galicję ziemią „Irokezów", Bolesław Prus narzekał na tutejszą biedę, o prowincji mówiło się „Golicja" (od tamtejszej biedy), a po wcieleniu „wolnego miasta" do Austrii w 1846 roku nie została ona nawet stolicą regionu, to czymże żyło miasteczko, w którym co rusz zawalała się kamienica, rozbierano kościół albo nawet wielki gmach ratusza czy mury miejskie, czyniąc Kraków jak-

fot. arch.

eprasa.pl e12cc5019d

by coraz mniejszym, a nie coraz potężniejszym w tym rozwoju? Właśnie wtedy, gdy Kraków był nieaktualną stolicą rozebranego, nieistniejącego kraju (jakże to groteskowe), miasto na głębokiej prowincji biednej części Cesarstwa Austriackiego stało się... ideą. Mickiewicz, który przecież ni razu do tego miasta nie zajrzał, choć na terenie „wolnego miasta" nic by mu nie groziło, pisał o nim: „Spójrz na miasto – widzisz – niby skrzydła orle rozciąga nad Wisłą swe wielkie przedmieścia. Kolebka starej Rzeczpospolitej! Grobowiec naszych bohaterów! Rzym słowiański". Było to w czasach, gdy miasteczko (gdzież mu było wówczas do Wiednia, Pragi, Budapesztu) nie miało funduszy na postawienie choć jednej manufaktury, na potęgę wyburzano i rozbierano starą architekturę, w tym potężne niegdyś mury Starego Miasta, drogi były w takim stanie, że do oddalonych o 8 kilometrów Krzesławic jechało się 2–3 godziny z nadzieją, że nie połamie się kół, a Wawel i inne gmachy dawnej świetności niszczały z powodu biedy. W tej właśnie panoramie niedostatków i braków Kraków zawsze odnajdywał nowe siły witalne, by z ekonomicznej i infrastrukturalnej zapaści znaleźć jakieś źródło kulturalnego odrodzenia. Można powiedzieć, że w najciemniejszych momentach historii rodziły się tam najświeższe owoce narodowego dorobku. Kraków przy tej namacalnej marności jest kolebką trwałych dzieł polskiego dziedzictwa.

Z najczarniejszych godzin

I oto na przykład w II dekadzie XIX wieku, gdy zapaść gospodarcza miasta była chyba największa, wśród uboższych rzemieślników przy zapuszczonych błotnistych ulicach rodzi się niepozorna tradycja. Otóż na Boże Narodzenie różnego rodzaju majstrowie i ich czeladnicy zapisują w notatkach i szkicują elementy architektury różnych budynków – a to fragment hełmu (dachu) jednej z wież kościoła Mariackiego, a to portal (wejście) do kościoła dominikanów, wąskie okno z kościoła św. Andrzeja i frontony (nadbudowa nad oknem) z Pałacu Przebendowskich – grzebiąc w różnych motywach budowlanych chałupnicy nie zapominali o postaciach ważnych dla historii miasta. Niedawno zmarły Kościuszko, dawno zmarły Sobieski, sylwetka Tatara nazwanego później lajkonikiem – rękodzielnicy kompilowali więc dziesiątki motywów budowlanych, dodawali kilka postaci i tworzyli pokaźne i barwne makiety wymyślonych pałaców, posklejanych z kawałków podwawelskiego grodu – tak powstały „szopki krakowskie". Tradycja utrzymuje się już ponad 200 lat, co roku kolejni szopkarze konstruują spektakularne szopki, które upamiętniają narodzenie Jezusa, ale w polskiej wersji nie ma Go w skromnej stajence w Betlejem, ale jest w monumentalnych gmachach Krakowa, w towarzystwie nie tyle pastuszków czy trzech królów, a bohaterów polskiej i krakowskiej historii. Tradycja ta jest na tyle żywa, że w 2018 roku została wpisana na Listę światowego dziedzictwa UNESCO, a w jej corocznych odsłonach, podczas specjalnych konkursów, pojawiają się współcześniejsze postacie. Tak oto współczesna Polska, w dobie postmodernizmu, popkultury i kiczu, żyje i rozwija stary zwyczaj, narodzony w czasach, gdy królewskie centrum było zabitą dechami dziurą.

Od Łokietka do Kaczyńskiego – i dalej

Jest w tym Krakowie jakiś paradoks, że pod powierzchnią małych spraw i licznych zaniedbań pulsuje żywymi tworami kultury, nowymi miejscami, jakby broniąc się przed posthistorią, przekonaniem, że już tylko konsumpcja, demokracja i liberalizm są nam pisane. Wielkim wydarzeniem, które kontynuowało prastarą ciągłość Krakowa, i całej Polski (nawet sprzed czasów Rzeczypospolitej), był pochówek śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Wawelu. Wściekłe protesty zwolenników dzisiejszej opozycji były nie tylko atakiem na poległą w Smoleńsku głowę państwa, ile na historyczność, na doniosłość dziejów narodowych, których tragiczne wydarzenie może być przez Polaków zwieńczone wielkim symbolem. Prezydent Lech Kaczyński miał pogrzeb iście królewski, absolutnie w niczym nieustępujący królewskim funeraliom.

Chowanie monarchów w stolicy – tu zapoczątkowane przez Władysława Łokietka – było oczywistym i typowym zwyczajem ówczesnych królestw, ale już w XIX wieku, gdy nie było ani królestwa, ani monarchów, idea składania ciał bohaterów w grobach na Wawelu pojawiła się – znowu – w trudnym czasie, który nie wróżył miastu czy narodowi szczęśliwej przeszłości. Mickiewicz, Słowacki czy Kościuszko wołali więc z podziemi Zamku Królewskiego: królów nie ma, ale my jesteśmy. W 1935 roku, zresztą pod brutalną presją wojska na krakowskich hierarchach, pochowano tam Piłsudskiego, ni to króla, ni to bohatera narodowego bez własnego państwa. Komuna PRL-u miała zdławić tego typu tradycje, ale już cztery lata po jej upadku Polacy sprowadzili ciało gen. Władysława Sikorskiego, by spoczął wśród innych symboli polskości. I gdy się wydawało, że więcej już takich pochówków nie będzie można zrobić – bo i nawet miejsca miało już nie być w podziemiach katedry, tragedia smoleńska z 10 kwietnia 2010 roku wstrząsa Rzeczpospolitą tak bardzo, że – niewybitni przecież – włodarze Krakowa, a także metropolita – decyzją o pochówku prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Wawelu dopisują kolejną kartę do idei polskości drzemiącej w dalece niedoskonałym Krakowie.

eprasa.pl e12cc5019d

Kopiec, który czeka na usypanie

Trudno jednak znaleźć tradycję dłuższą niż kopce krakowskie. Wznoszone jako grobowiec – później jako upamiętnienie – mają swoje korzenie w kulturze łużyckiej sprzed... 2500 lat. Kopiec Kraka był więc wznoszony w czasach dalece przedsłowiańskich, a tysiąc lat później – czasach już słowiańskich, ale przedchrześcijańskich – usypano Kopiec Wandy. Nieśmiałe i niedokończone badania archeologiczne wskazują, że w środku istnieją elementy grobowca, jednak legendarna Wanda („która nie chciała Niemca") pojawia się w przekazie pisemnym dopiero w piastowskim średniowieczu, jako zapis prawdopodobnie tradycji ustnej. Dwa ostatnie kopce są już lepiej znane i nie mają cech grobowca – Kopiec Kościuszki był usypany na pamiątkę śmierci przywódcy insurekcji z 1794 roku, zaś Kopiec Piłsudskiego był wznoszony jeszcze za życia Marszałka. Idea kopców polega na wspólnej pracy nad ich wznoszeniem – angażują się ludzie różnych grup społecznych i różnego statusu – bogaci i biedni sypią glebę według specjalnie przygotowanego planu. Ta praca wymagająca osobistego wysiłku jest więc zwieńczona uroczystością otwarcia kopca, o który później trzeba dbać niekiedy ze sporymi nakładami.

I oto w XXI wieku pojawił się pomysł na kolejny kopiec o doniosłym znaczeniu. W 2016 roku prof. Andrzej Nowak zaproponował usypanie Kopca Jana Pawła II nie tyle dla samego obiektu, ile właśnie dla procesu wspólnej pracy, a więc spotkania się ludzi różnych opcji politycznych, którzy jednak wówczas być może jeszcze potrafiliby zająć się takim projektem ponad podziałami. Pomysł – póki co – upadł, i to raczej ze względu na niewielkie zainteresowanie prawicy (niektóre środowiska liberalne stosunkowo życzliwe podeszły do idei), ale postać papieża Polaka może jeszcze doczekać się takiego upamiętnienia. W kontekście Krakowa jako idei polskości zlokalizowanej w tym miejscu warto z szeroko otwartymi oczami odnotować fakt, że rozważając sprawę nowego kopca, kontynuujemy tradycję nieznanych nam przodków sprzed 2500 lat. O ile są w europejskich miastach pozostałości po kulturach starszych niż nasz Kopiec Kraka (brytyjski Stonehenge ma ponad 4 tys. lat), to jednak nikt już dziś nie wznosi kamiennych kręgów jako sanktuariów sił natury, a w polskim Krakowie o kopcach myśli się, wznosi je i konserwuje w całkiem spójnej i nadzwyczaj długiej tradycji.

Ciągłość

W pokazywaniu Krakowa jako idei – mierności jego kondycji fizycznej z jednoczesną mocą duchową – nie chodzi o spektakularne i kolorowe obiekty, takie jak szopki, grobowce czy kopce. Rzecz w tym, że Wawel i okolice zawierają szczególne *genius loci* (ducha miejsca), które pozwala pewnym nawykom i obyczajom – także tym mniej chlubnym – przetrwać i utrzymać się dłużej. Mamy więc do dziś w Krakowie sporo odwołań do cesarza austriackiego Franciszka Józefa (nawet restauracje z jego wizerunkiem), jakby miasto pamiętało wizytę cesarza w 1880 roku – uroczystą, otoczoną ceremoniami, przemówieniami, a wśród nich lojalistyczną deklarację konserwatystów: „Przy Tobie najjaśniejszy panie stoimy i stać chcemy".

Na jednej z kulturalnych imprez Krakowa w konwencji cesarsko-królewskiej przedstawiany był... posteseldowski prezydent Jacek Majchrowski. Feudalne relacje, jakby struktura stanowa, też zdaje się mieć w Krakowie żywot dłuższy niż gdzie indziej. Uniwersytet Jagielloński jako perła późnośredniowiecznej Polski miał wiele tradycji tamtej społeczności, ale w początkach XX wieku studenci już mieli prawo narzekać na hrabiego Stanisława Tarnowskiego, wykładowcę historii literatury, który gorzej odnosił się do uczniów nieszlacheckiego pochodzenia, a prof. Karol Estreicher o czasach PRL-u pisze z wieloma anegdotami na temat niemal feudalnych stosunków na uczelni. Schodząc z ironicznego traktowania niektórych relacji w Krakowie, pozostawiając za sobą patos kościołów i grobów albo długowieczność kopców, nawet kawiarnie krakowskie stały się kolumnami w portyku narodowej kultury. W „Jamie Michalika" sprzed 120 lat spotykała się „Młoda Polska", w przedwojennej „Hawełce" Magdalena Samozwaniec czy Artur Swiniarski, a w PRL, 100 metrów dalej, w „Piwnicy pod Baranami" pierwszy swobodny kabaret poetycko-muzyczny w całym bloku komunistycznym.

Stołeczna niemetropolia

Cracoviana są osobnym działem na półkach tamtejszych księgarni – napisano o naszej historycznej stolicy tysiące tytułów, więc nie ma co liczyć, że w jednym tekście tę bujność Krakowa da się choćby zarysować. A jednak pewne ciągłości – zasobów i niedostatków – można wykazać lub przynajmniej rozpoznać zadziwiającą witalność nie tyle miasta, ile owego *genius loci*, który żyje tu niejako swoim życiem, trochę niezależnym od nietrafionych władz i kaprysów historii. Niby dawna stolica, a prowincja, z monarchicznym dziedzictwem Wawelu i wielorobotniczym spadkiem z Nowej Huty, centrum polskich zabytków, a jednak z wieloma już dawno świadomie zniszczonymi i rozebranymi gmachami, niby skansen historii, a wiecznie otwarty na nowe, spektakularne rozdziały nieoczekiwanych zwrotów w historii Polski. ■

eprasa.pl e12cc5019d





Krzysztof Karnkowski

Nadchodzi niezły serial



Korzystając z serwisu internetowego Telewizji Polskiej, obejrzałem „Krucjatę" przed jej telewizyjną premierą i muszę stwierdzić, że mamy do czynienia z porządną współczesną produkcją, która równocześnie nie ucieka od polskiej specyfiki i czujnie nawiązuje do trendów w opowiadaniu kryminalnych historii językiem telewizji i kina lat 20. XXI wieku.

fot. mat. pras.

3 marca TVP rozpoczyna emisję polskiego serialu kryminalnego „Krucjata". Wcześniej, od 21 listopada ubiegłego roku, kolejne z trzynastu odcinków, w cotygodniowych odstępach, publikowane były na należącym do polskiego nadawcy publicznego serwisie TVP VOD. To drugie, po opartych na prozie Marka Krajewskiego „Eryniach", podejście do takiej formy dystrybucji.

Na początku tego artykułu winien jestem czytelnikom jedno wyjaśnienie. Pisząc recenzję „Krucjaty", nie znam jeszcze jej ostatniego odcinka. Ma to swoje plusy, chroni mnie bowiem przed umieszczeniem w tekście jakichś grubszych spoilerów, sam nie znam jeszcze rozwiązania kilku poważnych zagadek, ukrytych w scenariuszu Wojciecha Tomczyka. Z drugiej strony ocena 12/13 nie jest i nie może być oceną całości, zwłaszcza że nie wiem, czy ostatni odcinek udźwignie całkiem spore oczekiwania, rozbudzone przez naprawdę udane rozpoczęcie i rozwinięcie akcji. Co wiemy natomiast od początku?

Kryminalne zagadki

Internetową premierę „Krucjaty" poprzedziła dość pomysłowa, śmiała i osadzona w samym serialu kampania reklamowa. Na białych ekranach reklamowych umieszczono, początkowo bez żadnej dodatkowej informacji, stylizowany na proste graffiti czarny napis „Nadejdą wielkie czyny!". Kampania pobudzała ciekawość, była też zauważalna, prowokowała choćby dyskusje w internecie, o czym przekonałem się naocznie, obserwując aktywność moich znajomych. Co więcej, hasło pojawiło się nie tylko na przystankach, lecz także w formie murali, co sprowokowało pojawienie się artykułów i dyskusji w mediach lokalnych, na przykład w Trójmieście. Skoro więc tak się stało, samą kampanię uznać trzeba za sukces. Dopiero w kolejnej jej odsłonie odbiorcy dowiedzieli się, że chodzi o nowy serial TVP, dostępny w streamingu. Wtedy też ujawniono pierwsze informacje o akcji. Głównym bohaterem miał być komisarz Jan Góra, znany też jako Mandżaro (Julian Świeżewski), który wraz z kolegami z wydziału zabójstw i terroru kryminalnego Komendy Stołecznej Policji rozwiązuje kolejne zagadki. Jak można było się domyślić – łączące się ze sobą.

Mandżaro wychowywał się w rodzinie zastępczej, dziś natomiast jest emocjonalnym, choć raczej introwertycznym i oszczędnym w grze aktorskiej policjantem – w jakimś stopniu mogącym kojarzyć się z głównym bohaterem innego ważnego polskiego kryminału z ostatnich lat, granym przez Kamila Nożyńskiego dilerem gwiazd ze „Ślepnąc od świateł". Jego partnerzy z policji – „Luizjana" (Tomasz Schuchardt, więcej mógł nagrać się ostatnio w „Wielkiej wodzie" Netflik-

2cc5019d

sa) i Ula (Masza Wągrocka) – potraktowani są w scenariuszu trochę po macoszemu, ważni są tylko o tyle, o ile istotne jest to dla śledztwa. Owszem, „Luizjanę" widzimy czasem podczas zabaw z synkiem, zawsze przerywanych przez Mandżaro, poza tym jednak o życiu obojga za wiele nie wiemy, zresztą Ula być może nawet żadnego życia nie ma. Więcej dowiemy się o sympatycznej Marysi, policjantce z Ukrainy (Vanessa Aleksander, znana z „Wojennych dziewczyn"), która szybko okaże się kluczową figurą wielkiej intrygi, a przynajmniej jednego z jej wielu pięter.

W kolejnych morderstwach giną figury, mniej lub bardziej znajdujące się na świeczniku. Dyrektor banku, posłanka, ambitna prezenterka czy wredny juror z talent show. W tle giną też starzy policjanci z doświadczeniem służby w czasach PRL, a miasto, które przed chwilą zalały ścieki z oczyszczalni, zaczyna żyć w strachu po serii wybuchów niewielkich, lecz uprzykrzających życie zwykłym ludziom bomb gwoździowych domowej roboty.

Kto trzyma stery?

Kilkanaście lat temu we Francji sporo kontrowersji wzbudził teledysk ambitnej, tanecznej formacji Justice, ilustrujący jej utwór „Stress". W klipie kilku młodych ludzi, ewidentnie należących do społeczności imigrantów, niszczyło wszystko na swej drodze, w swej chaotycznej i pełnej przemocy eskapadzie nie oszczędzając ani napotkanych osób, ani mienia. Wszyscy członkowie grupy ubrani byli w identyczne czarne kurtki z konturem krzyża na plecach. Nie wiem, czy osoba odpowiedzialna za identyfikację graficzną siejących w „Krucjacie" postrach sfanatyzowanych chłopaków zna ten teledysk, jednak używany przez nich symbol – dwie siódemki z wpisanym w nie krzyżem na plecach czarnych kurtek – budzi mocne skojarzenie z tamtym obrazem. Młodzi chodzą po mieście, mówią, piszą i krzyczą o nadchodzących wielkich czynach, wyglądając przy tym trochę na dresiarzy, a trochę na skinheadów. Na gadaniu się nie kończy. Mordują ludzi, a czasem też przypisują sobie pozornie niemające z nimi nic wspólnego inne zbrodnie, co naprowadza komisarza Mandżaro na trop.

Jak jednak wiemy z życia, historii i setek innych filmów, takimi ludźmi często ktoś manipuluje. Tak jest i tutaj. W tle wydarzeń – jako klient banku, pierwszy mąż zabitej posłanki, potem w kolejnych sytuacjach pojawia się przywiązany do własnych zasad nauczyciel historii, Piotr Stawiski (Michał Czarnecki), którego postać wydaje mi się inspirowana sylwetką Brunona Kwietnia, a raczej osoby, na którą próbowały wykreować nieżyjącego już krakowskiego naukowca polskie służby specjalne. Służby zresztą też będą musiały się w „Krucjacie" pojawić, w ślad za politykami z pierwszych stron gazet, tu jednak wkraczamy na śliski grunt, gdy można opowiedzieć kilka słów za dużo. Niemniej z pytaniem, czy władca młodych umysłów sam nie jest pionkiem w czyjejś grze, również przyjdzie się w serialu zmierzyć, tak samo jak z wątkiem roli, jaką w tym wszystkim władcy marionetek przewidzieli dla porządnego i również wiernego zasadom komisarza Góry. Kończąc ten przegląd postaci i zawiązań akcji, wspomnę jeszcze, że w roli wyczekującego już emerytury policyjnego patomorfologa oglądamy Piotra Cyrwusa, od lat próbującego zerwać z wizerunkiem Rysia z „Klanu".

Pomysł na Warszawę

Jak już wspomniałem, za scenariusz odpowiada weteran telewizyjnych produkcji wielu gatunków, Wojciech Tomczyk. Tomczyk to twórca doświadczony, jednak warto odnotować fakt, że mając już trochę lat na karku, stworzył dzieło w żaden sposób niezmanierowane i czujnie nawiązujące do reguł i stylu współczesnych kryminałów, powiedziałbym wręcz, że dość młode duchem. Reżyserią zajął się natomiast Łukasz Ostalski, mający już spore doświadczenie z serialem telewizyjnym (przede wszystkim „O mnie się nie martw", kilka odcinków „Wojennych dziewczyn"), lecz niekoniecznie z kryminałem. A jednak również jemu należą się takie same słowa uznania. „Krucjata" od strony reżyserii broni się znakomicie, trudno znaleźć tu słabsze punkty, wszystko siedzi na swoim miejscu. Również Warszawa, grająca tu przecież własną rolę. Ten udział miejskich scenerii również przywodzi na myśl „Ślepnąc od świateł", stolica jest tu ukazana podobnie, choć jednak mniej przytłaczająco i przygnębiająco. Lokacje, głównie na warszawskiej Pradze, dobrane są dość pomysłowo – cały czas wiemy, w jakim jesteśmy mieście, a jednak rzadko patrzymy na zgrane już i opatrzone scenerie.

Koniec 2022 i początek 2023 roku to niezły czas dla polskiego serialu kryminalnego. Nie tak dawno Netflix pokazał krótkie, ale udane „Pewnego razu na krajowej jedynce", gdzie z oklepanego zawiązania akcji w postaci znalezienia przez przypadkową grupę ludzi walizki z pieniędzmi udało się twórcom wycisnąć całkiem oryginalną polską historię. Teraz widzowie mogą obejrzeć „Krucjatę", również bez dostępu do dodatkowo płatnych usług VOD. Mam nadzieję, że będzie to wydarzenie, a tytuł zapisze się w historii polskiego kryminału. Pierwsze recenzje i oceny widzów z formuły streamingowej rokują dobrze, a wysokie oceny, wystawione przez użytkowników FilmWebu są w moim odczuciu całkowicie zasłużone. Zapowiedziane wielkie czyny okazały się motywowane w niekoniecznie wzniosły sposób, natomiast opowiadający o nich serial spełnił oczekiwania wywołane przez ambitną promocję. ■

eprasa.pl e12cc5019d

Marek Kalinowski

Dzień, który zmienił wszystko

Muzyczny zapis Walentyna Sylwestrowa wydarzeń, które rozegrały się na kijowskim Majdanie w 2014 roku, teraz wydaje się jeszcze bardziej aktualny. Majdanem okazała się cała Ukraina. Wydany przez ECM koncert Kijowskiego Chóru Kameralnego to z pewnością jeden z najważniejszych albumów ostatnich miesięcy.

Upływa właśnie rok od rosyjskiej napaści na Ukrainę. Trudno uwolnić myśli od tego, co dzieje się za wschodnią granicą, od podziwu wobec niezwykłego bohaterstwa naszych sąsiadów, a także od niezwykłych kompozycji Walentyna Sylwestrowa, które jesienią ubiegłego roku ujrzały światło dzienne i stały się muzycznym zapisem niepodległościowego zrywu narodu ukraińskiego.

85-letni Walentyn Sylwestrow jest dzisiaj najbardziej znanym żyjącym ukraińskim kompozytorem. Choć sam polityki przez wiele lat starał się unikać, ta wielokrotnie wdzierała się w jego życie. Nie mogło być jednak inaczej. Od zawsze interesował go europejski język muzyczny, a źródłem inspiracji były transmitowane koncerty Warszawskiej Jesieni. Stąd narodziła się fascynacja muzyką Antona Weberna i podsycane przez nauczyciela Sylwestrowa, Borysa Latoszyńskiego, zamiłowanie do awangardy. Upodobań Sylwestrowa rzecz jasna nie podzielała sowiecka cenzura, kompozytor został usunięty ze Związku Kompozytorów Radzieckich, a jego utwory nie mogły być prezentowane publiczności. Do 1989 roku Sylwestrow nie mógł również opuszczać kraju.



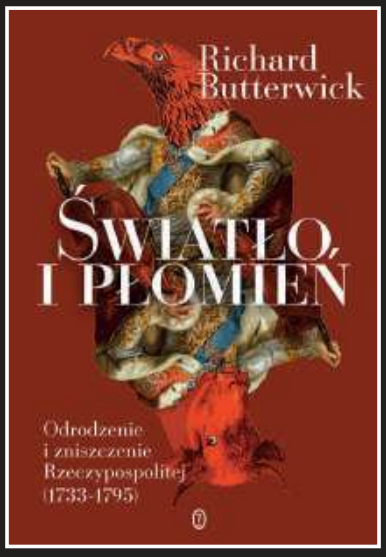
Valentin Silvestrov, Kiev Chamber Choir, Mykola Hobdych, MAIDAN, ECM

Ograniczenia nałożone przez aparat polityczny Związku Sowieckiego nie zatrzymały rosnącej popularności kompozytora na Zachodzie ani też nie przerwały prac nad kolejnymi utworami. Od 2001 roku jego albumy wydawane były w monachijskiej wytwórni ECM. Wstrząs polityczny, który nastąpił w Kijowie w 2014 roku, w sposób radykalny znalazł odbicie w jego późnej twórczości. Sylwestrow wyszedł na Majdan razem z tysiącami protestujących rodaków. Z muzyczną wrażliwością chłonął wszystkie dźwięki, które do niego docierały, a polityczne przebudzenie stało się także jego udziałem. Odtąd wracał do domu i z kronikarską pasją przelewał zasłyszane dźwięki na klawiaturę pianina. Tak powstał „Majdan 2014" – kompozycja, która już na zawsze będzie związana z walką Ukrainy o niepodległość.

Szkic przygotowywany w zaciszu domowym swoją pełną skalę uzyskał jako dzieło chóralne. Wydany przez ECM zapis koncertu miał miejsce w 2016 roku w kijowskiej katedrze św. Michała. Kijowski Chór Kameralny pod dyrekcją Mykoli Hobdycha, obok tytułowych czterech cykli Majdanu, wykonał również trzy mniejsze utwory kompozytora. Każdą z części otwiera hymn Ukrainy, ale za każdym razem w innej interpretacji. Liryczność, charakterystyczna śpiewność języka ukraińskiego nadają twórczości Sylwestrowa dodatkowej melodyjności. Podobnie jak wplecione w konstrukcję utworów wiersze jego ulubionego poety Tarasa Szewczenki. Jeśli cichy ton medytacji w latach 70. mógł być ucieczką Sylwestrowa od polityki, teraz przeciwnie – stał się przejmującym głosem niezgody i stanowczą reakcją na polityczną opresję. Nastrojowość tej przepięknej muzyki, z jednej strony jej kameralność, a jednocześnie niebywały rozmach – rozbudzają wyobraźnię i poruszają do łez.

W wyniku agresji rosyjskiej, wydane w ubiegłym roku kompozycje Sylwestrowa stały się jeszcze bardziej aktualne. Majdanem stała się bowiem cała Ukraina. Kompozytor, który znalazł schronienie w Europie Zachodniej, 11 października 2022 roku, został uhonorowany prestiżową nagrodą Opus Klassik za dorobek życia, a 24 listopada otrzymał z rąk polskiego wiceministra kultury Jarosława Sellina Złoty Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. ■

eprasa.pl e12cc5019d



Richard Butterwick „Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733–1795)", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

Krzysztof Wołodźko



ROSJA, ROZBIORY I WOLNOŚĆ. LEKCJA DLA RZECZYPOSPOLITEJ

Nie znać historii to zawsze być dzieckiem – gorzką mądrość łacińskiego powiedzenia liberalne elity potwierdzały swoim politycznym infantylizmem przez niemal całe dzieje III RP. Szczególnie jeśli chodziło o kwestię rosyjską i geopolityczne wyzwania, jakie stanowi nasze położenie między Niemcami a Rosją. „Światło i płomień" Richarda Butterwicka, znanego brytyjskiego historyka, badacza dziejów Polski i Litwy w XVIII wieku, to znakomita odtrutka na dziejową amnezję. Autor wprost wskazuje, że rosyjskie ambicje imperialne mogą w pełni rozkwitać tylko kosztem klęski Rzeczypospolitej.

eprasa.pl e12cc5019d

Upadek I Rzeczypospolitej jest jednym z dziejowych toposów, który na dobre wyznacza polskie myślenie o rodzimych dziejach. Rzecz nie tyle w pewnym minimum wiedzy podręcznikowej, która – przynajmniej do niedawna – była oczywista dla bodaj każdego, kto chodził do szkół. Nie mniej istotne są kulturowe uniwersum i wyobrażenia społeczne, które powstały w reakcji na rozbiorową tragedię państwa i narodu polskiego. Jakkolwiek dwuznacznie to zabrzmi: bez rozbiorów nie ma ani Adama Mickiewicza, ani Jarosława Marka Rymkiewicza. Zmartwychwstanie państwa polskiego w 1918 roku, gehenna, jaką przyniósł rosyjsko-niemiecki czwarty rozbiór, powojenne dekady zależności od Moskwy i wreszcie nadto metapolitycznie powikłane czasy współczesne – trzy rozbiory rzucają na to wszystko swój wielki cień, do którego siłą rzeczy przywykliśmy. A przynajmniej przywykli do niego ci, którzy już po 1989 roku pogodzili się z rolą Polski jako kraju podrzędnego wobec przynajmniej dwóch pobliskich stolic.

Bezsilna Polska – dekady przed rozbiorami

„Światło i płomień. Odrodzenie i zniszczenie Rzeczypospolitej (1733–1795)" Richarda Butterwicka pozwala na nowo spojrzeć na polskie dzieje w ostatnich dekadach I Rzeczypospolitej. Na kartach imponującej erudycją książki autor z jednej strony przygląda się polskiej magnaterii, szlachcie, mieszczaństwu i stanowi chłopskiemu; prześwietla myślicieli i bada księgi, w których opisywano i tłumaczono kondycję państwa; analizuje reformy edukacji podjęte przez jezuitów, pijarów i teatynów oraz rozwój tzw. katolickiego oświecenia, pokazuje konflikty religijne, społeczne, gospodarcze; skrupulatnie opisuje poszczególne połacie polsko-litewskiego państwa, by pokazać podobieństwa i różnice między ziemiami rozległego i coraz bardziej pogrążonego w niemocy królestwa. Z drugiej – precyzyjnie przedstawia ówczesne międzynarodowe zatargi, które ostatecznie umożliwiły zaborcom zniszczenie Rzeczypospolitej. O jej losie przesądziła nie tylko wola zaborców – huk dział i zgrzyt piór dyplomacji daleko poza granicami naszego państwa miał znaczny wpływ na tak nieszczęśliwy dla nas bieg dziejów.

I wreszcie trzecia kwestia, bezpośrednio związana z coraz fatalniejszymi porażkami Rzeczypospolitej w konflikcie w rosnącą w siłę Moskwą, która najpierw podporządkowała sobie ruskie miasta i ziemie, w kolonialnym marszu na Syberię zdobyła bogate ziemie Azji, a w pierwszych dekadach XVIII wieku ogłosiła się imperium. Na marginesie: Królestwo Prus z miejsca uznało carski tytuł Piotra I, Rzeczpospolita – zdecydowanie później, bo w 1764 roku, już po wstąpieniu Stanisława Augusta Poniatowskiego na polski tron. Był to wówczas jeden z wielu sygnałów upadku Rzeczypospolitej, dla dyplomacji nie mniej znaczący niż bezkarność imperatorskich wojsk, stacjonujących wówczas w polsko-litewskich granicach. Nawet w czasach wojny siedmioletniej (1756–1763), gdy Rzeczpospolita zachowywała neutralność, „była traktowana jak magazyn lub karczma dla rzekomo przyjaznych wojsk rosyjskich, a jednocześnie regularnie plądrowana przez Prusaków". Wszystko to działo się zgodnie z programem nakreślonym przez Piotra I: „Rzeczpospolita winna być utrzymywana w słabości i bierności, aby służyć Rosji jako wrota i jednocześnie bufor w europejskiej polityce". Nieco później caryca Katarzyna II zrozumiała, że w polsko-litewskich sprawach może posunąć się o wiele dalej.

Rosyjskie imperium żąda słabej Polski

Przytoczę dłuższy cytat z Butterwicka, także ze względu na wymowną puentę. Historyk zwraca uwagę, że u źródeł upadku Rzeczypospolitej „leżał również rozpoczęty przez Piotra Wielkiego na początku XIII stulecia proces modernizacji rosyjskiego imperium, które zmierzało do rozszerzenia własnej rosnącej potęgi na obszary położone na zachód od moskiewskiego matecznika swych ogromnych euroazjatyckich ziem. Kontrola nad polsko-litewskim państwem, od dawna rywalizującym z Moskwą o hegemonię na terenach położonych między Bałtykiem a Morzem Czarnym (szczególnie w mającym kluczowe znaczenie dorzeczu Dźwiny i Dniepru), pozwoliłaby niedawno proklamowanej Rossijskoj Imperii na zdobycie upragnionego statusu jednego z największych mocarstw Europy".

Dalej Butterwick pisze: „Taka perspektywa musiałaby prowokować działania zmierzające do powstrzymania tej ekspansji. Rzeczpospolita, z przywróconą jej dawną siłą, popierana przez inne mocarstwa, mogłaby zamknąć Rosji dostęp do polityki europejskiej. Taka była w całym XVIII wieku rosyjska racja stanu, której geopolityczne założenia pozostają aktualne do dziś". I choć nie przywołuje wprost Halforda Johna Mackindera, to w przypisie trafiamy właśnie na jego koncepcję „heartlandu". Przypomnijmy, jak brzmiała: „Kto panuje we wschodniej Europie – panuje nad sercem Eurazji. Kto panuje nad sercem Eurazji, ten panuje nad wyspą światową.

eprasa.pl e12cc5019d

Kto panuje nad wyspą światową, ten panuje nad światem". Możemy zgadzać się lub nie z klasyczną geopolityczną tezą, pewne jest jednak, że dla Rosji i Rzeczpospolitej losy Europy Środkowo-Wschodniej okazały się kluczowe dla ich dziejów i najprawdopodobniej będą kluczowe dla rozwoju dalszych dziejowych scenariuszy.

Od anarchii do niewoli

„Światło i płomień" nie jest wyłącznie książką historyczną. Najboleśniejsze jej fragmenty dotyczą instytucjonalnego rozpadu I Rzeczypospolitej i rekonstrukcji samoświadomości elit i „warstwy politycznej", czyli szlachty, w ostatnich dekadach jej istnienia. Absolutyzacja „złotej szlacheckiej wolności" i patologiczne nadużywanie prawa weta sparaliżowały państwo i uczyniły szlachtę niezdolną do przeciwstawienia się coraz bardziej jaskrawym przykładom zależności od Rosji i Prus. Niewielu było ludzi tej miary co ksiądz Stanisław Konarski, który kilkanaście lat przed pierwszym rozbiorem w traktacie „O skutecznym rad sposobie" pokazał na przykładzie liberum veto, że „cnotliwa jednostka" nie ma szans ze skorumpowaną większością: „Jest wręcz przeciwnie: skorumpowana mniejszość może posłużyć się vetem, by udaremnić poczynania cnotliwej większości. Powstająca w rezultacie anarchia prowadzi do sytuacji, w której silni mogą uciskać słabych, co jest zaprzeczeniem wolności. Co więcej, [...] rzekomo broniona przez veto wolność może zostać utracona, jeżeli veto doprowadzi do upadku Rzeczypospolitej".

Przykład „liberum veto" często funkcjonuje na zasadzie „drzewa, które zasłania las". Skala instytucjonalnego rozpadu I Rzeczypospolitej w jej ostatnich dekadach zatrważa: władza nie tylko nie była zdolna przeciwstawić się rozkradaniu państwa; jej przedstawiciele – za zgodę dyplomatów ościennych państw – bez skrupułów sami chętnie je okradali: „Od kilkudziesięciu lat liberum veto pozwalało ludziom władającym skarbami Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego unikać ponoszenia odpowiedzialności". Nadużycia budziły wściekłość szlachty, ale – tak jak w przypadku podskarbiego koronnego Teodora Wessla – nawet próby ukrócenia jego legendarnego złodziejstwa po wyborze na tron Stanisława Augusta trzeba było negocjować z ambasadorem Rosji, niemieckim arystokratą, Hermanem Karlem von Keyserlingiem. Nie bez powodu: polityczna siła bogatej i wpływowej magnaterii kończyła się tam, gdzie zaczynała się potęga Rosji, Prus i Austrii. Dodajmy dla porządku: choć szlachta pomstowała na magnaterię i kler, wespół z nimi – także w czas reform – unikała, jak mogła, realnego zwiększenia opodatkowania. Bez niego trudno było odbudować wojsko. A bez sprawnej i licznej armii nie sposób było ukrócić bezkarność pruskich i rosyjskich wojsk, które wdzierały się w głąb przygranicznych terenów Rzeczypospolitej, by porywać ludność pod pozorem „wyłapywania zbiegłego chłopstwa".

Król, który mógł niewiele

Nie ma nic zaskakującego w tym, że jedną z najważniejszych postaci na kartach książki brytyjskiego historyka jest ostatni król Polski. Butterwick daleki jest od demonizowania Stanisława Augusta, przybliża czytelnikowi jego sylwetkę, opisuje osobiste perypetie monarchy i źródła złudzeń, jakie żywił względem Katarzyny II; wiele mówi o jego reformatorskich zamierzeniach. Jednocześnie rzuca mocne światło na politykę imperatorskiego dworu wobec Rzeczypospolitej, który poza jawną presją na króla, większe i mniejsze instytucje Korony i Litwy oraz magnaterię i szlachtę, rozgrywał swoje tajne gry z osaczającymi Rzeczpospolitą sąsiadami. Wymowny jest przykład cła generalnego narzuconego Rzeczypospolitej przez Fryderyka II: władca Prus nie szczędził od lat sposobów, by niszczyć ekonomicznie sąsiedni kraj. Punkt celny w Kwidzyniu (Marienwerder) dzięki bardzo wysokim opłatom niszczył polski handel na Wiśle, rujnował kupców i znacznie wzbogacał skarb Prus. Przynaglana przez polskiego króla caryca podjęła się – niechętnie – mediacji, ale dopiero wówczas, gdy odkryła, że Prusy układają się z Portą Otomańską. W rzeczywistości „prawdziwe rosyjskie stanowisko w sprawie polskich reform skarbowych było równie nieprzyjazne jak pruskie".

Każdy opór ze strony polskiej – jak choćby głośna sprawa dysydencka, której zarzewiem był konflikt o urzędy między katolicką i niekatolicką szlachtą – budził gniew Rosji. Napięcia dotyczyły nie tylko protestantów. Pod naciskiem rosyjskiej ambasady Stanisław August zgodził się wprowadzić prawa, które wzmocniły pozycję prawosławnych duchownych względem grekokatolików. To doprowadziło do wzrostu politycznych napięć, które propaganda ościennych państw, sięgając do oświeceniowej retoryki, wykorzystała przeciw „fanatycznej polskiej szlachcie" i Rzeczypospolitej. I w tej materii grano przeciw polsko-litewskiemu królestwu znaczonymi kartami: „Choć w sprawę zaangażowana była władza i prestiż imperatorowej, główny motyw tej polityki stanowiła najwyraźniej chęć stworzenia na terenie Rzeczypospolitej zależnego od Rosji stronnictwa. Mogłoby ono

eprasa.pl e12cc5019d

wetować wszystkie niepożądane inicjatywy dotyczące reform, a w razie czego utrzymywać równowagę między frakcjami magnackimi". Ale to nie musiało obchodzić oświeceniowej opinii publicznej – podobnie jak i dziś jej wiedza o polskich sprawach jest ograniczona do tego, co wygodne często dla wrogich, nieprzyjaznych i niechętnych nam państw.

Na marginesie: protestanci – mieszczanie z Prus Królewskich – niezbyt przychylnym okiem patrzyli na pruski despotyzm. Uważali się bowiem „za pruskie odgałęzienie narodu sarmackiego" i twierdzili, że „reprezentują lepszą wersję sarmackiego dziedzictwa, bo wolność nie jest ograniczona do szlachty". Dlatego „pruscy mieszczanie lepiej niż większość ich szlachetnie urodzonych rodaków zdawali sobie sprawę, że ich wolności nie przetrwają rządów Hohenzollernów".

„I dalej żyli swoim życiem"

Pierwszy układ rosyjsko-pruski, dotyczący rozbiorów, został potajemnie podpisany w Petersburgu 17 lutego 1772 roku pod fałszywą datą 15 stycznia. We wrześniu Rosja, Austria i Prusy notyfikowały Rzeczpospolitej fakt rozbioru, żądając zwołania sejmu, który uznałby ich legalność. Król zwrócił się do europejskiej opinii publicznej za pośrednictwem półoficjalnego organu francuskiego dworu „Gazette de France". Ale zarówno Francja, jak i Wielka Brytania wolały poprzestać na pamfletach i karykaturach, potępiających jawną przemoc zaborczych dworów; traktowały narastającą supremację Rosji w regionie jako kartę do rozgrywania, a nie jako powód do zdecydowanej reakcji.

Czy można dziwić się obcym narodom i państwom? Gorzko brzmią słowa autora „Światła i płomienia" dotyczące tamtego czasu: „Lata gwałcenia suwerenności Rzeczypospolitej, konfliktów zbrojnych i narzuconych kontrybucji stępiły wrażliwość wielu członków stanu szlacheckiego na zmianę władzy, która nastąpiła w 1772 roku. Większość z nich zgadzała się więc na niezbędne ustępstwa wobec nowych rządzących i żyła dalej swoim życiem". Losy magnatów i ich majątków zależały od tego, jak zachowają się wobec zaborczych dworów. Arystokraci, którzy nie zgodzili się na złożenie przysięgi lojalności wobec carycy, utracili latyfundia: wielkie posiadłości ziemskie były już rozdzielane jako nagrody między rosyjskich arystokratów i generałów. Władze doceniały jednak postawę tych magnatów, którzy poszli na pełną współpracę. [...] Aleksander Sapieha i Józef Antoni Sołłohub oddali Rosji tak cenne usługi, że pozwolono im zatrzymać majątki bez (publicznego) składania przysięgi na wierność carycy".

„Kazano mi przysięgać, że nie będę wolnym"

To część tamtej rzeczywistości – z dekady na dekadę coraz bardziej gorzka, choć imponująca nadziejami na odbudowę państwa. Następujące po sobie rozbiorowe klęski mogły pogrzebać i państwo, i naród. Ale potencjał Rzeczypospolitej okazał się większy niźli wola tych, którzy chcieli ją pogrzebać – nawet częściowe reformy, przeprowadzane w coraz trudniejszych warunkach, przyniosły odbudowę politycznej wspólnoty, która ocaliła ducha Rzeczypospolitej. Przetrwał nie tylko naród, ale też świadomość potrzeby własnej państwowości. Pośród popiołów narodziła się elita, która miała świadomość tego, co utracono. „Kazano mi przysięgać, że nie będę wolnym" – takimi słowy podsumował trzeci rozbiór Polski urodzony w 1765 roku żołnierz poeta Cyprian Godebski.

Epoka stanisławowska nie była sielanką. Król nie był mężem stanu. Nie bez powodu jednak Butterwick pisze, że Rzeczpospolita tamtych czasów – choć dzieje zaniosły ją ku największej tragedii – nie była państwem upadłym i niewydolnym. Opis zmian zachodzących w królestwie, które były dla niego wielką szansą, zajmuje znaczną część książki. Rzeczpospolita „nie została litościwie dobita przez lepiej rządzonych sąsiadów, kiedy grzęzła w anarchicznym nieszczęściu. W wyjątkowo niekorzystnych warunkach ta na przemian nękana przez burze i flautę nawa państwowa zdołała chwycić wiatr w żagle. [...] Rzuciła też monarchom sąsiednich mocarstw wyzwanie ideologiczne i demograficzne. Wbrew legendom o »panskoj Polsze«, chętnie kolportowanym przez bolszewików, szlachecki naród polski mimo wszystkich swoich zadawnionych uprzedzeń był wspólnotą polityczną, która – acz z opóźnieniem – wstąpiła na ścieżkę wiodącą do upodmiotowienia całej ludności »państw Rzeczpospolitej«" – pisze historyk.

„Światło i płomień" pozwala nie tylko przyjrzeć się upadkowi i próbom reform Rzeczypospolitej. Pokazuje, że największy metapolityczny błąd, jaki można popełnić w Polsce, to historyczna amnezja wraz z jej wszystkimi ponurymi skutkami. Rzecz nie dotyczy wyłącznie ostrożności względem ościennych państw, zrozumienia fenomenu Rzeczypospolitej, lecz także odpowiedzialnego obchodzenia się z wolnością i szacunku dla państwa i jego instytucji. Europejsko-liberalne i narodowo-liberalne slogany, które nadto często słyszymy i dziś, mogą prowadzić polską nawę ku odmętom unicestwienia. ■

eprasa.pl e12cc5019d

Rosja na Czarnym Lądzie. Wagnerowcy, broń, dyplomacja

Antoni Rybczyński



Po inwazji na Ukrainę i popełnianych tam zbrodniach Rosja stała się dla dużej części państwem zbójeckim, pariasem, dla którego zamknięto międzynarodowe salony. Drzwi zatrzasnął przede wszystkim świat demokracji, z Zachodem na czele. W tej sytuacji Moskwa aktywnie działa na innych odcinkach międzynarodowej dyplomacji, by pokazać, że jest wciąż wielkim mocarstwem. Sojusz z Iranem, przyjaźń z Chinami... Procentują też dziś aktywne w ostatnich kilku latach działania rosyjskiej dyplomacji na Czarnym Lądzie.



fot. AA/ABACA/PAP

epiasa.pl:e12cc3019d

Rosja, coraz bardziej dotknięta sankcjami zachodnimi, zintensyfikowała swoje wysiłki w Afryce, aby zaprezentować się jako aktywne geopolitycznie wielkie mocarstwo. Działania te mają na celu podtrzymanie tego wizerunku oraz wynikają z faktycznej potrzeby uniknięcia osamotnienia w głosowaniach ONZ w sprawach dotyczących inwazji na Ukrainę. Afryka staje się priorytetem w rosyjskiej polityce zagranicznej także dlatego, że nawet na szeroko pojętym Bliskim Wschodzie, który w niedalekiej przeszłości przyciągał uwagę Kremla, pozycja Rosji słabnie, m.in. dlatego, że państwa arabskie oraz Izrael obawiają się rozszerzenia współpracy wojskowej między Moskwą a Teheranem.

Dla Kremla Afryka jest jednym z wielu frontów rywalizacji z Zachodem. Rosjanie mają na tym kontynencie swego rodzaju przewagi, których brakuje im gdzie indziej. A więc kolonialne resentymenty afrykańskich krajów wobec dawnych metropolii (głównie odczuwa to Francja), pamięć o wsparciu sowieckim/komunistycznym dla walczących o niepodległość kolonii, niechęć do „współczesnego kolonialnego imperium", czyli USA, wreszcie stosunkowa taniość usług/pomocy rosyjskiej wobec oferty zachodniej dla różnych reżimów afrykańskich (co ważne, Moskwa nie przejmuje się demokracją i prawami człowieka, inaczej niż Zachód). Rosja uważa też, że ma największy potencjał jako dostawca usług bezpieczeństwa w Afryce i stąd koncentruje się na krajach niestabilnych politycznie, które dają Rosji możliwość czerpania zysków z lokalnych zasobów naturalnych. Najczęściej wchodzi w miejsce opuszczone przez kraje zachodnie, z którymi nie po drodze jest lokalnym reżimom. Najlepszym przykładem sytuacja w Mali i Sudanie, gdzie rządzą wojskowe junty.

Front wojny z Zachodem

Zainteresowanie Rosji Afryką wzrosło wyraźnie już kilka lat przed wielką inwazją na Ukrainę. Na szczycie Rosja–Afryka w Soczi w 2019 roku Moskwa obiecała podwoić swój handel z krajami afrykańskimi w ciągu pięciu lat. Co z tego wyszło? Wielkość rosyjskiego handlu z krajami afrykańskimi spadła z 20 mld dolarów w 2018 roku do 17,6 mld dolarów w 2021 roku. To pokazuje, że Rosja przecenia swoją rolę i wpływy oraz że brakuje jej zdolności do pełnej realizacji jej planów w Afryce. Nie da się tego osiągnąć bez środków gospodarczych, wysyłając tylko wagnerowców i sprzedając broń. Dlatego faktyczne wpływy Rosji nigdy nie będą tak mocne i tak trwałe, jak choćby Chin. Podczas gdy wymiana handlowa Rosji z Afryką nieco się skurczyła, w tym samym czasie Chinom udało się zwiększyć obroty w handlu z krajami afrykańskimi o 35 proc. (!), do rekordowych 254 mld dolarów w 2021 roku.

Mimo to Rosja jest przekonana o swej potędze na Czarnym Lądzie. Rosyjscy przedstawiciele w Afryce szukają okazji do zdobycia popularności, prezentując się jako pomocny i wiarygodny partner o przyjaznej retoryce. Rosja planuje rozbudowę sieci placówek dyplomatycznych w Afryce, zwiększenie personelu dyplomatycznego, uproszczenie transakcji walutowych z krajami afrykańskimi oraz dywersyfikację metod płatności. Aby skuteczniej realizować te plany, Rosja chce rozszerzyć swoje członkostwo w organizacjach. Na przykład wyraziła zainteresowanie uzyskaniem statusu obserwatora w Afrykańskiej Unii Parlamentarnej. Latem tego roku w Sankt Petersburgu ma się też odbyć kolejny szczyt Rosja–Afryka.

Od początku roku minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow zdążył już odwiedzić Wybrzeże Kości Słoniowej, Angolę, Erytreę, Eswatini (Suazi), RPA, Mali, Mauretanię i Sudan. A przecież latem ubiegłego roku był też w Egipcie, Etiopii, Ugandzie i Kongo. Elementem afrykańskiej kampanii Kremla była również niedawna wizyta białoruskiego dyktatora Alaksandra Łukaszenki w Zimbabwe. Rosja próbuje kupować sobie poparcie państw Afryki w głosowaniach na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, oferując tym krajom inwestycje na preferencyjnych warunkach, eksport żywności czy dostawy uzbrojenia. W 2022 roku Federacja Rosyjska wyeks-

> PODCZAS GDY WYMIANA HANDLOWA ROSJI Z AFRYKĄ NIECO SIĘ SKURCZYŁA, W TYM SAMYM CZASIE CHINOM UDAŁO SIĘ ZWIĘKSZYĆ OBROTY W HANDLU Z KRAJAMI AFRYKAŃSKIMI O 35 PROC.

eprasa.pl e12cc5019d

portowała do Afryki zboże o wartości 2,5 mld dolarów oraz uzbrojenie warte dziesiątki miliardów dolarów. Kreml zaoferował Erytrei kontrakty zbrojeniowe w zamian za m.in. wstrzymanie się władz w Asmarze od potępienia Rosji podczas głosowania na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Do zachowania neutralności miała zobowiązać się także Angola, której strona rosyjska zaoferowała m.in. projekty przemysłowe i w dziedzinie energetyki atomowej oraz otwarcie nowych centrów kulturalnych. W przypadku Eswatini argumentem miały być m.in. dostawy zboża z Rosji, natomiast Demokratyczna Republika Konga została przekupiona importem towarów z tego państwa.

Niewątpliwie głównym celem starań rosyjskich jest jednak Republika Południowej Afryki. RPA ceni swój status piątego członka bloku BRICS (wraz z Brazylią, Chinami, Indiami i Rosją) i zasadniczo pozytywnie ocenia antyzachodni kurs Moskwy. Zresztą RPA to rzadki przypadek współpracy Rosji i Chin w Afryce – chodzi o zapowiedziane manewry morskie tych trzech krajów. Współpraca z Pekinem mogłaby wzmocnić rosyjskie wpływy w Afryce, ale w rzeczywistości synergia taka jest niewielka – nie ze względu na przeciwwagę ze strony Stanów Zjednoczonych czy Francji, lecz przede wszystkim dlatego, że Pekin woli działać na własną rękę. Chińskie inwestycje w wydobycie afrykańskich zasobów naturalnych są ogromne i wciąż rosną, ale Pekin zastanowiłby się dwa razy przed wynajęciem wagnerowskich najemników.

Co może oferować Rosja

Konkurując z państwami zachodnimi w Afryce, Rosja widzi największy potencjał w sektorze bezpieczeństwa. Koncentruje się na krajach niestabilnych politycznie, które potrzebują pomocy, aby zagwarantować sobie bezpieczeństwo. Pierwszymi takimi przyczółkami Rosji były Sudan i Republika Środkowoafrykańska. W Chartumie Moskwa dogadała się z ówczesnym dyktatorem Omarem Baszirem, a po jego upadku – z juntą wojskową. Wsparła władze choćby dostawami broni, sprzętu do pacyfikacji protestów ulicznych i doradztwem wojskowym, a w zamian zyskała możliwość budowy bazy wojskowej w Port Sudan nad Morzem Czerwonym oraz dostęp do złóż złota. Te są eksploatowane przez spółki Jewgienija Prigożyna pod czujnym okiem wagnerowców. Zaraz potem Rosjanie weszli do sąsiedniej Republiki Środkowoafrykańskiej. Tam czujności nie zachował Zachód, pozwalając na forum ONZ zrobić wyjątek dla Rosjan w embargu na dostawy broni do pogrążonego w wojnie domowej kraju. W efekcie od paru lat wagnerowcy ochraniają miejscowego prezydenta i kopalnie złota i diamentów, eksploatowane przez Rosjan.

Kolejnym krokiem było wejście do Sahelu. To region, gdzie sytuacja bezpieczeństwa jest mocno skomplikowana, a w kilku krajach doszło do przewrotów wojskowych (Mali, Gwinea, Burkina Faso). Mali pierwsze zwróciło się do Rosji o pomoc w walce z terroryzmem. Junta wojskowa weszła w konflikt z Francją, która od lat pomaga władzom w Bamako w walce z dżihadystami powiązanymi z Al-Kaidą i ISIS (jest tam również misja wojskowa UE). Szybko w miejsce Francuzów weszli Rosjanie. Można nawet podejrzewać, że to Rosjanie już wcześniej przygotowali taki scenariusz. Wszak kilku pułkowników malijskiej armii, trzęsących dziś krajem, wcześniej przeszło szkolenie wojskowe w Rosji właśnie. Do puczu, i to podwójnego, doszło też niedawno w sąsiednim Burkina Faso. I tam również od razu pojawiły się na ulicach rosyjskie flagi, portrety Putina, a placówki związane w jakiś sposób z Francją zostały zaatakowane przez motłoch. Wniosek? Lada moment pojawią się tam Rosjanie.

Tyle że Mali i inne kraje regionu Sahelu nie mogą liczyć na realne korzyści ze współpracy z Rosją. Jak dotąd sytuacja bezpieczeństwa w Mali uległa znacznemu pogorszeniu. Zaangażowana na Ukrainie Rosja nie ma możliwości zwiększenia swojego wkładu finansowego, wojskowego i politycznego w Afryce oraz trwałego prowadzenia operacji antyterrorystycznych w Mali lub w innym miejscu Sahelu. Obecność Grupy Wagnera w Sahelu zapewnia Rosji szybkie korzystanie z cennych zasobów, które jest jej głównym celem. Dlatego gdy po wyczerpaniu zasobów i minerałów Rosja wycofa się, pozostawi niestabilny region, który może stać się bezpieczną przystanią i schronieniem dla grup dżihadystycznych. W styczniu na forum ONZ Stany Zjednoczone oskarżyły Grupę Wagnera o ingerowanie w wewnętrzne sprawy krajów afrykańskich i „zwiększenie prawdopodobieństwa wzrostu brutalnego ekstremizmu" w regionie Sahelu. Przyłączyły się do tej krytyki Francja i Wielka Brytania.

Ile kosztuje Wagner?

Kluczowym narzędziem Rosji w realizacji jej celów geopolitycznych w Afryce jest imperium Jewgienija Prigożyna: Grupa Wagnera, polityczni technolodzy i firmy. Wystarczy wymienić kraje afrykańskie, gdzie w ostatnich ośmiu latach pojawili się ci Rosjanie: Libia, Sudan, Madagaskar, Republika Środkowoafrykańska, Mali. Grupa Wagnera jest dla Kremla użytecznym narzędziem. Z jednej strony, korzystanie z prywatnych

eprasa.pl e12cc5019d

firm wojskowych pozwala Rosji realizować swoją politykę bez demonstrowania zbyt dużego oficjalnego zaangażowania. Z drugiej strony, działalność Wagnera przynosi możliwości ekonomiczne dla firm powiązanych z różnymi rosyjskimi oligarchami. Stabilizacja krajów, w których Grupa Wagnera jest aktywna, nigdy nie była jej celem. Celem najemników jest raczej zapewnienie bezpieczeństwa dyktatorskim reżimom w zamian za dostęp do cennych zasobów, w tym złota, diamentów i uranu.

Jak zauważa w swoim niedawno opublikowanym raporcie estoński wywiad (uwaga, estońscy żołnierze uczestniczą w unijnej misji w Mali!), Grupa Wagnera na ogół stosuje ten sam modus operandi. Pierwszym krokiem jest wzmocnienie współpracy dyplomatycznej i wojskowej między Rosją a danym krajem. Następnie zawierane są umowy o eksporcie sprzętu wojskowego, a na końcu zatrudnia się Grupę Wagnera. Najemnicy często przybywają do danego kraju pod przykrywką doradców wojskowych lub instruktorów. Jednocześnie przygotowywane jest odpowiednie środowisko poprzez operacje informacyjne dyskredytujące poprzednich partnerów bezpieczeństwa (głównie jest to Francja) i gloryfikujące zdolność Rosji do zapewnienia stabilności w kraju; mapowane są potencjalne źródła finansowania, takie jak złoża mineralne.

Najemnicy Wagnera przybyli do Mali pod koniec 2021 roku. Nie poprawili sytuacji bezpieczeństwa w tym kraju. Wręcz przeciwnie, wzrosły ataki terrorystyczne i przemoc wobec cywilów, zwłaszcza w centralnym Mali, gdzie Rosjanie i malijskie siły zbrojne prowadziły głównie swoje operacje. Najemnicy byli wielokrotnie oskarżani o łamanie praw człowieka i zbrodnie przeciwko ludzkości. Ponadto Rosjanie próbowali sfałszować dowody sugerujące, że wojska francuskie dopuściły się masowych morderstw w Mali. Popełniają zbrodnie nie tylko tam. Najemnicy z Grupy Wagnera w Republice Środkowoafrykańskiej dopuszczają się morderstw i gwałtów – poinformował niedawno amerykański portal Daily Beast, który przytoczył historię 17-latki. Dziewczyna z obozu dla uchodźców we wschodniej Nigerii została sprzedana przemytnikom złota z miejscowości Kenzou w Kamerunie, położonej tuż przy granicy z Republiką Środkowoafrykańską. Już podczas podróży była wykorzystywana seksualnie, natomiast w Kenzou otrzymała zlecenie wyjazdu do pobliskiej miejscowości w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie została zgwałcona przez rosyjskiego żołnierza z Grupy Wagnera. Wojskowy przekazał jej pakunek ze złotem, który poszkodowana 17-latka musiała przewieźć z powrotem do Kamerunu. Taki los spotkał też wiele innych dziewczyn wyjeżdżających do bazy wagnerowców w środkowoafrykańskiej Gambouli. Na 17-latce dokonano nielegalnej aborcji, co było w Gambouli powszechną praktyką, ponieważ wagnerowcy chcieli w ten sposób ukrywać przypadki gwałtów na kobietach.

Istnieją trzy główne czynniki, które sprawiają, że obecność Grupy Wagnera wpływa bezpośrednio na zagrożenie terrorystyczne w określonym obszarze – czytamy w niedawno opublikowanym raporcie ONZ. Po pierwsze, naruszenia praw człowieka powodują rozgoryczenie wśród lokalnej ludności, tworząc podatny grunt dla działania terrorystycznych grup, w tym również zasilanie ich nowymi rekrutami. Po drugie, kontrakty Grupy Wagnera z rządami państw Sahelu jeszcze bardziej zdelegitymizują te reżimy w oczach ludności. W ciągu ostatnich kilku lat w Mali, Burkinie Faso i Czadzie miały miejsce wojskowe zamachy stanu. W Republice Środkowoafrykańskiej przedstawiciele rosyjskiego rządu nalegali, aby prezydent Faustin-Archange Touadera zniósł konstytucyjne ograniczenia dotyczące limitów kadencji prezydenckiej. Wspierane przez Grupę Wagnera kampanie dezinformacyjne i operacje podsycają również antyzachodnie nastroje wśród miejscowej ludności, jeszcze bardziej zniekształcając i tak już złożoną dynamikę polityczną. Po trzecie, najemnicy Wagnera zapewniają współpracę lokalnym władzom tylko w zakresie wzmocnienia siły kinetycznej, co sprawia, że bezpieczeństwo opiera się nie na legitymizacji władzy, ale na czystej i wyłącznie militarnej sile. Obecność Grupy Wagnera dodaje energii grupom dżihadystycznym, które zajęły i próbowały kontrolować terytorium w całym regionie. Dało to zarówno Państwu Islamskiemu, jak i oddziałom Al-Kaidy większą swobodę manewru i przestrzeń do działania. ■

Kluczowym narzędziem Rosji w realizacji jej celów geopolitycznych w Afryce jest imperium Jewgienija Prigożyna: Grupa Wagnera, polityczni technolodzy i firmy.

eprasa.pl e12cc5019d

Więcej, szybciej, lepiej!

Z APLIKACJĄ **ORLEN VITAY** ZAWSZE ZYSKUJESZ!

Ekstrapunkty i dodatkowe rabaty dzięki atrakcyjnym kuponom w aplikacji.

Mobilne płatności bez podchodzenia do kasy.

Wirtualna karta VITAY zawsze w zasięgu ręki.



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację **ORLEN VITAY**

eprasa.pl e12cc5019d

Olga Doleśniak-Harczuk



Dwa razy suri na patyku proszę!

Insekty opanowały internet. W sklepach, w pracy, w domu temat mąki ze świerszcza czy pasty na kanapki z dodatkiem larw zdystansował chyba nawet inflację. Wszystko przez to, że z początkiem roku Unia Europejska uzupełniła dotychczasową listę tzw. novel food (nowej żywności) o produkty na bazie sproszkowanych świerszczy domowych i larwy pleśniakowca lśniącego dopuszczonego decyzją UE do obrotu w postaci suszonej, mrożonej, kremowej (pasta) i sproszkowanej.

Nowa żywność obejmuje m.in. egzotyczne owoce i nasiona, mikroalgi i żywność wytwarzaną za pomocą nowych technologii. Co do samych insektów, to od lat są zaliczane do tej grupy, ale szersze zainteresowanie Europejczyków zyskały stosunkowo niedawno. I to zainteresowanie w większości przypadków graniczy z obrzydzeniem, co nie dziwi. Z drugiej strony niech rękę podniesie ten, kto nigdy w życiu nie skonsumował czegoś z dodatkiem koszenili znanej lepiej jako E120.

Od tekstyliów do żywności

Karminowy barwnik, czyli koszenilę, uzyskuje się z wysuszonych, zmielonych owadów czerwca kaktusowego. Jeden kilogram tego specyfiku wymaga wysuszenia około 155 tys. owadów, pochodzących głównie z hodowli i suszonych w różnej temperaturze w zależności od pożądanego efektu końcowego. W Polsce koszenilę na szeroką skalę stosowano w przemyśle tekstylnym do połowy XIX wieku. Rzeczypospolita Obojga Narodów była potentatem

eprasa.pl e12cc5019d

eksportu czerwonego barwnika na całą ówczesną Europę. Tylko my suszyliśmy czerwce polskie, a z rynku wygryzły go tańsze, mieszkające w opuncjach czerwce kaktusowe sprowadzane głównie z Meksyku. Handel koszenilą był intratny, dość powiedzieć, że wartość tego barwnika na giełdach towarowych Europy była tak jak szafranu i porównywalna z wartością złota. Sproszkowane robaczki dość długo wykorzystywano tylko do barwienia tkanin i produkcji czerwonego barwnika malarskiego, to dzięki koszenili rzymscy kardynałowie nosili purpurę, do dziś wykorzystuje się ją również w produkcji kosmetyków kolorowych (znajdziemy ją m.in. w tuszach do rzęs i cieniach do powiek, różu do policzków), ale jej przydatność dla branży spożywczej odkryto w okolicy 1868 roku. W tamtym czasie koszenilę sprowadzano do Europy na masową już skalę z Wysp Kanaryjskich, według źródeł eksport wyniósł wtedy aż 6 mln funtów, co tłumaczono poszerzeniem wachlarza jej przydatności o żywność. Do dziś, mimo wynalezienia syntetycznych barwników mogących zastąpić barwnik z robaczków, koszenilę dodaje się do jogurtów, słodyczy, ciast, napojów alkoholowych, sosów, ciast, gum do żucia, a nawet mięsa. Sięgając po lizaki, galaretki, dżemy, ciasta w proszku i inne (zwłaszcza zabarwione karminowo) produkty, możemy być prawie pewni, że wraz z owocami, żelatyną i cukrem spożywamy też szczyptę naturalnego barwnika, który kiedyś chodził po świecie jako pluskwiak gustujący w sokach owocowych, produkował kwas karminowy dla odstraszania drapieżników, a swój los przypieczętował – jak na ironię losu właśnie swą zdolnością do obrony.

Menu dla ciekawskich i twardzieli

„Mikrokosmos" to pierwsza restauracja w Berlinie, która w jadłospisie uwzględniła insekty. 11 listopada 2019 roku restauracja w ramach eksperymentu zaproponowała 15 gościom alternatywę dla gęsi serwowanej tradycyjnie na świętego Marcina. Kolacja w wąskim gronie, przy świecach, w nowoczesnych wnętrzach berlińskiego lokalu zaczęła się od podania herbaty, następnie zaserwowano przystawkę „zgryźliwą grę" – odmianę suszonych owadów z dynią i kulkami serowymi. Każde kolejne danie, z deserami włącznie, zawierało komponent insektowy, raz były to owady świeże, innym razem pieczone, smażone, a nawet karmelizowane. Podawano je w towarzystwie ręcznie robionego ravioli, korzenia selera, grzybów shitake, domowej musztardy. Całość sprawiała wrażenie artystycznej kreacji kucharza znudzonego tradycyjną kuchnią fusion, co nawet by pasowało, zważywszy, że kolejnym krokiem właścicieli restauracji był skręt w stronę meksykańskich wariacji na temat tortilli i burito z mączniakami. Potem przyszła kolej na smaki tradycyjnej kuchni Peru, więc nie mogło zabraknąć „suri", czyli peruwiańskiego street foodu w postaci larw chrząszcza ryjkowatego żyjącego w pniach i liściach palmy. Larwy nazywane suri są ulubionym fast foodem mieszkańców peruwiańskiej Amazonii, można je jeść na surowo (tak, żywe, tylko po usunięciu głowy), pieczone, marynowane i nadziewane na patyku i smażone we własnym tłuszczu, tak jak zwykliśmy w Europie przyrządzać bekon. Każdy mieszkaniec amazońskiej krainy zjada rocznie około 4 kilogramów tego tłustego przysmaku. Podobno w smaku plasuje się gdzieś na styku orzechów laskowych i masła kokosowego. Wracając do Berlina – owszem, również w „Mikrokosmosie" można suri zamówić i schrupać. A jak komuś robi się słabo na samą myśl o larwach na patyku, raczej powinien omijać to miejsce szerokim łukiem. „Jedzenie przyszłości" bowiem, jak nazywają dania z owadami ich entuzjaści, nie podbije raczej serc i podniebienia berlińczyków, którzy za nic w świecie nie zamienią na chrząszcze swojego currywursta.

A może kromkę chleba?

Dania daniami, ale nie ma to jak chleb gruboziarnisty z domieszką mąki konopnej i sproszkowanych larw mączniaka, dzięki czemu w 100 gramach tego pieczywa aż 20 gramów stanowi białko. A jak ktoś woli sam upiec – może kupić mąkę z chrząszczy „z europejskiej hodowli w Niderlandach", w domyśle: bio. Proszek z mączniaka też może się przydać w kuchni jako posypka do lodów, substytut mąki i w dodatku jest zdrowy – kto by nie chciał uzupełnić witaminy B_{12}, calcium, błonnika, żelaza i cynku? A ile to wszystko kosztuje? Cóż, w porównaniu nawet z najdroższą mąką, wszelkie proszki z insektów są na wagę złota, to samo dotyczy wszelkich innych produktów insektopodobnych. 25-gramowa torebka mieszanki owadów do chrupania (takich organicznych chipsów) to wydatek 15 euro (za kilogram trzeba zapłacić 598 euro), zdecydowanie taniej wychodzą mączniaki – cena 40-gramowej torebki to 8,88 euro (222 euro za kilogram), a za 15-gramową porcję szarańczy „do gotowania" trzeba zapłacić blisko 9 euro. I dalej: trzy batoniki z insektów – 10 euro, dwupak kremu orzechowego na chlebek – rzecz jasna wzbogaconego proteinami insektów – 15 euro, owsianka insektowa – około 10 euro itd. Dla początkujących kucharzy znajdą się i recepty na pyszne naleśniki w różnych wariacjach, wszystkie z wiadomym dodatkiem albo curry, focaccia i cała lista dań świata od tych wszystkich dotychczasowych różniących się tylko i aż dodatkiem mączki z danego owada. Zdjęcia wyglądają zachęcająco. A różnicy gołym okiem nie sposób dojrzeć. Za to są reklamy ćwiczących, wysportowanych ludzi zachwalających prozdrowotne działanie robaczków. Cóż, trzeba uważać, gdzie się je. Chyba że suri na patyku lub baton z chrząszczem nie stanowi problemu. ■

eprasa.pl e12cc5019d

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński



CEL: POZBAWIĆ PUTINA PIENIĘDZY NA WOJNĘ – NIE ZOSTAŁ OSIĄGNIĘTY

Zachód zrezygnował z zakupu rosyjskiej ropy sam i ustalił górny pułap jej ceny dla pozostałych krajów. Póki co, na ten moment, to nie przeszkadza Rosji wojować. Ale stawia krzyżyk na jej przyszłości – czytamy w artykule Jekateriny Mereminskiej i redakcji niezależnego rosyjskiego portalu Ważne Historie. Tekst został opublikowany 30 stycznia br.

eprasa.pl e12cc5019d

Załamanie dochodów Rosji z tytułu nośników energii jest tym, co będzie mogło zatrzymać rosyjską machinę wojenną" – powiedziała premier Estonii Kaja Kallas po wejściu w życie embarga na rosyjską ropę i ograniczeniu jej ceny. „Każdy dolar się liczy. Obniżenie pułapu cen ropy o dolara to obcięcie o 2 mld dolarów rocznie rosyjskich dochodów". Rosyjskiej machiny wojennej to jednak nie zatrzymało, nie zniszczyło gospodarki, ale pozbawiło ją pieniędzy, i to niemałych.

Pogodzić niezgodne

O tym, że Rosja powinna zostać pozbawiona renty naftowej, mówiło się na Zachodzie zaraz po wybuchu wojny. Zadanie to, według słów prof. Tatiany Mitrowej, wydawało się nie do wykonania. Należało znacznie ograniczyć przepływ petrodolarów do Rosji bez znacznego zmniejszenia przepływu ropy z Rosji, a w międzyczasie znaleźć substytut dla 111 milionów ton ropy rocznie, które UE importuje z Rosji – ponad jedną trzecią swojego zużycia. Zastępstwo to w dużej mierze kwestia technologii (Norwegia, USA i Bliski Wschód już je znalazły); potrzebny był tylko czas na zawarcie umów. A jeszcze przecież limit cen.

Rosja od razu ostrzegła, że nie będzie dostarczać ropy krajom, które respektują pułap cenowy, co mogło doprowadzić do załamania rynku i gwałtownego wzrostu cen. To nie były puste słowa. Rosja jest drugim co do wielkości dostawcą ropy na świecie: gdyby drastycznie obcięła produkcję, globalna równowaga zostałaby zachwiana. Jeden z czołowych banków świata, JP Morgan, zaszokował latem wszystkich wyliczeniem, że zmniejszenie przez Rosję połowy produkcji z powodu limitu spowodowałoby wzrost cen ropy do 380 dolarów za baryłkę. Zachód „robił wszystko, co mógł, by nie dopuścić do spadku wielkości eksportu rosyjskiej ropy" – mówi Oleg Itzhoki, profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles: „Europa była w zasadzie na to gotowa, bo ceny energii wzrosły tam już szalenie, a Ameryka powstrzymywała Europę przed szybszym embargiem w kwietniu – bali się 200 dolarów za baryłkę". W końcu trzeba było podjąć decyzję: skłonić jak najwięcej krajów, by nie kupowały rosyjskiej ropy za więcej niż 60 dolarów za baryłkę.

Między pułapami

Główny dla Rosji rynek zbytu zrezygnował z dużej części jej ropy. UE od 5 grudnia nie kupuje ropy z Rosji dostarczanej drogą morską (wyjątkiem Bułgaria i Chorwacja). Ropę z rurociągów można kupować, ale większość krajów Unii sama z niej zrezygnowała. Odpowiedź była oczywista: skoro Europa umówiła się z kimś na zastąpienie rosyjskich dostaw, część konsumentów została bez ropy. To właśnie tam Rosja skieruje ilości surowca, których Europa odmówiła. Trafią one drogą morską, co było główną metodą dostaw jeszcze przed embargiem – większość eksportu rosyjskiej ropy przechodzi właśnie przez porty morskie.

Grupa G-7, UE i Australia ograniczyły cenę, wprowadziły tzw. sufit – baryłka przewożonej morzem ropy rosyjskiej nie powinna kosztować więcej niż 60 dolarów (pułap może być okresowo zmieniany). Jak można zakazać czegokolwiek spółkom z innych krajów? Ano tak. Pułap rozszerza się na dowolne usługi związane z transportem rosyjskiej ropy: jeśli cena jest wyższa od 60 dolarów, nie można przewozić surowca, ubezpieczać tankowców, które to robią (zgodnie z międzynarodowymi regułami, statki powinny być ubezpieczone). Ponad połowę rosyjskiej ropy transportowały greckie statki, ich właściciele raczej zakazu nie naruszą. Zaś 95 proc. ubezpieczeń dla tankowców sprzedają członkowie londyńskiego stowarzyszenia International Group of P&I Clubs.

Spółkom złapanym na naruszeniu ograniczeń grozi trzymiesięczny zakaz: przez 90 dni nie będą mogły korzystać z wymienionych usług. Jeśli jakiś tankowiec zostanie złapany na przewozie rosyjskiej ropy po cenie ponad 60 dolarów za baryłkę, będąca jego właścicielem spółka przez 90 dni nie będzie mogła niczego przewozić. W odpowiedzi Rosja zgromadziła własną flotę do przewozu ropy w ramach sankcji, wykupując ponad 100 tankowców (czyli około połowy tego, co było potrzebne), w większości starych, przeznaczonych do złomowania, oraz negocjując z przewoźnikami z szarej strefy, którzy pomagają obchodzić sankcje nałożone na Wenezuelę i Iran.

Blitzkrieg

Pomysł był zrozumiały, ale trudno było przewidzieć, do czego doprowadzi: nic podobnego do pułapu cenowego nie było wcześniej stosowane na świecie. Do tego dochodzą podobne działania wobec rosyjskich produktów naftowych: embargo UE (od 5 lutego) i pułap cenowy (nie ustalono jeszcze daty, ostatnia propozycja cenowa to 100 dolarów za baryłkę oleju napędowego). Uderzającą ilustracją niepewności jest prognoza gospodarcza rosyjskiego banku centralnego na rok 2023: spadek PKB o 1–4 proc. Tak szerokie widełki „nie są typowe dla naszych prognoz" – powiedział Kirył Tremasow, dyrektor Departamentu Polityki Pieniężnej Banku Centralnego, ale nie było jasne, ile Rosja straci na produkcji, eksporcie, rafinacji i dochodach.

fot. Adobe Stock

eprasa.pl e12cc5019d

Początek wygląda na triumf autorów sankcji. Cena ropy Urals spadła znacznie poniżej pułapu i zmniejszyły się dostawy, w dodatku „restrykcje w grudniu spowolniły reorientację dostaw z Rosji do krajów azjatyckich" – zaznacza bank centralny. Średnia cena Urals od początku ubiegłego roku, według danych resortu finansów, nie spadała poniżej 68 dolarów za baryłkę, ale w grudniu, gdy weszły sankcje, wyniosła średnio 50,47 dolarów. W okresie między połową grudnia a połową stycznia wyniosła 46,82 dolarów, a w pewnym momencie było nawet 37 dolarów. Eksport morzem w pierwszym tygodniu embarga zmniejszył się prawie o połowę – do 1,6 mln baryłek dziennie wobec wcześniejszych 3 mln. Pojawiły się komplikacje z dostawą. Grecka Avin International i największy chiński operator morskich przewozów China Cosco Shipping odmówili w grudniu przewozu rosyjskiej dalekowschodniej ropy ESPO, bo jej cena była powyżej pułapu. Każdy dzień działania kombinacji „pułap plus embargo UE" pozbawia Rosję 160 mln euro – ocenił fiński Ośrodek Badań Energii i Czystego Powietrza. To dziś popularne ćwiczenie: szacowanie, ile pieniędzy straci Rosja. Z najnowszych obliczeń wynika, że około 100 mld dolarów przychodów z eksportu w tym roku.

Główną i najbardziej oczywistą ofiarą jest budżet: skonstruowano go na 2023 rok w oparciu o założenie, że baryłka będzie kosztowała średnio 70,1 dolarów. Inne gatunki rosyjskiej ropy były droższe niż Urals, ale to jego notowania są ważne dla budżetu: od nich liczone są podatki i cła. W grudniu deficyt budżetowy wyniósł rekordowe 3,9 bln rubli. To po części subtelności księgowe, ale jednocześnie bezpośrednia konsekwencja załamania dochodów z ropy i gazu. W tym roku jeszcze trwa: w styczniu Ministerstwo Finansów prognozuje niedobór 54,5 mld rubli w stosunku do planu. W lutym, jeśli cena nie wzrośnie, będzie on jeszcze wyższy. Rok dopiero się zaczął, a minister finansów Anton Siłuanow już nazwał zapisane w budżecie federalnym 8,9 bln rubli dochodów z ropy i gazu (37 proc. całości dochodów) optymistycznym scenariuszem. Obecnie Ministerstwo Finansów uważa, że dochody z ropy i gazu wyniosą 8 bln rubli.

Kolejną ofiarą jest rubel. Niższe dochody z eksportu ropy były przyczyną jego grudniowego spadku – zauważa bank centralny. Gdy wejdą w życie ograniczenia na produkty naftowe, rubel znów będzie miał kłopoty – ostrzega Natalia Orłowa, główna ekonomistka Alfa Banku. Korzysta na tym jednak budżet: należności za ropę ustalane są w dolarach, a każdy dodatkowy rubel w ich kursie daje około 100 mld rubli do skarbu państwa. Władze od dawna narzekały, że rubel jest zbyt silny, twierdząc, że kurs 70 rubli lub nieco więcej do dolara jest sprawiedliwy. To, czego nie mogły osiągnąć przez pół roku, sankcje zrobiły w ciągu zaledwie miesiąca.

– Załamanie dochodów nie oznacza, że Rosja wyda mniej na wojnę – mówi Dmitrij Polewoj, dyrektor ds. inwestycji w Loko-Invest: będą więcej pożyczać i brać z Funduszu Dobrobytu Narodowego. Taka sytuacja wydaje się odpowiadać Putinowi. Dowodem na to jest dekret o zakazie dostaw ropy do krajów, które przestrzegają pułapu cenowego. Pojawił się on dopiero pod koniec grudnia i mimo wszystkich groźnych wypowiedzi, okazał się raczej bezzębny: zawiera wiele wyjątków i nie ma żadnego wpływu na ceny.

Czasowe koszty

Pytanie tylko, jak długo taka sytuacja się utrzyma. Astronomiczne kwoty strat biorą się z założenia, że Urals pozostanie tani przez cały rok. Dla przykładu, przytoczony powyżej szacunek 100 mld dolarów zakłada, że dyskont Uralsa do benchmarkowego Brenta pozostanie na poziomie 30–40 proc. Rosyjscy urzędnicy mają nadzieję, że jest to przejściowe i że luka zmniejszy się, tak jak wiosną ubiegłego roku. W marcu-kwietniu wielu zaczęło odmawiać zakupu rosyjskiej ropy, załamały się ustalone łańcuchy dostaw i dyskont dla Uralsa przekroczył 30 proc. Ale stopniowo powstały nowe łańcuchy, a różnica cenowa spadła o połowę. Choć to, oczywiście, też dużo. Jeśli średnia cena Uralsa nie okaże się dużo niższa niż 60 dolarów za baryłkę, a produkcja nie spadnie znacznie, „nie ma katastrofy dla budżetu" – mówi profesor Itzhoki. Katastrofa będzie, jeśli średnia cena Uralsa spadnie poniżej 40 dolarów.

Rosyjska ropa jest sprzedawana poniżej ceny pułapowej, a kupowana powyżej. Gdzie jest ta różnica? Póki co cena jest wyższa od pułapu, a produkcja jeszcze prawie nie spadła. Wysyłki drogą morską wzrosły od grudniowego załamania. Po prostu kupujący są teraz inni. Głównie to Chiny i Indie, a także... nieznani. To popularny sposób obchodzenia embarga, sądząc po doświadczeniu Iranu i Wenezueli: na neutralnych wodach ropa jest przeładowywana na inny tankowiec (można też mieszać ją z ropą innego pochodzenia), na papierze przestaje być rosyjska i trafia do klienta. Wykorzystuje się też inne schematy. Jednym z głównych ośrodków legalnego omijania sankcji stał się Singapur: traderzy przywożą tam rosyjskie produkty naftowe i mieszają je z innymi. Pozbywając się w ten sposób sankcyjnego ryzyka, mogą dostarczać taki produkt, gdzie im pasuje.

„Rosji udało się skierować większość swojej ropy do krajów innych niż w Europie" – stwierdza Natalia

eprasa.pl e12cc5019d

Zubarewicz, profesor Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Krajowi udało się wytrzymać wpływ europejskich sankcji – przyznaje Bloomberg. W pierwszym miesiącu ich obowiązywania Rosja zarobiła 3,1 mld euro na wysyłce ropy poniżej ceny pułapu. Ponadto Urals to nie cała rosyjska ropa. Inne gatunki, jak zauważono, są droższe, a niektóre droższe od pułapu. „W portach Pacyfiku limit cenowy najwyraźniej nie działa" – mówi niezależny ekspert ds. ropy i gazu Siergiej Wakulenko: notowania ropy na ESPO z dostawami z portu Kozmino „stale przekraczają 70 dolarów", a „tamtejsze ilości bynajmniej nie są jednorazowe, 800 tys. baryłek dziennie". A w sumie przez kierunek dalekowschodni (w tym rurociągiem do Chin) eksportuje się 1,6–1,8 mln baryłek dziennie – przypomina Wakulenko.

Kwestia ceny

Cena rosyjskiej ropy to bardzo kreatywne pojęcie. Urals nigdy nie był przedmiotem obrotu na giełdzie, jego wartość obliczają specjalne agencje cenowe według własnych metodologii, ale rynek je uznaje. Baryłka Uralsa w rurociągu Transnieftu, w tankowcu w porcie w Noworosyjsku czy w Gujarat w Indiach (gdzie jest teraz główny rynek zbytu rosyjskiej ropy), kosztuje różnie. Dane, które podaje nam Ministerstwo Finansów i od których naliczane są podatki, to cena na pokładzie tankowca w rosyjskim porcie. Ta ropa musi być dostarczona do nabywcy, dla którego cena wzrośnie co najmniej o koszt frachtu. Kiedyś tankowce płynęły z bałtyckiego portu Primorsk głównie do portów północnoeuropejskich, teraz płyną do portów azjatyckich. Trasa do Rotterdamu trwa średnio siedem dni, a do Gujaratu 31 dni (i tyle samo z powrotem). Dopłata odpowiednio wzrasta. Do tego dochodzą wszystkie ryzyka związane z Rosją. W Gujarat rosyjska ropa handlowana jest z dyskontem 6–10 dolarów za baryłkę w stosunku do Brent – mówi Wakulenko. Okazuje się więc, że cena rosyjskiej ropy załamała się, ale jednocześnie się nie załamała. Ponadto, biorąc pod uwagę wszystkie zawirowania ostatnich czasów (przerwanie ustalonych więzi, niechęć do ujawniania danych, itp.) notowania ustalane przez agencje cenowe stały się gorszym odzwierciedleniem rzeczywistości. „Jeśli mówimy o cenie sprzedaży rosyjskiej ropy, to nie jest to 46–50 dolarów, ale 70 lub 75 dolarów. Płacą za nią mniej więcej tyle samo, co za ropę arabską i irańską" – podsumowuje Wakulenko.

„Sankcje nie wygasiły jeszcze rosyjskiego przemysłu naftowego. Problemem jest to, ile się na nim zarobi. Przy posiadanych rabatach można wydobywać duże ilości, ale zarobi się znacznie mniej" – mówi Zubarewicz. Kto zatem zarabia na różnicy między 50 dolarów w Primorsku a 70 dolarów w Gujarat? „Ten spadek ceny oficjalnej to duża strata dla rosyjskiego budżetu. Teoretycznie powinni na tym skorzystać nabywcy ropy, ale nie, to się w ogóle nie dzieje" – mówi Wakulenko. Zarabiają na tym handlowcy, transportowcy i budowniczowie schematów omijania sankcji. Jak podaje Bloomberg, zyski handlarzy z Singapuru są dwukrotnie większe niż zwykle – do 20 proc. wobec standardowych 10–12 proc. Wielu z nich jest prawdopodobnie powiązanych z Rosją. Zdaniem Wakulenki zwycięzcami mogą być rosyjskie firmy, które „korzystają z utrzymania wizerunku, że tanio sprzedają ropę": mniejszy podatek, plus można zostawić część wpływów na kontach „zaprzyjaźnionych firm poza Rosją i wykorzystać je do transakcji, które trudno byłoby przeprowadzić we własnym imieniu w klimacie sankcji". Bardzo przypomina to lata 90., kiedy firmy wydobywcze sprzedawały ropę tanio przedsiębiorcom, by płacić mniejsze podatki, a ci potem sprzedawali ją drogo, ale też płacili niewielkie podatki, bo centrum zysku było w krajach o najniższych stawkach. Walka z takimi schematami doprowadziła w końcu do związania podatków z notowaniami rynkowymi. Ale w porównaniu z latami 90. jest ważna różnica: teraz państwo może patrzeć w drugą stronę – oczywiście jeśli widzi, gdzie i do kogo płyną pieniądze, i może kontrolować przynajmniej część tych przepływów – uważa Wakulenko. Można wymyślić wiele sposobów na wydanie „powstałej szarej masy pieniędzy". Na przykład kupić coś na wojnę, sfinansować „działalność prorosyjskich lub po prostu antysystemowych grup poza Rosją", a nawet zacząć gromadzić „partyjne złoto", które zapewni „wygodną egzystencję po klęsce w wojnie".

Straty stałe

Nie chodzi tylko o pieniądze. Departament Skarbu USA uważa, że pułap działa i działa dobrze, pisze profesor Uniwersytetu w Chicago Konstantin Sonin po dyskusji okrągłego stołu z zastępcą sekretarza skarbu Benem Harrisem, dodając, że efekt pułapu może nie być najważniejszy. Sankcje nigdy nie są wprowadzane po to, by natychmiast ukarać winnych i przywrócić sprawiedliwość, zauważa Tatiana Mitrowa: „Mają inne zadanie – powoli, ale nieuchronnie dusić gospodarkę objętą subsankcjami, odbierać nie bieżący dopływ gotówki, ale perspektywy rozwoju". W drodze jest drugie embargo UE i drugi pułap cenowy na produkty naftowe. Będą one poważniejszym testem dla Rosji. Przekierowanie produktów naftowych do Azji będzie trudniejsze niż ropy: kraje azjatyckie mają nadmierne zdolności rafinacyjne, potrzebują ropy. ■

eprasa.pl e12cc5019d



Marcin Wolski

KIEDY WOJNA SIĘ ZAKOŃCZY?

Zastanawiam się, czy i na ile mieszkańcy Ziemi, zwłaszcza jej części niedotkniętych bezpośrednimi działaniami zbrojnymi w drugim roku I lub II wojny światowej zdawali sobie sprawę, że znajoma rzeczywistość właśnie przestanie istnieć, a kiedy umilkną działa i skończą się dni świętowania zwycięstwa, nic nie będzie takie jak wcześniej? Lub prawie nic. Że bezapelacyjnie zmienią się geopolityka i światowy układ sił, jedne mocarstwa urosną, drugie upadną, rywalizacja wojenna doprowadzi do skokowych zmian technicznych, na które w warunkach pokoju czekałoby się dziesięciolecia, modyfikacji ulegną ludzkie priorytety, poglądy, obyczaje...

Tak jak I wojna światowa zmieniła na stałe pozycję kobiety, jak druga zdemokratyzowała świat, tak trzecia... A właśnie, czego możemy się spodziewać po trzeciej? Zwłaszcza gdy nie wiemy, ile lat potrwa, jaką cześć ziemskiego globu obejmie. To, że pozbawi ona Rosję mocarstwowej roli, jest prawie pewne, ale czy beneficjentem będą Stany Zjednoczone, które przeżyją drugą młodość, czy Chiny, a może pozostające na uboczu konfliktu Indie?

Ale mamy przykład niedawnej pandemii – podejrzewam, że pierwszą z wielkich zmian, które wymusiła, była „praca zdalna" – pokazała ona, jak inaczej może funkcjonować urząd, szkoła czy redakcja. Zwłaszcza że umożliwiła to cyfrowa rewolucja, która niewiele wcześniej dokonała się na naszych oczach. Oczywiście biurokracja będzie się jeszcze bronić, ale moim zdaniem tradycyjny urząd i zaludniające go „biurwy" będą musiały odejść do przeszłości.

Wojna postawiła też na nogi szereg spraw coraz bardziej stojących na głowie. Porzekadło mówi, że na wojnie nie ma ateistów. I coś w tym jest. Konflikt lat 1914–1918 zatrzymał nieuchronny wydawałoby się proces laicyzacji społeczeństw Zachodu. Do szpitali wróciły zakonnice, a na front księża kapelani! Następne wojny przyniosły wzrost roli opinii publicznej i młodzieży, tej dotąd wręcz niedostrzeganej warstwy społecznej. Mam nadzieję, że konflikt na Ukrainie odeśle do lamusa większość lewackich urojeń, z obsesją klimatyczną na czele i nadmierną opiekuńczością wobec mniejszości i zwierząt rzekomo dyskryminowanych. Sprawy te, w obliczu rzeczywistych zagrożeń, stają się nieważne, a ich aktywiści po prostu śmieszni.

MAM NADZIEJĘ, ŻE KONFLIKT NA UKRAINIE ODEŚLE DO LAMUSA WIĘKSZOŚĆ LEWACKICH UROJEŃ, Z OBSESJĄ KLIMATYCZNĄ NA CZELE I NADMIERNĄ OPIEKUŃCZOŚCIĄ WOBEC MNIEJSZOŚCI I ZWIERZĄT RZEKOMO DYSKRYMINOWANYCH.

Jak walczyć z dwutlenkiem węgla wydzielanym przez krowy, kiedy płoną całe kraje, co z aberracją na temat 150 (lub więcej) płci, kiedy w czas zagrożenia liczyć można wyłącznie na tradycyjne wartości – rodzinę, tradycję, wiarę. Czy naprawdę zmiana płci na żądanie jest istotna, kiedy w każdym momencie może spaść na głowę bomba, zgasnąć światło lub zabraknąć żywności?

Być może bluźnię, ale odnoszę wrażenie, że ta straszna wojna, wywołana szaleństwem Putina, w pewnym sensie potrzebna była światu. Dla otrzeźwienia. I mam nadzieje, że wystarczy, a Pan Dziejów nie będzie musiał przyzwalać na środki drastyczniejsze. Dwa rumaki apokalipsy wyszły już ze stajni, ale to wcale nie musi być koniec. ■

eprasa.pl e12cc5019d

Tomasz Sakiewicz

Minęło 30 lat Strefy Wolnego Słowa

Strefa Wolnego Słowa to grupa medialna składająca się z kilkunastu tytułów mediów papierowych i elektronicznych, wśród których najstarszy to „Gazeta Polska". Na przełomie lutego i marca 1993 roku ukazał się jej pierwszy numer. Wtedy współtworzyłem go razem z Piotrem Wierzbickim i Elżbietą Isakiewicz. Sam tytuł istniał jeszcze w XIX wieku, a my do niego mniej lub bardziej świadomie nawiązaliśmy. Jeszcze w latach 90. do „GP" dołączyli moi dzisiejsi zastępcy – Kasia Gójska i Piotr Lisiewicz. W tamtym czasie podjęto też pierwsze próby założenia klubów „Gazety Polskiej". Istniały tylko kilka lat. Przeprowadziliśmy eksperyment z zaistnieniem „Gazety Polskiej" w Internecie, jeszcze przed portalami „Wyborczej". W 2005 roku zostałem redaktorem naczelnym, a Kasia i Piotr moimi zastępcami. Jedną z moich pierwszych decyzji było odnowienie klubów „Gazety Polskiej". W stworzonej wtedy formule istnieją do dzisiaj. Zaczęliśmy też starania o powołanie własnego portalu internetowego. Tak powstała Niezalezna.pl. Przejęliśmy również wydawanie miesięcznika „Nowe Państwo". W 2011 roku powołaliśmy dziennik „Gazeta Polska Codziennie", a w 2013 roku w koalicji z innymi środowiskami – Telewizję Republika. Wcześniej rozwijaliśmy telewizję internetową Gazeta Polska VOD. Na bazie portalu Niezalezna.pl powstał też portal ekonomiczny Filary Biznesu. W TV Republika rozwinęły się redakcje: anglojęzyczna, ekonomiczna, portalu TV i social media. Oprócz tego powołaliśmy portal anglojęzyczny Polanddaily24.com.

Stworzyliśmy dwie fundacje – Wolnego Słowa i Klubów „Gazety Polskiej", pierwszą do obsługi mediów, drugą – klubów „GP". Fundacja klubów posiada swoją stronę internetową i własny system komunikacji. Do wsparcia debaty wewnątrzklubowej powołaliśmy polskiego Facebooka, czyli Albiclę, którą udostępniliśmy wszystkim.

Oprócz tego powstaje wiele fundacji i stowarzyszeń związanych z klubami, których jest już 500. Są oddzielnymi bytami, lecz czerpią z naszych doświadczeń.

Czemu służy nasza wielka infrastruktura medialno-społeczna? Zawsze stawialiśmy sobie dwa cele: wolność słowa i Polska niepodległa.

Czemu służy ta wielka infrastruktura medialno-społeczna? Zawsze stawialiśmy sobie dwa cele: wolność słowa i Polska niepodległa. Wydawało nam się, że w wolnej Polsce te cele są oczywiste. Wydawało się... O jedno i drugie trzeba twardo walczyć, ponosząc wielkie koszty, a wręcz ofiary. Wolność słowa przeszkadza wszystkim elitom, ale najbardziej tym, którzy krzyczą o liberalizmie. Trzeba tej wolności elit politycznych uczyć. Niepodległość zaś wystawiana jest na sprzedaż jak tani towar przez wszystkich, którzy chcą robić kariery i majątki kosztem Polski. Przekonaliśmy się o tym szczególnie mocno po tragedii smoleńskiej. Nasze cele można było głosić, ale w świecie medialno-politycznym ich realizacji niezbyt oczekiwano. Jednak istniejemy dlatego, że się nie zmieniliśmy. Taką gazetę, taką grupę medialną po prostu wielu Polaków chciało, a dzisiaj są gotowi je wspierać. Za to wszystko dziękuję. ■

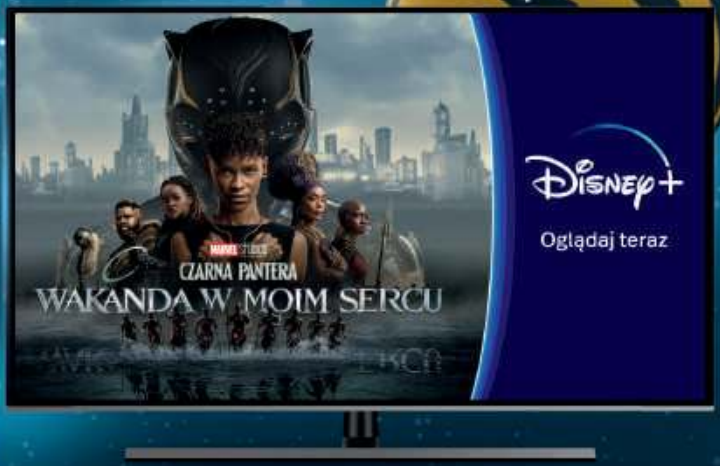
eprasa.pl e12cc5019d

Telewizja z Disney+

już od 45 zł/mies. przez 24 miesiące.







polsat box

Wybierz swoje wszystko

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S z Disney+ z zobowiązaniem od 45 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 miesiące. Od 25. miesiąca cena za pakiet podstawowy wzrośnie o 10 zł/mies. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) BV. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl
© 2023 Disney i podmioty powiązane. Oferta ważna na dzień 20.02.2023 r.

eprasa.pl e12cc5019d